

PIŚMIA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM VI

OGNIEM
I MIECZEM

Tom I

WYDAŃIE PIĄTE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1894

PISMA H. SIENKIEWICZA:

- Tom I—XVIII po
w oprowie po
Tom I. Stary sługa.—Hania.—Szkice węglem.—Jan
muzykant.
Tom II. Listy z podróży po Ameryce.
Tom III. Listy z Ameryki (dalszy ciąg).—Listy z R
mu i Paryża.—Komedia z pomylek.
Tom IV. Przez stepy.—Orso.—Z pamiętników poz
skiego nauczyciela.—Czyja wina.—Za chlebem.
Tom V. Latarnik.—Niewola tatarska.—Jamioł.—N
dną kartę.—Bartek zwycięzc
Tom VI—IX. Ogniem i mieczem lat dawnych,
4 tomy.
Tom X—XV. Potop, powieść hi tomów.
Tom XVI—XVIII. Pan Wołodyjko wieść history-
czna, 3 tomy.
Tom XIX. Ta trzecia. Sachen — Walka
byków.—Z puszczy białowi oczka do
Aten.
. w ozdobnej awie.
Tom XX. Wyrok Zeusa.—Z wrażeń włoskich.—Organi-
sta z Ponikły.—U źródła.—Lux in tenebris lucet (le-
genda indyjska).—Pójdźmy za Nim!—Listy o Zoli. .
. w oprowie
Bez dogmatu, powieść w 3 tomach
Listy z Afryki. z licznymi ilustracyami w tekście dwa
tomy. 4
Na jedną kartę, dramat w 5 aktach. — 60

2728-11.



PIŚMIA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM VI

OGNIEM I MIECZEM

TOM I

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

—
1894

348039

Q728-T.



HENRYK SIENKIEWICZ

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH



~~~~~  
*Wydanie piąte przejrane i poprawione*  
~~~~~

TOM I

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1894



519234

Дозволено Цензурою.

Варшава, 10 Августа 1893 года.

Warszawa. — W drukarni St. Niemiery, Plac Warecki 4.

ROZDZIAŁ I.

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyrośliła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa zjawiała się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach; odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastąpiła tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które, podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem, wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. Padały częste deszcze. Step rozmókł i zmienił się w wielką kałużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że — dziw nad dziwy! — w województwie Braclawskim i na Dzikich Polach zielona ruń okryła stopy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i hu-

czyć, bydło ryczało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi, oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niespokojny umysł i oczy szczególnie ku Dzikim Polom, od których łatwiej niżli skądinąd mogło się ukazać niebezpieczeństwo.

Tymczasem na polach nie działo się nic nadzwyczajnego i nie było innych walk i potyczek prócz tych, które się odbywały tam zwykle, a o których wiedziały tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny.

Bo takie już były te pola. Ostatnie ślady osiadłego życia kończyły się, idąc ku południowi, niedaleko za Czehryniem od Dniepru, a od Dniestrzu, niedaleko za Humanem, a potem już hen! ku limanom i morzu, step i step we dwie rzeki, jakby w ramę, ujęty. Na łuku Dnieprowym, na Nizu, wrzało jeszcze kozackie życie za parohami, ale w samych polach nikt nie mieszkał, i chyba po brzegach tkwiły gdzieniegdzie „polanki,” jakoby wyspy wśród morza. Ziemia była de nomine Rzeczypospolitej, ale pustynna, na której pastwisk Rzeczypospolita Tatarom pozwalała, wszakże, gdy kozacy często bronili, więc to pastwisko było i pobojo-wiskiem zarazem.

Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie pamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne widziały, a kto zdaleka usłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie, nad jednym kołującym miejscem, ten wiedział, że tam trupy lub kości niepo-grzebione leżą... Polowano w trawach na ludzi, jakby na wilki lub subaki. Polował kto chciał. Człęk prawem ścigan chronił się w dzikie stepy, orężny pa-sterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, ło-

trzyk łupu, kozak Tatara, Tatar kozaka. Bywało, że i całe watahy broniły trzód przed tłumami napastników. Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od dzikich pól, ale i od dzikich dusz.

Czasem też napełniła go wielka wojna. Wówczas płynęły po nim, jak fale, czambuły tatarskie, pułki kozackie, to chorągwie polskie lub wołoskie; nocami rżenie koni wtórowało wyciom wilków, głos kotłów i trąb mosiężnych leciał aż do Owidowego jeziora i ku morzu, a na Czarnym szlaku, na Kuczmańskim — rzekłbyś: powódź ludzka. Granic Rzeczypospolitej strzegły od Kamieńca aż do Dniepru stаницe i „polanki” — i gdy szlaki miały się zarość, poznawano właśnie po niezliczonych stadach ptactwa, które płoszone przez czambuły leciały na północ. Ale Tatar, byle wychylił się z Czarnego Lasu lub Dniestr przebył od strony wołoskiej, to stepem równo z ptakami stawał w południowych województwach.

Wszelako zimy owej ptactwo nie ciągnęło z wrzaskiem ku Rzeczypospolitej. Na stepie było ciszej, niż zwykle. W chwili, gdy rozpoczyna się powieść nasza, słońce zachodziło właśnie, a czerwonawe jego promienie rozświecały okolicę pustą zupełnie. Na północnym krańcu Dzikich Pól, nad Omelniczkiem, aż do jego ujścia, najbystrzejszy wzrok nie mógłby odkryć jednej żywej duszy, ani nawet żadnego ruchu w ciemnych, zeszlętych i zwiędłych burzanach. Słońce połową tylko tarczy wyglądało jeszcze z za widnokręgu. Niebo było już ciemne, a potem i step zwolna mroczył się coraz bardziej. Na lewym brzegu, na niewielkiej wyniosłości, podobniejszej do mogiły niż do wzgórza, świe-

ciły tylko resztki murowanej stancy, którą niegdyś jeszcze Teodoryk Buczański wystawił, a którą potem napady starły. Od ruiny owej padł długi cień. Opo-
dal świeciły wody szeroko rozlanego Omelniczka, któ-
ry w tem miejscu skręca się ku Dnieprowi. Ale bla-
ski gasły coraz bardziej na niebie i na ziemi. Z nie-
ba dochodziły tylko klangory żórawi, ciągnących ku
morzu, zresztą ciszy nie przerywał żaden głos.

Noc zapadła nad pustynią, a z nią nastąpiła go-
dzina duchów. Czuwający w stanicach rycerze opo-
wiadali sobie w owych czasach, że nocami wstają na
Dzikich Polach cienie poległych, którzy zesłi tam na-
głą śmiercią w grzechu, i odprowadzają swoje korowody,
w czem im żaden krzyż ani kościół nie przeszkadza.
To też, gdy sznury, wskazując północ, poczynwały się
dopalać, odmawiano po stanicach modlitwy za umarłych.
Mówiono także, że owe cienie jeźdźców, snując się po
pustyni, zastępują drogę podróżnym, jęcząc i prosząc
o znak krzyża świętego. Między nimi trafiały się
i upiory, które goniły za ludźmi, wyjąc. Wprawne
ucho zdaleka już rozeznawało wycie upiorów od wil-
czego. Widywano również całe wojska cieniów, któ-
re czasem zbliżały się tak do stanic, że strażę grały
larum. Zapowiadało to zwykle wielką wojnę. Spo-
tkanie pojedynczych cieniów nie znaczyło również nic
dobrego, ale nie zawsze należało sobie źle wróżyć,
bo i człek żywy zjawiał się nieraz i niknął jak cień
przed podróżnymi, dlatego często i snadnie za ducha
mógł być poczytany.

Skoro więc noc zapadła nad Omelniczkiem, nie
było w tem nic dziwnego, że zaraz koło opustoszałej sta-
nicy zjawił się duch czy człowiek. Miesiąc wychynał

właśnie z za Dniepru i obieleł pustkę, głowy bodiaków i dal stepową. Wtem niżej na stepie ukazały się i inne jakieś nocne istoty. Przelatujące chmurki przesłaniały co chwila blask księżyca, więc owe postacie, to wybliskiwały z cienia, to znowu gasły. Chwilami nikły zupełnie i zdawały się topnieć w cień. Posuwając się ku wyniosłości, na której stał pierwszy jeździec, skradały się cicho, ostrożnie, zwolna, zatrzymując się co chwila.

W ruchach ich było coś przerażającego, jak i w całym tym stepie, tak spokojnym na pozór. Wiatr chwilami podmuchiwał od Dniepru, sprawując żalosny szelest w zeschniętych bodiakach, które pochylały się i trzęsły, jakby przerażone. Nakoniec postacie znikły, schroniły się w cień ruiny. W bladym świetle nocy widać było tylko jednego jeźdźcę, stojącego na wyniosłości.

Wreszcie szelest ów zwrócił jego uwagę. Zbliżywszy się do skraju wzgórza, począł wpatrywać się w step uważnie. W tej chwili wiatr przestał wiać, szelest ustał, zrobiła się cisza zupełna.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst. Zmieszane głosy poczęły wrzeszczeć przeraźliwie: „Ha! ha! ha! Jezus Chryste! ratuj! bij!“ Rozlekł się huk samopalców, czerwone światła rozdarły ciemność. Tętent koni zmieszał się ze szczękiem żelaza. Nowi jacyś jeźdźce wyrosli jakby z pod ziemi na stepie. Rzekłbyś: burza zawrzała nagle w tej cichej, złowrożej pustyni. Potem jęki ludzkie zawtórowały wrzaskom strasznym, wreszcie ucichło wszystko, walka była skończona.

Widocznie rozegrywała się jedna ze zwykłych scen na Dzikich Polach.

Jeźdźcy zgrupowali się na wyniosłości, niektórzy poziadali z koni, przypatrując się czemuś pilnie.

Wtem w ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos:

— Hej, tam! skrzesać ognia i zapalić!

Po chwili posypały się naprzód iskry, a potem buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa, które podróżujący przez Dzikie Pola wozili zawsze z sobą.

Wnet wbito w ziemię drąg od kaganka, i jasne, padające zgóry światło, oświeciło wyraźnie kilkunastu ludzi, pochylonych nad jakąś postacią, leżącą bez ruchu na ziemi.

Byli to żołnierze, ubrani w barwę czerwoną, dworską, i w wilcze kapuzy. Z tych jeden, siedzący na dzielnym koniu, zdawał się reszcie przewodzić. Zsiadłszy z konia, zbliżył się do owej leżącej postaci i spytał:

— A co, wachmistrzu, żyje, czy nie żyje?

— Żyje, panie namiestniku, ale charcze; arkan go zdławił.

— Co zacz jest?

— Nie Tatar, znaczny ktoś.

— To i Bogu dziękować.

Tu namiestnik popatrzał uważniej na leżącego męża.

— Coś jakby hetman — rzekł.

— I koń pod nim tatar zacny, jak lepszego u chana nie znaleźć — odpowiedział wachmistrz. — A ot tam go trzymają.

Porucznik spojrział i twarz mu się rozjaśniła. Obok dwóch szeregowych trzymało rzeczywiście dzielnego rumaka, który tuląc uszy i rozdymając chrapy, wyciągał głowę i spoglądał przerażonemi oczyma na swego pana.

— Ale koń, panie namiestniku, będzie nasz? —
wtrącił tonem pytania wachmistrz.

— A ty psawiaro, chciałbyś chrześcianinowi
konia w stepie odjąć?

— Bo zdobywczy...

Dalszą rozmowę przerwało silniejsze chrapanie
zduszonego męża.

— Włać mu gorzałki w gębę — rzekł pan na-
miestnik — pas odpiąć.

— Czy zostaniemy tu na nocleg?

— Tak jest, konie rozkulbaczyć, stos zapalić.

Żołnierze skoczyli co żywo. Jedni poczęli cu-
cić i rozcierać leżącego, drudzy ruszyli po oczerety,
inni rozesłali na ziemi skóry wielbłądzie i niedźwie-
dzie na nocleg.

Pan namiestnik, nie troszcząc się więcej o zdu-
szonego męża, odpiął pas i rozciągnął się na burce
przy ognisku. Był to młody bardzo człowiek, suchy,
czarniawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą
i wydatnym orlim nosem. W oczach jego malowała
się okrutna fantazja i zadzierżystość, ale w obliczu
miał wyraz uczciwy. Wąs dość obfity i niegolona wi-
docznie oddawna broda dodawały mu nad wiek powagi.

Tymczasem dwaj pachołkowie zajęli się przy-
rządzaniem wieczerzy. Położono na ogniu gotowe
ćwierci baranie; zdjęto też z koni kilka dropiów,
upolowanych w czasie dnia, kilka pardew i jednego
suhaka, którego pachoł wnet zaczął obłupywać ze
skóry. Stos płonął, rzucając na step ogromne czer-
wone koło światła. Zduszony człowiek zaczął z wolna
przychodzić do siebie.

Przez czas jakiś wodził nabiegłemi krwią oczy-

ma po obcych, badając ich twarze; następnie usiłował powstać. Żołnierz, który poprzednio rozmawiał z namiestnikiem, dźwignął go w górę pod pachy; drugi włożył mu obuszek w dłoń, na którym nieznajomy wsparł się z całej siły. Twarz jego była jeszcze czerwona, żyły jej nabrzmięły. Nakoniec przyduszonym głosem wykrztusił pierwszy wyraz:

— Wody!

Podano mu gorzałki, którą pił i pił, co mu widocznie dobrze zrobiło, bo odjąwszy wreszcie flaszkę od ust, czystym już głosem spytał:

— W czyich jestem rękę?

Naczelnik powstał i zbliżył się ku niemu:

— W rękę tych, co waści salwowali.

— Przeto nie waszmościowie schwycili mnie na arkan?

— Mosanie, nasza rzecz szablą, nie arkan. Krzywdzisz waść dobrych żołnierzyw podejrzeniem. Złapali cię jakowis łotrzykowie, udający Tatarów, których jeślis ciekaw, oglądać możesz, bo oto leżą tam porznięci, jak barany.

To mówiąc, wskazał ręką kilka ciemnych ciał, leżących poniżej wyniosłości.

A nieznajomy na to:

— To pozwólcie mi spocząć.

Podłożono mu wojskową kulbakę, na której siadł i pogrążył się w milczeniu.

Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i uderzających rysów. Głowę miał ogromną, cerę zawiędlą, bardzo ogorzałą, oczy czarne i nieco ukośne, jak u Tatara, a nad wązkiemi ustami zwieszał mu

się cienki wąs, rozchodzący się dopiero przy końcach w dwie szerokie kiście. Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę. Było w niej coś pociągającego i odpychającego zarazem — powaga hetmańska, ożeniona z tatarską chytrą, dobrotliwość i dzikość.

Posiedziawszy nieco na kulbace, wstał i nad wszelkie spodziewanie, zamiast dziękować, poszedł oglądać trupy.

— Prostack! — mruknął namiestnik.

Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy, kiwając głową, jak człowiek, który odgadł wszystko, poczem wracał zwolna do namiestnika, klepiąc się po bokach i szukając mimowolnie pasa, za który widocznie chciał zatkać rękę.

Nie podobała się młodemu namiestnikowi ta powaga w człeku, oderzniętym przed chwilą od powroza; więc rzekł z przekąsem:

— Rzekłby kto, że wasze znajomych szukasz między owymi łotrzykami, albo że pacierz za ich duszę odmawiasz.

Nieznajomy odparł z powagą:

— I nie mylisz się waść i mylisz: nie mylisz się, bom szukał znajomych, a mylisz się, bo to nie łotrzykowie, jeno słudzy pewnego szlachcica, mego sąsiada.

— Tedy widocznie nie z jednej studni pijacie z onym sąsiadem.

Dziwny jakiś uśmiech przeleciał po cienkich wargach nieznajomego.

— I w tem się waść mylisz — mruknął przez zęby.

Po chwili dodał głośniejszym głosem:

— Ale wybacz waszmość pan, żem mu naprzód powinnej nie złożył dzięki za auxilium i skutecznego ratunek, który mnie od tak nagłej śmierci wybawił. Waści męstwo stanęło za moją nieostrożność, bom się od ludzi swoich odłączył, ale też wdzięczność moja wyrównywa waszej ochocie. *Courage*

To rzekłszy, wyciągnął ku namiestnikowi rękę. Ale bułny młodzieńczyk nie ruszył się z miejsca i nie śpieszył z podaniem swojej; natomiast rzekł:

— Chciałbym naprzód wiedzieć, azali ze szlachcicem mam sprawę, bo chociaż o tem nie wątpię, jednakże bezimiennych podzięk przyjmować mi się nie godzi.

— Widzę w waszmości prawdziwie kawalerską fantazyę — i słusznie mówisz. Powinienem był zacząć od nazwiska mój dyskurs i moją podziękę. Jestem Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcic z województwa Kijowskiego, osiadły i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Dominika Zasławskiego.

— A ja Jan Skrzetuski, namiestnik chorągwi pancerniej J. O. Ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

— Pod sławnym wojownikiem waść służysz. Przyjmże teraz moją wdzięczność i rękę.

Namiestnik nie wahał się dłużej. Towarzysze pancerni z góry wprawdzie patrzali na żołnierzów z pod innych chorągwi, ale pan Skrzetuski był na stepie, na Dzikich Polach, gdzie takie rzeczy mniej szły pod uwagę. Zresztą miał do czynienia z pułkownikiem, o czem zaraz naocznie się przekonał, bo gdy jego żołnierze przynieśli p. Abdankowi pas i szablę, z których go rozpasano dla *cucenia*, podali mu razem i krótką buławę o osadzie z kości, o głowie ze ślinowatego rogu, jakich zażywali zwykle pułkownicy kozacy. Przytem ubiór imci Zenobiego Ab-

danka był dostatni, a mowa kształtna znamionowała umysł bystry i otarcie się w świecie.

Wіęc pan Skrzetuski zaprosił go do kompanii. Zapach pieczonych mięs jął właśnie rozchodzić się od stosu, łechcąc nozdrza i podniebienie. Pachoł wydobył je z żaru i podał na latercynowej misie. Poczęli jeść, a gdy przyniesiono spory worek mołdawskiego wina, uszyty z kozłej skóry, wnet zawiązała się żywa rozmowa.

— Oby się nam szczęśliwie do domu wróciło! — rzekł pan Skrzetuski.

— To waszmość wracasz? skądże, proszę? — spytał Abdank.

— Zdaleka, bo z Krymu.

— A cożeś waszmość tam robił? z wykupnem jeździłeś?

— Nie, mości pułkownik; jeździłem do samego chana.

Abdank nadstawił ciekawie ucha.

— Ano to proszę, w piękną waść wszedłeś komitywę! I z czymże do chana jeździłeś?

— Z listem J. O. Ks. Jeremiego.

— To waść posłował! O cóż jegomość ksiązę do chana pisał?

Namiestnik popatrzał bystro na towarzysza.

— Mości pułkowniku—rzekł—zaglądałeś w oczy łotrzykom, którzy cię na arkan ujęli — to twoja sprawa; ale co ksiązę do chana pisał, to ani twoja, ani moja, jeno ich obydwóch.

— Dziwiłem się przed chwilą — odparł chytrze Abdank — że jegomość ksiązę tak młodego człowieka posłem do chana obrał, ale po waścinej odpowiedzi

już się nie dziwię, bo widzę, żeś młody laty, ale stary eksperyencyą i rozumem.

Namiestnik poiknął gładko pochlebne słówko, pokręcił tylko młodego węża i pytał:

— A powiedz-że mi waszmość, co porabiasz nad Omelniczkim i jakeś się tu wziął sam jeden?

— Nie jestem sam jeden, jenom ludzi zostawił po drodze, a jadę do Kudaku, do pana Grodzickiego, który jest tam przełożonym nad prezydyum i do którego jegomość hetman W. wysłał mnie z listami.

— A czemu waść nie bajdakiem, wodą?

— Taki był ordynans, od którego odstąpić mi się nie godzi.

— To dziw, że jegomość hetman taki wydał ordynans, gdyż właśnie na stepie w tak ciężkie popadłeś terminy, których, wodą jadąc, pewno byłbyś uniknął.

— Mosanie, stepy teraz spokojne; znam ja się z nimi nie od dziś, a to, co mnie spotkało, to jest złość ludzka i invidia.

— I kto na jegomości tak nastaje?

— Długoby gadać. Sąsiad to zły, mości namiestniku, który substancyę mi zniszczył, z włości mnie ruguje, syna mi zbił — i ot — widziałeś waść, tu jeszcze na szyję moją nastawał.

— A to waść nie nosisz szabli przy boku?

W potężnej twarzy Abdanka zabłysła nienawiść, oczy zaświeciły mu pośępnie i odrzekł zwolna a dobitnie:

— Noszę, i tak mi dopomóż Bóg, jako innych rekursów przeciw wrogom moim szukać już nie będę.

Porucznik chciał coś mówić, gdy nagle na stepie rozległ się tętent koni, a raczej pośpieszne chlupotanie

końskich nóg po rozmięklej trawie. Wnet też i czeladnik namiestnika, trzymający straż, nadbiegł z wieścią, że jakowś ludzie się zbliżają.

— To pewnie moi — rzekł Abdank — którzy zaraz za Taśminą zostali. Jam też, nie spodziewając się zdrady, tu na nich czekać obiecał.

Jakoż po chwili gromada jeźdźców otoczyła okręgiem wzgórze. Przy blasku ognia ukazały się głowy końskie z otwartymi chrapami, prychając ze zmęczenia, a nad nimi pochylone twarze jeźdźców, którzy, przysłaniając rękoma od blasku oczy, patrzali bystro w światło.

— Hej ludzie! kto wy? — spytał Abdank.

— Raby boże! — odpowiedziały głosy z ciemności.

— Tak, to moi mołojce — powtórzył Abdank, zwracając się do namiestnika. — Bywajcie! bywajcie!

Niektórzy zeszli z koni i zbliżyli się do ognia.

— A my śpieszyli, śpieszyli, batku. S z c z o z t o b o j u?

— Zasadzka była. Chwedko zdrajca wiedział o miejscu i tu już czekał z innymi. Musiał podążyć dobrze przede mną. Na arkan mnie ujęli!

— S p a s i B i h ! S p a s i B i h ! A to co za Laszek koło ciebie?

Tak mówiąc, spoglądali groźnie na pana Skrzetuskiego i jego towarzyszków.

— To druby dobre — rzekł Abdank. — Sława Bogu, całym i żyw. Zaraz będziemy ruszać dalej.

— Sława Bogu! my gotowi.

Nowoprzybyli poczęli rozgrzewać dłonie nad ogniem, bo noc była zimna, choć pogodna. Było ich ze czterdziestu, ludzi rośliwych i dobrze zbrojnych. Nie

wyglądali wcale na kozaków rejestrowych, co niepo-
mału zdziwiło pana Skrzetuskiego, zwłaszcza, że była
ich garść tak spora. Wszystko to wydało się namiest-
nikowi mocno podejrzanem. Gdyby hetman w. wy-
słał imci Abdanka do Kudaku, dałby mu przecie stra-
żę z rejestrowych, a powtórę, z jakiejżeby racyi ka-
zał mu iść stepem od Czehrynia, nie wodą? Koniecz-
ność przeprowiania się przez wszystkie rzeki, idą-
ce Dzikimi Polami do Dniepru, mogła tylko pochód
opóźnić. Wyglądało to raczej tak, jakby imć p. Ab-
dank chciał właśnie Kudak ominąć.

Ale zarówno i sama osoba p. Abdanka zastana-
wiała wielce młodego namiestnika. Zauważył wraz, że
kozacy, którzy ze swymi pułkownikami obchodzili się
dość poufale, jego otaczali wciąż niezwykłą, jakby
prawego hetmana. Musiał to być jakiś rycerz dużej
ręki, co tem dziwniejsze było panu Skrzetuskiemu, że
znając Ukrainę i z tej i z tamtej strony Dniepru, o ta-
kim przesławnym Abdanku nie nie słyszał. Było przy-
tem w twarzy tego męża coś szczególnego — jakaś moc
utajona, która tak biła z oblicza, jak żar od płomienia,
jakaś wola nieugięta, znamionująca, że człek ten przed
nikim i niczem się nie cofnie. Taką właśnie wolę w obli-
czu miał książę Jeremi Wiśniowiecki, ale co w księ-
ciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wiel-
kiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu
nieznanego nazwiska, zabłąkanym w głuchym stepie.

Pan Skrzetuski długo deliberował. Chodziło mu
po głowie, że to może jaki potężny banita, który wyro-
kiem ścigan chronił się w Dzikie Pola — to znów, że to
watażka watahy zbójeckiej, ale to ostatnie nie było
prawdopodobne. I ubiór i mowa tego człowieka poka-

zywały co innego. Zgoła więc nie wiedział namiestnik, czego się trzymać, miał się tylko na baczności, a tymczasem Abdank kazał konia sobie podawać.

— Mości namiestniku — rzekł — komu w drogę, temu czas. Pozwólże podziękować sobie raz jeszcze za ratunek. Oby Bóg pozwolił mi odpłacić ci równą usługą!

— Nie wiedziałem, kogo ratuję, przeto i na wdzięczność nie zasłużył.

— Modestya to twoja tak mówi, która jest męstwem równa. Przyjmij-że ode mnie ten pierścień.

Namiestnik zmarszczył się i krok w tył odstąpił, mierzając oczyma Abdanka, ten zaś mówił dalej z ojcowską niemal powagą w głosie i postawie:

— Spójrzjy jeno. Nie bogactwo tego pierścienia, ale inne cnoty ci zalecam. Za młodych jeszcze lat, w bisurmańskiej niewoli będąc, dostałem go od pątnika, który z Ziemi Świętej powracał. W tem oczku zamknięty jest proch z grobu Chrystusa. Takiego daru odmawiać się nie godzi, choćby i z osądzonych rąk pochodził. Jesteś waść młodym człowiekiem i żołnierzem, a gdy nawet i starość blizka grobu nie wie, co ją przed ostateczną godziną spotkać może, cóż dopiero adolescencya, która mając przed sobą wiek długi, na większą liczbę przygód trafić musi! Pierścień ten ustrzeże cię od przygody i obroni, gdy dzień sądu nadejdzie, a to ci powiadam, że dzień ten idzie już przez Dzikie Pola.

Nastała chwila ciszy; słychać było tylko syczenie płomienia i parskanie koni.

Z dalekich oczeretów dochodziło żalosne wycie wilków. Nagle Abdank powtórzył raz jeszcze, jakby do siebie:

— Dzień sądu idzie już przez Dzikie Pola, a gdy nadejdzie — zadywytsia wsij swit bożyj...

Namiestnik przyjął pierścień machinalnie, tak był zdumiały słowami tego dziwnego męża.

A ten zapatrzył się w dal stepową ciemną.

Potem zwrócił się zwolna i siadł na koń. — Mołojcy jego czekali już u stóp wzgórza.

— W drogę! w drogę! Bywaj zdrów, druhu żołnierzu — rzekł do namiestnika. — Czasy teraz takie, że brat bratu nie ufa, przeto i nie wiesz, kogoś ocalił, bom ci nazwiska swego nie powiedział.

— Więc waść nie Abdank?

— To klejnot mój...

— A nazwisko?

— Bohdan Zenobi Chmielnicki.

To rzekłszy, zjechał ze wzgórza, a za nim ruszyli mołojcy. Wkrótce okryły ich tuman i noc. Dopiero gdy zjechali już z pół stajania, wiatr przyniósł od nich słowa kozackiej pieśni:

„Oj wyzwoly, Boże, nas wsich, bidnych newilnykiw,

„Z tiażkoj newoli,

„Z wiry bisurmanskoj, —

„Na jasni zori,

„Na tychi wody,

„U kraj weselyj,

„U mir chreszczennyj. —

„Wysłuchaj Boże u prośbach naszych,

„U nieszczasnych mołytwach,

„Nas bidnych newilnykiw.

Głosy cichły zwolna, potem stopiły się z powiewem, szumiącym po oczeretach.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz z rana przybywszy do Czehrynia, pan Skrzetuski stanął w mieście, w domu księcia Jeremiego, gdzie też miał kęs czasu zabawić, aby ludziom i koniom dać wytchnienie po długiej z Krymu podróży, którą z przyczyny wezbrania i nadzwyczaj bystrych prądów na Dnieprze, trzeba było łodem odbywać, gdyż żaden bajdak nie mógł owej zimy płynąć pod wodę. Sam też Skrzetuski zażył nieco wczasu, a potem szedł do pana Zaćwilichowskiego, byłego komisarza Rzplitej, żołnierza dobrego, który nie służąc u księcia, był jednak jego zaufanym i przyjacielem. Namiestnik przagnął się go wypytać, czy niema jakich z Łubniów dyspozycji. Książę wszelako nic szczególnego nie polecił: kazał Skrzetuskiemu w razie, gdyby odpowiedź chanowa była pomyslna, wolno iść, tak, aby ludzie i konie mieli się dobrze. Z chanem zaś miał książę taką sprawę, że chodziło mu o ukaranie kilku murzów tatarskich, którzy własnowolnie puścili mu w jego zadnieprzańskie państwo zagony, a których sam zresztą srodze zbił. Chan rzeczywiście dał odpowiedź pomyslną: obiecał przysłać osobnego posła na kwiecień, ukarać nieposłusznych, a chcąc sobie

Włodzimierz
Złota
zyskać życzliwość tak wsławionego, jak ksiązę, wojownika, posłał mu przez Skrzetuskiego konia wielkiej krwi i szłyk soboli. Pan Skrzetuski, wywiązawszy się z niemałym zaszczytem z poselstwa, które już samo było dowodem wielkiego książęcego faworu, bardzo był rad, że mu w Czehryniu zabawić pozwolono i nie nagłono z powrotem. Natomiast stary Zaćwilichowski wielce był zafrasowany tem, co działo się od niejakiego czasu w Czehryniu. Poszli tedy razem do Dopuła, Wołocha, który w mieście zajazd i winiarnię trzymał, i tam, choć była godzina jeszcze wczesna, zastali szlachty huk, gdyż to był dzień targowy, a oprócz tego w tymże dniu wypadał w Czehryniu postój bydła pędzonego ku obozowi wojsk koronnych, przyczem ludzi nazbierało się mnóstwo. Szlachta zaś gromadziła się zwykle w rynku, w tak zwanym Dzwonieckim kącie, u Dopuła. Byli tam więc i dzierżawcy Koniecpolskich, i urzędnicy czehryńscy, i właściciele ziem pobliskich, siedzący na przywilejach, szlachta osiadła i od nikogo niezależna, dalej urzędnicy ekonomii, trochę starszyzny kozackiej i pomniejszych drobiazg szlachecki, bądź to na kondycjach żyjący, bądź na swoich futorach.

Ci i tamci pozajmowali ławy, stojące wedle długich dębowych stołów, i rozprawiali głośno, a wszyscy o ucieczce Chmielnickiego, która była największym w mieście ewenementem. Skrzetuski więc z Zaćwilichowskim siedli sobie w kącie osobno, i namiestnik począł wypytywać, coby to za feniks był ten Chmielnicki, o którym wszyscy mówili.

— To waść nie wiesz?—odpowiedział stary żołnierz.—To jest pisarz wojska zaporoskiego, dziedzic

Subotowa i — dodał ciszej — mój kum. Znamy się dawno. Bywaliśmy w różnych potrzebach, w których nie mało dokazywał, szczególnie pod Cecorą. Żołnierza takiej eksperyencyi w wojskowych rzeczach nie masz może w całej Rzeczypospolitej. Tego się głośno nie mówi, ale to hetmańska głowa: człek wielkiej ręki i wielkiego rozumu; jego całe kozactwo słucha więcej niż koszarowych i atamanów; człek niepozabawiony dobrych stron, ale hardy, niespokojny, i gdy nienawiść weźmie w nim górę — może być straszny.

— Co mu się stało, że z Czehrynia umknął?

— Koty ze starostką Czaplińskim darli, ale to furda! Zwyczajnie szlachcie szlachcicowi z nieprzyjacieli sadła zalewał. Nie jeden on, i nie jednemu jemu. Mówią przytem, że żonę starostce bałamucił, starostka mu kochanicę odebrał i z nią się ożenił, a on mu ją za to później bałamucił, a to jest podobna rzecz, bo zwyczajnie... kobieta lekka. Ale to są tylko pozory, pod którymi głębsze jakieś praktyki się ukrywają. Widzisz waść, rzecz jest taka: w Czerkasach mieszka stary Barabasz, pułkownik kozacki, nasz przyjaciel. Miał on przywileje i jakoweś pisma królewskie, o których mówiono, że kozaków do oporu przeciw szlachcie zachęcały. Ale że to ludzki, dobry człek, trzymał je u siebie i nie publikował. Owoż Chmielnicki Barabasza na ucztę zaprosiwszy, tu do Czehrynia, do swego domu, potem posłał ludzi do jego futoru, którzy pisma i przywileje u żony podebrali — i z niemi umknął. Strach, by z nich jaka rebelia, jako była Ostranicowa, nie korzystała, bo repeto, że to człek straszny, a umknął niewiadomo gdzie.

Na to pan Skrzetuski:

— A to lis! w pole mnie wywiódł. Powiadał się pułkownikiem kozackim ks. D. Zasławskiego. Toć ja jego tej nocy na stepie spotkałem i od arkana uwolniłem.

Zaćwilichowski aż się za głowę porwał.

— Na Boga, co wać powiadasz? Nie może to być!

— Może być, kiedy było. Powiadał mi się pułkownikiem u ks. D. Zasławskiego i że do Kudaku, do pana Grodzickiego od Hetmana Wielkiego jest posłany, alem już temu nie wierzył, gdyż nie wodą jechał, jeno się stepem przekradał.

— To człek chytry, jak Ulisses! I gdzieżeś go wać spotkał?

— Nad Omelniczkiem, po prawej stronie Dnieprowej. Widno do Siczy jechał.

— Kudak chciał minąć. Teraz intelligo. Ludzi siła było przy nim?

— Było ze czterdziestu. Ale za późno przyjechali. Gdyby nie moi, byliby go słudzy starostki zdławili.

— Czekał-że waszmość. To jest ważna rzecz. Słudzy starostki, mówisz?

— Tak sam powiadał.

— Skądże starostka mógł wiedzieć, gdzie jego szukać, kiedy tu w mieście wszyscy głowy tracą, nie wiedząc, gdzie się podział?

— Tego i ja wiedzieć nie mogę. Może też Chmielnicki zełgał i zwykłych łotrzyków na sług starostki kierował, by swoje krzywdy tem mocniej afirmować.

— Nie może to być. Ale to jest dziwna rzecz. Czy waszmość wie, że są listy hetmańskie, przykazujące Chmielnickiego łapać i in fundo zadzierżyć?

Namiestnik nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili wszedł do izby jakiś szlachcic z ogromnym hała-

sem. Drzwiami trzasnął raz i drugi, a spojrzawszy hardo po izbie, zawołał:

— Czołem waszmościom!

Był to człek czterdziestoletni, niski, z twarzą zapalczywą, której to zapalczywości przydawały jeszcze bardziej oczy, jakby śliwy na wierzchu głowy siedzące, ruchliwe — człek widocznie bardzo żywy, wichrowaty i do gniewu skory.

— Czołem waszmościom! — powtórzył głośniejsze i ostrzej, gdy mu zrazu nie odpowiadano.

— Czołem, czołem! — ozwało się kilka głosów.

Był to pan Czapliński, podstarości czechryński, sługa zaufany młodego pana chorążego Koniecpolskiego.

W Czechryniu nie lubiono go, bo był zawadyka wielki, pieniacz, prześladowca, ale miał niemniej wielkie plecy, przeto ten i ów z nim politykował.

Zaćwilichowskiego jednego szanował, jak i wszyscy, dla jego powagi, cnoty i męstwa. Ujrzawszy go, wnet też zbliżył się ku niemu, i skłoniwszy się dość dumnie Skrzetuskiemu, zasiadł przy nich ze swoją lampką miodu.

— Mości starosto — spytał Zaćwilichowski — czy wiesz, co się dzieje z Chmielnickim?

— Wisi, mości chorąży, jakem Czapliński, wisi, a jeśli dotąd nie wisi, to będzie wisiał. Teraz gdy są listy hetmańskie, niech jeno go dostanę w swoje ręce!

To mówiąc, uderzył pięścią w stół, aż płyn rozlał się ze szklanicy.

— Nie wylewaj waćpan wina! — rzekł p. Skrzetuski.

Zaćwilichowski przerwał:

— A czy go wać dostaniesz? Przecie uciekł i nikt nie wie, gdzie jest?

— Nikt nie wie? Ja wiem — jakem Czapliński! Waszmość, panie chorąży, znasz Chwedka. Owoż Chwedko jemu służy, ale i mnie. Będzie on Judaszem Chmielowi. Siła mówić. Wdał się Chwedko w komitywę z mołojcami Chmielnickiego. Człek sprytny. Wie o każdym kroku. Podjął się mi dostawić żywym czy zmarłym i wyjechał w step równo przed Chmielnickim, wiedząc, gdzie ma go czekać. — A didków syn przekłety!

To mówiąc, znowu w stół uderzył.

— Nie wylewaj waćpan wina! — powtórzył z przyciskiem pan Skrzetuski, który dziwną jakąś awersję uczuł do tego podstarościego od pierwszego spojrzenia.

Szlachcic zaczerwienił się, błysnął swemi wypukłemi oczyma, sądząc, że mu dają okazyję, i spojrział zapalczywie na Skrzetuskiego, ale ujrzawszy na nim barwę Wiśniowieckich, zmitygował się, gdyż jakkolwiek chorąży Koniecpolski wadził się wówczas z księciem, wszelako Czehryń zbyt był blisko Łubniów i niebezpiecznie było barwy książęcej nie uszanować.

Książę też i ludzi dobierał takich, że każdy dwa razy pomyślał, nim z którym zadarł.

— Więc to Chwedko podjął się waci Chmielnickiego dostawić? — pytał znów Zaćwilichowski.

— Chwedko. I dostawi — jakem Czapliński.

— A ja waci mówię, że nie dostawi — Chmielnicki zasadzki uszedł i na Sicz podążył, o czem trzeba pana Krakowskiego dziś jeszcze zawiadomić. Z Chmielnickim niema żartów. Krótko mówiąc, lepszy on ma rozum, tęższą rękę i większe szczęście

od waci, który zbyt się zapalasz. Chmielnicki odjechał bezpiecznie, powtarzam waci, a jeśli może nie wierzysz, to ci to ten kawaler powtórzy, który go wczoraj na stepie widział i zdrowym go pożegnał.

— Nie może być, nie może być! — wrzeszczał, targając się za czuprynę, Czapliński.

— I co większa — dodał Zaćwilichowski — to ten kawaler tu obecny sam go salwował i waścinych sług wygubił, w czym, mimo listów hetmańskich, nie jest winien, bo z Krymu z poselstwa wraca i o listach nie wiedział, a widząc człeka przez łotrzyków, jak sądził, w stepie oprymowanego, przyszedł mu z pomocą. O którym to wyratowaniu się Chmielnickiego wcześniej waci zawiadamiam, bo gotów cię z Zaporozcami w twojej ekonomii odwiedzić, a snadź nie byłbyś mu rad bardzo. Nadość się z nim warcholił. Tfu do licha!

Zaćwilichowski nie lubił także Czaplińskiego.

Czapliński zerwał się z miejsca, i aż mu mowę ze złości odjęło, twarz tylko sponsowiała mu zupełnie, a oczy coraz bardziej na wierzch wyłaziły. Tak stojąc przed Skrzetuskim, puszczał tylko urywane wyrazy:

— Jak to! waść mimo listów hetmańskich!... Ja waści... ja waści...

A pan Skrzetuski nie wstał nawet z ławy, jeno wsparłszy się na łokciu, patrzył na podskakującego Czaplińskiego, jak raróg na uwiązanego wróbla.

— Czego się waść mnie czepiasz, jak rzep psiego ogona? — spytał.

— Ja waści do grodu z sobą... Waść mimo listów... Ja waści kozakami!...

Krzyczał tak, że w izbie uciszyło się trochę. Obecni poczęli zwracać głowy w stronę Czaplińskiego, Szukał on okazji zawsze, bo taka była jego natura, robił burdy każdemu, kogo napotkał, ale to zastanowiło wszystkich, że teraz zaczął przy Zaćwilichowskim, którego jednego się obawiał, i że zaczął z żołnierzem, noszącym barwę Wiśniowieckich.

— Zamilknij-no waszeć—rzekł stary chorąży.— Ten kawaler jest ze mną.

— Ja wa... wa... waści do grodu... w dyby! — wrzeszczał dalej Czapliński, nie uważając już na nic i na nikogo.

Teraz pan Skrzetuski podniósł się także całą wysokością swego wzrostu, ale nie wyjmował szabli z pochew, tylko jak ją miał spuszczoną nizko na rapiach, chwycił w środku i podsunął w górę, tak, że rękojeść razem z krzyżykiem poszła pod sam nos Czaplińskiemu.

— Powąchaj-no to waść! — rzekł zimno.

— Bij, kto w Boga... Służba! — krzyknął Czapliński, chwytając za rękojeść.

Ale nie zdążył szabli wydobyć. Młody namiestnik obrócił go w palcach, chwycił jedną ręką za kark, drugą za hajdawery poniżej krzyża, podniósł w górę rzucającego się jak cyga i idąc ku drzwiom między ławami, wołał:

— Panowie bracia, miejsce dla rogala, bo pobodzie!

To rzekłszy, doszedł do drzwi uderzył w nie Czaplińskim, roztworzył i wyrzucił podstarościego na ulicę.

Poczem spokojnie usiadł na dawnym miejscu obok Zaćwilichowskiego.

W izbie przez chwilę zapanowała cisza. Siła, jakiej dowód złożył pan Skrzetuski, zaimponowała zebranej szlachcie. Po chwili jednak cała izba zatrzęsła się od śmiechu.

— Vivant Wiśniowiecczycy! — wołali jedni.

— Omdlał, omdlał i krwią oblan — krzyczeli inni, którzy zaglądali przeze drzwi, ciekawi, co też pocznie Czapliński. — Słudzy go podnoszą!

Mała tylko liczba stronników podstarościego milczała i, nie mając odwagi ująć się za nim, spoglądała ponuro, na namiestnika.

— Prawdę rzekłszy, w piętękę goni ten ogar — rzekł Zaćwilichowski.

— Kundys to, nie ogar — rzekł, zbliżając się gruby szlachcic, który miał bielmo na jednym oku, a na czole dziurę wielkości talara, przez którą świeciła naga kość. — Kundys to, nie ogar! Pozwól waść — mówił dalej, zwracając się do Skrzetuskiego — abym mu służby moje ofiarował. Jan Zagłoba, herbu Wczele, co każdy snadno poznać może, choćby po onej dziurze, którą w czele kula rozbójnicka mi zrobiła, gdym się do Ziemi Świętej za grzechy młodości ofiarował.

— Dajże waść pokój — rzekł Zaćwilichowski, — powiadałeś innym razem, że ci ją kuflem w Radomiu wybito.

— Kula rozbójnicka, jakom żyw! W Radomiu było co innego.

— Ofiarowałeś się waść do Ziemi Świętej... może, aleś w niej nie był, to pewno.

— Nie byłem, bom już w Galacie palmę męczennską otrzymał. Jeśli lżę, jestem arcypies, nie szlachcic!

— A taki breszesz i breszesz!

— Szelmą jestem bez uszu. W wasze ręce, panie namiestniku!

Tymczasem przychodzili i inni, zabierając z panem Skrzetuskim znajomość i affekt mu swój oświadczając, nie lubili bowiem ogólnie Czaplińskiego i radzi byli, że go taka spotkała konfuzya. Rzecz dziwna i trudna dziś do zrozumienia, że tak cała szlachta w okolicach Czebrynia, jak i pomniejsi właściciele słobód, dzierżawcy ekonomii, ba! nawet ze służby Konięcpolskich, wszyscy wiedząc, jako zwyczajnie w sąsiedztwie, o zatargach Czaplińskiego z Chmielnickim, byli po stronie tego ostatniego. Chmielnicki bowiem miał sławę znamienitego żołnierza, który niemałe zasługi w różnych wojnach położył. Wiedzano także, że sam król się z nim znoził i wysoce jego zdanie cenił, na całe zaś zajście patrzano tylko, jak na zwykłą burdę szlachcica ze szlachcicem, a takich burd na tysiące się liczyło, zwłaszcza w ziemiach ruskich. Stawano więc po stronie tego, kto sobie więcej przychylności zjednać umiał, nie przewidując, by z tego takie straszliwe skutki wyniknąć miały. Później dopiero zapłonęły serca nienawiścią ku Chmielnickiemu, ale zarówno serca szlachty i duchowieństwa obydwóch obozów.

Przychodzili tedy do pana Skrzetukiego z kwartami, mówiąc: „Pij, panie bracie! Wypij i ze mną! — Niech żyją Wiśniowieccy! Taki młody, a już porucznik u księcia! Viva księżę Jeremi, hetman nad hetmany! — Z księciem Jeremim pójdziemy na kraj świata! — Na Turków i Tatarów! — Do Stambułu! — Niech żyje miłościwie nam panujący Władysław IV!“ Najgłośniej zaś krzyczał pan Zagłoba, który sam jeden gotów był cały regiment przepić i przegadać.



— Mości panowie! — wrzeszczał, aż szyby w oknach dzwoniły — pozwalałem ja już jegomości sułtana do grodu za gwałt, którego się na mnie w Galacie dopuścił.

— Nie powiadajże waćpan lada czego, żeby ci się gęba nie wystrzępiła.

— Jak to, mości panie? quatuor articuli iudicii castrensis: stuprum, incendium, latrocinium et vis armata alienis aedibus illata, a czyż nie była to właśnie vis armata?

— Krzykliwy z waści głuszec.

— I choćby do trybunału pójde!

— Przestań-że, wasze...

— I kondemnatę uzyskam, i bezecnym go ogłoszę, a potem wojna, ale już z infamisem.

— Zdrowie waszmościów!

Niektórzy wszelako śmieli się, a z nimi pan Skrzetuski, bo mu się z czupryny trochę kurzyło, szlachcic zaś tokował dalej, naprawdę jak głuszec, który się własnym głosem upaja. Na szczęście, dyskurs jego przzerwany został przez innego szlachcica, który zbliżywszy się, pociągnął go za rękaw i rzekł śpiewnym litewskim akcentem:

— Poznajomij-że waćpan, mości Zagłobo, i mnie z panem namiestnikiem Skrzetuskim — poznajomij-że!

— A i owszem, i owszem. Mości namiestniku, oto jest pan Powsinoga.

— Podbipięta — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno! herbu Zerwipludry...

— Zerwikaptur — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno. Z Psychkiszek.

— Z Mysikiszek — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno. Nescio, cobym wolał, czy

mysie, czy psie kiszki. Ale to pewna, żebym w żadnych mieszkać nie chciał, bo to i osiedzieć się tam nie łatwo i wychodzić nie politycznie. Mości panie—mówił dalej do Skrzetuskiego, wskazując Litwina. — Oto tydzień już piję wino za pieniądze tego szlachcica, który ma miecz za pasem równie ciężki jak trzos, a trzos równie ciężki jak dowiep. Ale jeśliś pił kiedy wino za pieniądze większego cudaka, to pozwolę się nazwać takim kpem, jak ten, co mi wino kupuje.

— A to go objechał! — wołała, śmiejąc się, szlachta.

Ale Litwin nie gniewał się, kiwał tylko ręką, uśmiechał się łagodnie i powtarzał:

— At dałbyś waćpan pokój — słuchać hadko.

Pan Skrzetuski przypatrywał się ciekawie tej nowej figurze, która istotnie zasługiwała na nazwę cudaka. Przedewszystkiem był to mąż wzrostu tak wysokiego, że głową prawie powały dosięgał, a chudość nadzwyczajna wydawała go wyższym jeszcze. Szerokie jego ramiona i żyłasty kark zwiastowały niepospolitą siłę, ale była na nim tylko skóra i kości. Brzuch miał tak wpadły pod piersią, że możnaby go wziąć za głodomora, lubo ubrany był dostatnio w szarą opiętą kurtę ze świebodzińskiego sukna, z wązkiemi rękawami, i wysokie szwedzkie buty, które na Litwie zaczynały wchodzić w użycie. Szeroki i dobrze wypchany łosiowy pas, nie mając na czem się trzymać, opadał mu aż na biodra, a do pasa przywiązany był krzyżacki miecz, tak długi, że temu olbrzymiemu mężowi prawie do pachy dochodził.

Ale ktoby się miecza przeląkł, wnetby się uspo-

koil, spojrzawszy na twarz jego właściciela. Była to twarz chuda, również jak i cała osoba, ozdobiona dwiema zwiśniętymi ku dołowi brwiami i parą tak samo zwisłych konopnego koloru wąsów, ale tak poczciwa, tak szczerą, jak u dziecka. Owa obwisłość wąsów i brwi nadawała jej wyraz stroskany, smutny i śmieszny zarazem. Wyglądał na człeka, którego ludzie popychają, ale panu Skrzetuskiemu podobał się od pierwszego wejrzenia za ową szczerłość twarzy i doskonały moderunek żołnierski.

— Panie namiestniku — rzekł — to waszmość od księcia pana Wiśniowieckiego?

— Tak jest.

Litwin ręce złożył, jako do modlitwy, i oczy podniósł w górę.

— Ach, co to za wielki wojownik, co to za rycerz, co to za wódz!

— Daj Boże Rzeczypospolitej takich jak najwięcej.

— I pewno, i pewno. A czyby nie można do niego pod znak?

— Będzie waści rad.

Tu pan Zagłoba wtrącił się do rozmowy:

— Będzie miał książkę dwa rożny do kuchni, jeden z waćpana, drugi z jego miecza, albo najmnie waści za mistrza, albo każe na wasanu zbójów wieszać, lub sukno na barwę będzie waspanem mierzył! Tfu, jak się waćpan nie wstydzisz, będąc człowiekiem i katolikiem, być tak długim jak *serpens*, lub jak pogańska włócznia.

— Słuchać hadko — rzekł cierpliwie Litwin.

Ogniem i mieczem. T. I.

— Jakże też godność waszeci? — spytał pan Skrzetuski — bo gdyś mówił, pan Zagłoba tak waści podrywał, że z przeproszeniem nic nie mogłem zrozumieć.

— Podbipięta.

— Powsinoga.

— Zerwikaptur z Mysikiszek.

— Masz babo pociechę! Piję jego wino, ale kphem jestem, jeśli to nie pogańskie imiona.

— Dawno waść z Litwy? — pytał namiestnik.

— Ot już dwie niedziele w Czehryniu. Dowiedziawszy się od pana Zaćwilichowskiego, że waść tędy ciągnąć będziesz, czekam, by pod jego opieką księciu moje prośby przełożyć.

— Powiedz-że mi waszmość, proszę, bom cie-kaw, czemu też taki katowski miecz pod pachą nosisz?

— Nie katowski to, mości namiestniku, ale krzyżacki, a noszę, bo zdobyczny i dawno w rodzie. Już pod Chojnicami służył w litewskich rękach—tak i noszę.

— Ale to sroga machina i ciężka być musi okrutnie! chyba do obu rąk?

— Można do obu, można do jednej.

— Pokaż-że, wasze.

Litwin wydobył i podał, ale panu Skrzetuskiemu ręka zwiśla odrazu. Ni się złożyć, ni cięcia wymierzyć swobodnie. Na dwie ręce poradził, ale jeszcze było ciężko. Więc pan Skrzetuski zawstydził się trochę i zwróciwszy się do obecnych:

— No, mości panowie—rzekł—kto krzyż uczyni?

— My już próbowali—odrzekło kilka głosów.— Jeden pan komisarz Zaćwilichowski podniesie, ale krzyża i on nie uczyni.

— No, a waćpan? — pytał pan Skrzetuski, zwracając się do Litwina.

Szlachciec podniósł miecz, jak trzcinę, i machnął nim kilkanaście razy z największą łatwością, aż powietrze warczało w izbie, a wiatr powiał po twarzach.

— A niechże waści Bóg sekunduje! — zawołał Skrzetuski. — Pewną masz służbę u księcia pana.

— Bóg widzi, że jej pragnę, bo miecz mi w niej nie zardzewieje.

— Ale dowcip do reszty — rzekł pan Zagłoba — gdyż nie umiesz waść tak samo nim obracać.

Zaćwilichowski wstał, i obaj z namiestnikiem zabierali się do odejścia, gdy naraz wszedł do izby biały jak gołąb człowiek i, spostrzegłszy Zaćwilichowskiego, rzekł:

— Mości chorąży, komisarzu, ja tu do pana umyślnie!

Był to Barabasz, pułkownik czerkaski.

— To chodź-że waszmość do mnie na kwaterę — rzekł Zaćwilichowski. — Tu już się tak ze łbów kurzy, że i świata nie widać.

Wyszli razem, a Skrzetuski z nimi. Zaraz za progiem Barabasz spytał:

— Czy niema wieści o Chmielnickim?

— Są. Uciekł na Sicz. Oto ten oficer spotkał go wczoraj na stepie.

— To nie wodą pojechał? Pchnąłem gońca do Kudaku, by go łapano, ale jeśli tak, to napróżno.

To rzekłszy, Barabasz zatknął rękoma oczy i począł powtarzać:

— Ej! spasi Chrystel spasi Chrystel!

— Czego waść trwożysz?

— A czy waszmość wiesz, co on mi zdradą wydał? Czy wiesz, co to znaczy takie dokumenta w Siczy opublikować? Spasi Chrystel Jeśli król wojny z bisurmanem nie uczyni, to iskra na prochy...

— Rebelię waszmość przepowiadasz?

— Nie przepowiadam, bo ją widzę, a Chmielnicki lepszy od Nalewajki i od Łobody.

— A kto za nim pójdzie?

— Kto? Zaporozie, rejestrowi, mieszczenie, czerni, futurnicy — i tacy oł!

Tu pan Barabaszk wskazał rynek i uwijających się po nim ludzi. Cały rynek był zapchany wielkimi siwymi wołami, pędzonymi ku Korsuniowi dla wojska, a przy wołach szedł mnogi lud pastuszy, tak zwani czabanowie, którzy całe życie w stepach i pustyniach spędzali — ludzie zupełnie dzicy, nie wyznający żadnej religii — religionis nullius, jak mówił wojewoda Kisiel. Spostrzegales między nimi postacie podobniejsze do zbójów, niż do pasterzy, okrutne, straszne, pokryte łachmanami rozmaitych ubiorów. Większa ich część była przybrana w tołuby baranie, albo w niewyprawne skóry, wełną na wierzch, rozchełstane na przedzie i ukazujące, choć była to zima, nagą pierś, spaloną od wiatrów stepowych. Każdy zbrojny, ale w najrozmaitszą broń: jedni mieli łuki i sądaki na plecach, niektórzy samopały, albo tak zwane z kozacka „piszczele,” inni szable tatarskie, inni kosy, lub wreszcie tylko kije z przywiązaną na końcu szczęką końską. Między nimi kręcili się niemniej dzicy, choć lepiej zbrojni niżowcy, wiozący do obozu na sprzedaż rybę suszoną, zwierzynę i tłuszcz barani, dalej czumacy z solą,

stepowi i leśni pasiecznicy, oraz woskoboje z miodem, osadnicy leśni ze smołą i dziegciem; dalej chłopci z podwodami, kozacy rejestrowi, Tatarzy z Białogrodu i Bóg wie kto — włóczęgi, „siromachy“ z końca świata. W całym mieście pełno było pijanych, w Czehryniu bowiem wypadał nocleg, więc i hulały przed nocą. Na rynku rozkładano ognie, gdzieś niedługo paliła się beczka ze smołą. Zewsząd dochodził gwar i wrzaski. Przeraźliwy głos piszczałek tatarskich i bębenków mieszał się z ryczeniem bydła i z łagodniejszymi głosami lir, przy których wtórnie ślepcy śpiewali ulubioną wówczas pieśń:

„Sokołe jasnyj,
Brate mij ridnyj,
Ty wysoko łątajesz,
Ty daleko widajesz.“

A obok tego rozlegały się dzikie okrzyki: „hul ha! — hul ha!“ kozaków, tańczących na rynku tropaka, pomazanych dziegciem i pijanych zupełnie. Wszystko to razem było dzikie i rozszalałe. Dość było Zaćwichowskiemu jednego spojrzenia, by się przekonać, że Barabasza miał słuszną rację, że lada podmuch mógł rozpętać te niesforne żywioły, skłonne do grabieży, a przywykłe do boju, których pełno było na całej Ukrainie. A poza tymi tłumami stała jeszcze Sicz, stało Zaporozże, od niedawna okiełznane i w karby po Masłowym Stawie ujęte, ale gryzące niecierpliwie munsztuk, pomne dawnych przywilejów, nienawidzące komisarzy, a stanowiące uorganizowaną siłę. Siła ta miała przecie za sobą sympatyę niezmiernych mas chłopstwa, mniej cierpliwego, niż w innych Rzplitej stronach, bo mającego pod boki Czertomelika, a na

nim bezpaństwo, rozbój i wolę. Więc pan chorąży, choć sam Rusin i gorliwy wschodniego obrządku stronnik, zadumał się smutno.

Jako człek stary, pamiętał dobrze czasy Nalewajki, Łobodów, Kremskiego, znał ukraińskie rozbójnictwo lepiej może, niż ktokolwiek na Rusi, a znając jednocześnie Chmielnickiego, wiedział, że on wart dwudziestu Łobodów i Nalewajków. Zrozumiał tedy całe niebezpieczeństwo jego na Sicz ucieczki, zwłaszcza z listami królewskimi, o których pan Barabasz powiadał, że były pełne obietnic dla kozaków i zachęcające ich do oporu.

— Mości pułkowniku Czerkaski — rzekł do Barabasza — powinienbyś waszmość na Sicz jechać, wpływy Chmielnickiego równoważyć i pacyfikować, pacyfikować!

— Mości chorąży — odparł Barabasz — powiem tylko tyle waszmości, że na samą wieść o ucieczce Chmielnickiego z papierami, połowa moich czerkaskich ludzi dzisiejszej nocy także na Sicz za nim zbiegła. Moje czasy już minęły — mnie mogiła, nie buława!

Rzeczywiście, Barabasz był żołnierz dobry, ale człowiek stary i bez wpływu.

Tymczasem doszli do kwatery Zaćwilichowskiego; stary chorąży odzyskał już trochę pogody umysłu, właściwej jego gołębiej duszy, i gdy zasiedli nad półgarncówką miodu, rzekł raźniej:

— Wszystko to furda, jeśli, jak mówią, wojna z bisurmanem praeparatur, a podobno że tak i jest, bo choć Rzeczpospolita wojny nie chce i niemało już sejmy królowi krwi napsuły, wszelako król może

na swoim postawić. Cały ten ogień można będzie na Turka obrócić, a w każdym razie mamy przed sobą czas. Ja sam pojedę do pana Krakowskiego, zdam mu sprawę i będę prosił, by się jako najbliżej ku nam z wojskiem przymknął. Czy co wskóram, nie wiem, bo chociaż to pan mężny i wojownik doświadczony, ale okrutnie w swoim zdaniu i swoim wojsku dufny. Waść, mości pułkowniku Czerkaski, trzymaj w ryzie kozaków — a waszeć, mości namiestniku, po przybyciu do Łubniów, ostrzeż księcia, by na Sicz baczność obrócił. Choćby mieli co począć — repeto: mamy czas. Na Siczy teraz ludzi niewiele: za rybą i za zwierzem się porozchodzili i po całej Ukrainie we wsiach siedzą. Nim się ściągną, dużo wody w Dnieprze upłynie. Przytem imię księcia straszne i gdy się zwiedzą, że na Czertomelik oczy ma obrócone, może będą cicho siedzieli.

— Ja z Czehryna choćby we dwóch dniach ruszyć gotowy — rzekł namiestnik.

— To i dobrze. Dwa i trzy dni nic nie znaczą. Waszmość, panie Czerkaski, pchnij też gońców z oznajmieniem sprawy do pana chorążego koronnego i do księcia Dominika. Ale waszmość już śpisz, jak widzę?

Rzeczywiście, Barabasz złożył ręce na brzuchu i zdrzemnął się głęboko; po chwili nawet chrapać zaczął. Stary pułkownik, gdy nie jadł i nie pił, co oboje nad wszystko lubił, to spał.

— Patrz waszeć — rzekł cicho do namiestnika Zaćwilichowski — i przez takiego to starca warszawscy statyści chcieliby kozaków w ryzie utrzymać! Bóg z nimi! Ufali też i samemu Chmielnickiemu,

z którym kanclerz w jakoweś układy wchodził, a który podobno srodze ufnosć zawiedzie.

Namiestnik westchnął na znak współczucia. Barabasza zaś chrapnął silniej, a potem mruknął przez sen:

— Spasi Chryste! spasi Chryste!

— Kiedyż waść myślisz z Czechrynia ruszyć? — spytał chorąży.

— Wypada mi ze dwa dni Czaplińskiemu poczekać, który pewnie będzie chciał konfuzyi, jaka go spotkała, dochodzić.

— Nie uczyni tego. Prędzejby na waści sług swoich nasłał, gdybyś barwy książęcej nie nosił; ale z księciem zadrzeć straszna rzecz — nawet dla sługi Koniecpolskich.

— Oznajmię mu, że czekam, a we dwa lub w trzy dni ruszę. Zasadzki też nie obawiam się, mając przy boku szablę i garść ludzi.

To rzekłszy, namiestnik pożegnał starego chorążego i wyszedł.

Nad miastem świeciła tak jasna łuna od stosów nałożonych na rynku, iż rzekłbyś cały Czechryn się pali, a gwar i krzyki wzmogły się jeszcze z nastaniem nocy. Żydzi nie wychylali się wcale ze swych domowstw. W jednym kącie tłumy czabanów wyły posępne pieśni stepowe. Dzicy Zaporozcy tańczyli koło ognisk, rzucając w górę czapki, paląc z „pi-szczeli“ i pijąc kwartami gorzałkę. Tu i owdzie zrywała się bijatyka, którą uśmierzali ludzie starostki. Namiestnik musiał torować sobie drogę rękojęścią szabli i, słuchając tych wrzasków i szumu kozaczego, chwilami myślał sobie, że to już rebelia tak przemawia. Zdawało mu się także, że widzi groźne

spojrzenia i słyszy ciche, zwracane ku sobie klątwy. W uszach brzęczały mu jeszcze słowa Barabasza: „Spasi Chryste, spasi Chryste!” — i serce biło mu żywiej.

A tymczasem w mieście czabanowie zawodzili coraz głośniej chorowody, a Zaporozcy palili z samopałów i kąpali się w gorzałce.

Strzelanina i dzikie „u-ha! u-ha!” dochodziły do uszu namiestnika nawet wówczas, gdy już położył się spać w swojej kwaterze.

ROZDZIAŁ III.

W kilka dni później, poczet naszego namiestnika posuwał się rażno w stronę Łubniów. Po przeprawie przez Dniepr, szli szeroką drogą stepową, która łączyła Czehryń z Łubniami, idąc na Żuki, Semi-Mogiły i Chorol. Drugi taki gościniec wiodł ze stolicy książęcej do Kijowa. Za dawniejszych czasów, przed rozprawą hetmana Żółkiewskiego pod Sołonicą, dróg tych nie było wcale. Do Kijowa jechało się z Łubniów stepem i puszczą; do Czehrynia była droga wodna—z powrotem zaś jeżdżono na Chorol. W ogóle zaś, owo naddnieprzańskie państwo—stara ziemia połowiecka—było pustynią, mało co więcej od Dzikich pól zamieszkaną, przez Tata-rów często zwiedzaną, dla watah zaporoskich otwartą.

Nad brzegami Suły szumiały ogromne, prawie stopą ludzką niedotykanne lasy; miejscami po zapadłych brzegach Suły, Rudej, Śleporodu, Korowaja, Orżawca, Pszoły i innych większych i mniejszych rzek i przytoków, tworzyły się mokradła, zarosłe częścią gęstwiną krzów i borów, częścią odkryte pod postacią łąk. W tych borach i bagniskach znajdował łatwy przytułek zwierz wszelkiego rodzaju; w najgłębszych mrokach leśnych żyła moc niezmierna turów brodatych,

niedźwiedzi i dzikich świń, a obok nich liczna szara gawieź wilków, rysiów, kun, stada sarn i kraśnych suhaków; w bagniskach i w łąkach rzecznych bobry zakładały swoje żeremia, a o tych bobrach chodziły wieści na Zaporozu, że są między nimi stuletnie starce, białe jak śnieg ze starości.

Na wysokich, suchych stepach bujały stada koni dzikich, o kudłatych głowach i krwawych oczach. Rzeki roiły się rybą i ptactwem wodnem. Dziwna to była ziemia, na wpół uśpiona, ale nosząca ślady dawniejszego życia ludzkiego. Wszędzie pełno popieliszczy po jakichś przedwiecznych grodach; same Łubnie i Chorol były z takich popieliszczy podniesione; wszędzie pełno mogił, nowszych i starszych, porośniętych już borem. I tu, jak na Dzikich polach, nocami wstawały duchy i upiory, a starzy Zaporozcy opowiadali sobie przy ogniskach dziwy o tem, co się czasami działo w owych głębinach leśnych, z których dochodziły wycia niewiadomo jakich zwierząt, krzyki pół-ludzkie, pół-zwierzęce, gwary straszne, jakoby bitew lub łowów. Pod wodami odzywały się dzwony potopionych miast. Ziemia była mało gościnna i mało dostępna, miejscami zbyt rozmiękła, miejscami cierpiąca na brak wód, spalona, sucha, a do mieszkania niebezpieczna, osadników bowiem, gdy się jako tako osiedlili i zagospodarowali, ścierały napady tatarskie. Odwiedzali ją tylko Zaporozcy dla gonów bobrowych, dla zwierzra i ryby, w czasie bowiem pokoju większa część niżowców rozłaziła się z Siczy na łowy, czyli jak mówiono: na „przemysł“, po wszystkich rzekach, jarach, lasach i komyszach, bobrując w miejscach, o których istnieniu nawet mało kto wiedział.

Jednakże i życie osiadłe próbowało uwiązać się do tych ziem, jak roślina, która usiłuje, gdzie może, chwycić się gruntu korzonkami i raz wraz wyrwana, gdzie może, odrasta.

Powstawały na pustkach grody, osady, kolonie, slobody i futory. Ziemia była miejscami żyzna, a nęciła swoboda. Ale wtedy dopiero zakwitło życie, gdy ziemie te przeszły w ręce kniaziów Wiśniowieckich. Książ Michał, po ożenieniu się z Mohylanką, począł starowniej urządzać swoje zadnieprzańskie państwo; ściągał ludzi, osadzał pustki, zapewniał swobody do lat trzydziestu, budował monastery i wprowadzał prawo swoje książęce. Nawet taki osadnik, który przymknął do tych ziem niewiadomo kiedy i sądził, że siedzi na własnym gruncie, chętnie schodził do roli kniaziewego czynszownika, gdyż za ów czynsz szedł pod potężną książęcą opiekę, która go ochraniała, broniła od Tatarów i gorszych nieraz od Tatarów—niżowców. Ale prawdziwe życie zakwitło dopiero pod żelazną ręką młodego księcia Jeremiego. Za Czehryniem zaraz zaczynało się jego państwo, a kończyło het aż pod Kobotopem i Romnami. Nie stanowiło ono całej kniaziewej fortuny, bo od województwa Sandomierskiego począwszy, ziemie jego leżały w województwach Wołyńskiem, Ruskiem, Kijowskiem, ale naddnieprzańskie państwo było okiem w głowie zwycięzcy z pod Putywli.

Tatar długo czyhał nad Orłem, nad Worską i wietrzył, jak wilk, nim ośmielił się na północ konia popędzić — niżowcy nie próbowali zatargu. Miejscowe niespokojne watahy poszły w służbę. Dzikie i rozbójniczy lud, żyjący dawniej z gwałtów i napadów, teraz ujęty w karby, zajmował „polanki“ na

rubieżach i leżąc na granicach państwa, jak brytan na łańcuchu, groził zębem najeźdźcy.

Toż zakwitło i zaroilo się wszystko. Pobudowano drogi na śladach dawnych gościńców; rzeki ujęto groblami, które sypał niewolnik Tatar lub niżowiec, schwytyany z bronią w rękę na rozboju. Tam, gdzie niegdyś wiatr grywał dziko nocami na oczeretach i wyły wilki i topielcy, teraz hurkotały młyny. Przeszło czterysta kół, nie licząc rzęsiście rozsianych wiatraków, mełło zboże na samem Zadnieprzu. Czterdzieści tysięcy czynszowników wносиło czynsz do kas książęcych, lasy zaroiły się pasiekami, na rubieżach powstawały wsie coraz nowe, futory, slobody. Na stepach, obok tabunów dzikich, pasły się całe stada swojskiego bydła i koni. Nieprzejrzany, jednostajny widok borów i stepów ubarwił się dymami chat, złożonemi wieżami cerkwi i kościołów — pustynia zamieniła się w kraj dość ludny.

Jechał tedy pan namiestnik Skrzetuski wesoło i nie śpiesząc się, jakoby swoją ziemią, mając po drodze wszelkie wczasysy zapewnione. Był to dopiero początek stycznia 48 roku, ale dziwna, wyjątkowa zima nie dawała się wcale we znaki. W powietrzu tchnęła wiosna; ziemia rozmiękła i przeświecała wodą roztopów; na polach zieleniała ruń, a słońce dogrzewało tak mocno, że w podróży o południu kozuchy prażyły grzbiet, jak latem.

Orszak namiestnika zwiększył się znacznie, w Czehryniu bowiem przyłączyło się do niego poselstwo wotłoskie, które gospodar do Łubniów wysłał w osobie pana Rozwana Ursu. Przy poselstwie było kilkunastu karałaszków eskorty i wozy z czeladzią. Prócz tego z namiestnikiem jechał nasz znajomy pan Lon-

ginus Podbipięta, herbu Zerwikaptur, ze swoim długim mieczem pod pachą i z kilku czeladzi służbowej.

Słońce, cudna pogoda i woń zbliżającej się wiosny, napawały wesołością serca, a namiestnik tem był weselszy, że wracał z długiej podróży pod dach książęcy, który był zarazem jego dachem, wracał, sprawiwszy się dobrze, więc i przyjęcia dobrego pewny.

Ale wesołość jego miała i inne powody.

Oprócz łaski księcia, którego namiestnik z całej duszy kochał, czekały go w Łubniach jeszcze i pewne czarne oczy, tak słodkie, jak miód.

Oczy te należały do Anusi Borzobohatej-Kraśieńskiej, panienci respektowej księżny Gryzeldy, najpiękniejszej dziewczyny z całego fraucymeru, bałamutki wielkiej, za którą przepadali wszyscy w Łubniach, a ona za nikim. U księżny Gryzeldy mores był wielki i surowość obyczajów niepomierna, co jednak nie przeszkadzało młodemu spoglądać na się jarzącymi oczyma i wzdychać. Pan Skrzetuski posyłał tedy swoje westchnienia ku czarnym oczom na równi z innymi, a gdy bywało zostawał sam w swojej kwaterze, wówczas chwycił lutnię w rękę i śpiewywał:

„Tyś jest specyał nad specyały!“ —

lub też:

„Jak tatarska orda,

Bierzesz w jasyr corda!“

Ale że to był człek wesoły i przytem żołnierz wielce w swym zawodzie zamilowany, więc nie brał zbyt do serca tego, że Anusia uśmiechała się tak samo do niego, jak i do pana Bychowca z chorągwi wołoskiej, jak do pana Wurcla z artyleryi, jak do pana Wołodajowskiego z dragonów, a nawet do pana Ba-

ranowskiego z husaryi, chociaż ten ostatni był już dobrze szpakowaty i szeplecił, mając podniebienie potrząskane kulą z samopału. Nasz namiestnik bił się już nawet raz z panem Wołodziejowskim w szable o Anusię, ale gdy przyszło za długo siedzieć w Łubniach bez jakowejś wyprawy na Tatarów, to sobie nawet i przy Anusi przykrzył, a gdy przyszło ciągnąć — to ciągnął z ochotą, bez żalu, bez wspominków.

Za to też i witał z radością. Teraz więc oto, wracając z Krymu po pomyślnem rzeczy załatwieniu, podśpiewywał wesoło i czwanił koniem, jadąc obok pana Longinusa, który, siedząc na ogromnej inflanckiej kobyle, strapiiony był i smutny, jak zawsze. Wozy poselstwa, karasze, eskorta, zostały znacznie za nimi.

— Jegomość poseł leży na wozie, jak kawał drzewa i śpi ciągle — rzekł namiestnik. — Cudów mi naprawił o swojej Wołoszczyźnie, aż i ustał. Jam też słuchał z ciekawością. Niema co! kraj bogaty, klima przednie, złota, wina, bakaliów i bydła dostatek. Pomyślałem sobie tedy, że nasz książę rodzi się z Mohylanki i że ma takie dobre prawo do hospodarskiego tronu, jak kto inny, których praw przecie książę Michał dochodził. Nie nowina to naszym paniętom Wołoszczyzna. Bijali już tam i Turków, i Tatarów, i Wołochów, i Siedmiogrodzian...

— Ale lud tam miększy niż u nas, o czem mi i pan Zagłoba w Czehryniu opowiadał — rzekł pan Longinus — a gdybym jemu nie wierzył, to wtedy w książkach do nabożeństwa potwierdzenie tej prawdy się znajduje.

— Jak to w książkach?

— Ja sam mam taką i mogę ją waszmości pokazać, bo ją zawsze wożę z sobą.

To rzekłszy, odpiął troki przy terlicy i, wydobywszy niewielką książeczkę, starannie w cięłą oprawioną, naprzód ucałował ją pobożnie, potem przewróciwszy kilkanaście kartek, rzekł:

— Czytaj waść.

Pan Skrzetuski rozpoczął:

— „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...” Gdzie zaś tu jest o Wołochach? co waść mówisz! — to antyfona!

— Czytaj waść dalej.

— „...Abyśmy się stali godnymi obietnic Pana Chrystusowych. Amen.”

— No, a teraz pytanie...

Skrzetuski czytał:

— „Pytanie: Dlaczego jazda wołoska zowie się lekką? — Odpowiedź: Bo lekko ucieka. Amen.” — Hm! prawda! Wszelako w tej książce dziwne jest materyi pomieszanie.

— Bo to jest książka żołnierska, gdzie obok modlitw, rozmaite *instructiones militares* są przyłączone, z których nauczysz się waść o wszystkich nacyach, która z nich zacniejsza, która podła; co do Wołochów zaś, to się pokazuje, iż tchórzliwie z nich pachołki, a przytem zdrajcy wielcy.

— Że zdrajcy, to pewna, bo pokazuje się to i z przygód księcia Michała. Co prawda, to i ja słyszałem, iż żołnierz to z przyrodzenia nieszcze-gólny. Ma przecie książę jegomość chorągiew wołoską bardzo przednią, w której pan Bychowiec porucznikuje, ale *stricto*, to w owej wołoskiej chorągwi nie wiem, czy i dwudziestu Wołochów się znajduje.

— Jak też waszmość myślisz, panie namiestniku, siła książę ma ludzi pod bronią?

— Będzie z ośm tysięcy, nie licząc kozaków, co po pałankach stoją. Ale powiadał mi Zaćwili-chowski, że teraz nowe zaciągi są czynione.

— To może Bóg da jakową wyprawę pod księciem panem?

— Tak mówią, że wielka wojna z Turczy-nem się gotuje i że sam król z całą potęgą Rzplitej ma ruszyć. Wiem też, że upominki Tatarom są wstrzymywane, którzy przecie od strachu nie śmia zagonu ruszyć. O tem słyszałem i w Krymie, gdzie bodaj dłatego przyjmowano mnie tak *h o n e s t e*, bo jest wieść, że gdy król z hetmany pociągnie, książę ma na Krym uderzyć i całkiem Tatarów zetrzeć. Jakoż to jest pewna, że takowej imprezy innemu nie powierzą.

Pan Longinus podniósł do góry ręce i oczy.

— Dajże Boże miłosierny, daj takową świętą wojnę, na chwałę chrześcijaństwu i naszemu narodowi, a mnie grzesznemu pozwól w niej *v o t a* moje spełnić, abym *i n l u c t u* mógł być pocieszony, albo też śmierć chwalebną znaleźć.

— To waść ślub wedle wojny uczynił?

— Tak zacnemu kawalerowi wszystkie arkana duszy mojej otworzę, choć siła mówić, ale gdy waćpan ucha chętnie skłaniasz, przeto *i n c i p i a m*: Wiesz waszmość, że herb mój zwie się Zerwikaptur, co z takowej przyczyny pochodzi, że gdy jeszcze pod Grunwaldem przodek mój, Stowejko Podbipięta, ujrzał trzech rycerzy w mniszach kapturach, w szeregu jadących, zajechawszy ich, ściał wszystkich trzech

Ogniem i mieczem. T. I.

odrazu, a o tym sławnym czynie stare kroniki piszą, z wielką dla przodka mego chwałą...

— Nie lżejszą miał on przodek od waści rękę, ale i słusznie Zerwikapturem go nazwali.

— Któremu też król herb nadał, a w nim trzy kozie głowy w srebrnem polu, na pamiątkę owych rycerzy, gdyż takie same głowy były na ich tarczach wyobrażone. Ten herb, razem z tym tu oto mieczem, przodek mój Stowejko Podbipięta przekazał potomkom swoim z zaleceniem, by starali się splendor rodu i miecza podtrzymać.

— Niema co mówić, z grzecznego rodu waszmość pochodzisz!

Tu pan Longinus zaczął wzdychać rzewnie, a gdy nakoniec ulżyło mu trochę, tak mówił dalej:

— Będąc tedy z rodu ostatni, ślubowałem w Trokach Najświętszej Pannie żyć w czystości i nie prędeż stanąć na ślubnym kobiercu, póki za sławnym przykładem przodka mego, Stowejki Podbipięty, trzech głów tymże samym mieczem od jednego zamachu nie zetnę. O Boże miłosierny, widzisz, żem wszystko uczynił, co było w mocy mojej. Czystości dochowałem do dnia dzisiejszego, sercu czułem milczeć kazałem, wojny szukałem i walczyłem, ale szczęścia nie miałem...

Porucznik uśmiechnął się pod wąsem.

— I nie ściąłeś waćpan trzech głów?

— Ot! nie zdarzyło się! Szczęścia niemal Po dwie nieraz bywało, ale trzech nigdy. Nie udało się zająć, a trudno prosić wrogów, by się ustawili równo do cięcia. Bóg jeden widzi moje smutki: siła w kościach jest, fortuna jest... ale *adolescencia*

uchodzi, czterdziestu pięciu lat dobiegam, serce do afektów się wyrывa, ród ginie, a trzech głów jak niema, tak niema!... Taki i Zerwikaptur ze mnie. Pośmiewisko dla ludzi, jak słusznie mówi pan Zagłoba, co wszystko cierpliwie znoszę i Panu Jezusowi ofiaruję.

Litwin począł znowu tak wzdychać, że aż i jego inflancka kobyła, widać ze współczucia dla swego pana, jęła stękać i chrapać żałośnie.

— To tylko mogę waszmości powiedzieć — rzekł namiestnik — iż jeśli pod księciem Jeremim nie znajdziesz okazji, to chyba nigdy.

— Daj Boże! — odparł pan Longinus — dlatego i jadę prosić o łaskę księcia pana.

Dalszą rozmowę przerwał im nadzwyczajny łopot skrzydeł. Jako się rzekło, zimy tej ptactwo nie szło za morza, rzeki nie zamarzały, przeto szczególnie wodnego ptactwa wszędzie było pełno nad błotami. Właśnie w tej chwili porucznik z panem Longinem zbliżali się do brzegu Kahamliku, gdy nagle zaszumiało im nad głowami całe stado żórawi, które przeciągały tak nisko, że możnaby niemal kijem do nich dorzucić. Stado leciało z wraskiem okrutnym i zamiast zapaść w oczerety, podniosło się niespodziewanie w górę.

— Mkną, jakby gonione — rzekł pan Skrzetuski.

— A o! widzisz waś — rzekł pan Longinus, ukazując białego ptaka, który tnąc powietrze ukośnym lotem, starał się podlecieć pod stado.

— Raróg, raróg! przeszkadza im zapaść! — wołał namiestnik. — Poseł ma rarogi — musiał puścić.

W tej chwili pan Rozwan Ursu nadjechał pędem na czarnym anatolskim dzianecie, a za nim kilku karałaszków służbowych.

— Panie poruczniku, proszę na zabawę — rzekł.

— Czy to raróg waszej cześci?

— Tak jest, i zacny bardzo, zobaczysz waść...

Popędzili naprzód we trzech, a za nimi Wołoch sokolniczy z obręczą, który utkwivszy oczy w ptaki, krzyczał z całych sił, zachęcając raroga do walki.

Dzielny ptak zmusił już tymczasem stado do podniesienia się w górę, potem sam wzbił się, jak błyskawica, jeszcze wyżej i zawisł nad niem. Żora-wie zbiły się w jeden ogromny wir, szumiący jak burza skrzydłami. Groźne wrzaski napępniały powietrze. Ptaki powyciągały szyje, powytykały ku górze dzioby, jak włócznie i czekały ataku.

Raróg tymczasem krążył nad nimi. To zniżał się, to podnosił, jak gdyby wahał się runąć na dół, gdzie na pierś jego czekało sto ostrych dziobów. Jego białe pióra, oświecone słońcem, błyszczwały, jak samo słońce, na pogodnym błękiecie nieba.

Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomknął jak strzała w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów.

Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z kopyta. Poseł, sokolnik i pan Longinus poszli za jego przykładem.

Wtem na skrócie drogi namiestnik wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy. W pośrodku gościńca leżała na boku kolaska ze złamaną osią. Odprężone konie trzymało dwóch kozacków. Woźnicy nie było wcale; widocznie odjechał w celu szukania pomocy. Przy kolasce stały dwie niewiasty, jedna ubrana w lisi tołub i takąż czapkę z okrągłym dnem, twarzy surowej, męskiej; druga

była to młoda panna, wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych. Na ramieniu tej młodej pani siedział spokojnie raróg i rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dziobem.

Namiestnik osadził konia, aż kopyta wryły się w piasek gościńca, i rękę podniósł do czapki, zmieszany i nie wiedzący, co ma mówić: czy witać, czy o raroga się dopominać? Zmieszany był jeszcze i dlatego, że z pod kuniego kapturka spojrzały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział: czarne, aksamitne, a łzawe, a mieniające się, a ogniste, przy których oczy Anusi Borzobohatej zgastyby, jak świeczki przy pochodniach. Nad temi oczyma jedwabne ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnymi łukami, zarumienione policzki kwitnęły, jak kwiat najpiękniejszy, przez malinowe wargi, trochę otwarte, widniały ząbki, jak perły, z pod kapturka spływały bujne czarne warkocze. „Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?“ — pomyślał namiestnik, widząc ten wzrost strzelisty, piers wypukłą i tego białego sokoła na ramieniu. Stał tedy nasz porucznik bez czapki i zapatrzył się, jak w cudowny obraz, i tylko oczy mu się świeciły, a za serce chwyciło go coś, jak ręką. I już miał rozpocząć mowę od słów: „Jeśliś jest śmiertelną istotą, nie zaś bóstwem...“ gdy w tej chwili nadjechał poseł i pan Longinus, a z nimi sokolnik z obręczą. Widząc to, bogini nadstawiła rarogowi rękę, na której ten zaraz, zszedłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na nogę. Namiestnik, uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen. Oto raróg, pozostawiwszy jedną nogę na ręku panny, drugą chwy-

cił się namiestnikowej dłoni i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć. Po namiestniku mrowie przeszło, raróg zaś dopiero wtedy dał się przenieść na obręcz, gdy sokolnik nałożył mu kaptur na głowę. A wtem starsza pani poczęła wyrzekać:

— Rycerze!—mówiła—ktokolwiek jesteście, nie odmawiajcie pomocy białogłowom, które zostawszy na drodze bez pomocy, same nie wiedzą, co począć. Do domu nam już nie dalej, niż trzy mile, ale w kolasce osie popękały, i chyba nam nocować w polu przyjdzie; woźnicę posłałam do synów, by nam choć wozu przysłali, ale nim woźnica dojedzie i wróci, ciemno będzie, a na tem uroczysku strach zostać, bo tu w pobliżu mogiły.

Stara szlachcianka mówiła prędko i głosem tak grubym, że namiestnik aż się zadziwił, wszelako odzrekł grzecznie:

— Nie dopuszczaj-że jejmość tej myśli, byśmy panią i nadobną jej córkę mieli bez pomocy zostawić. Jedziemy do Łubniów, gdyż żołnierzami w służbie J. O. księcia Jeremiego jesteśmy, i podobno nam droga w jedną stronę wypada, a choćby też nie, to zboczymy chętnie, byle się nasza asystencya nie uprzykrzyła. Co zaś do wozów, to ich nie mam, bo z towarzyszami po żołniersku komunikiem idę, ale pan poseł ma, i tuszę, że jako uprzejmy kawaler, chętnie nimi pani i jejmościance służyć będzie.

Posał uchylił sobolowego kołpaka, gdyż znając mowę polską, zrozumiał o co idzie, i zaraz z pięknym komplementem, jako grzeczny bojar, wystąpił, poczem rozkazał sokolniczemu skoczyć po wozy, które były znacznie z tyłu zostały. Przez ten czas namiestnik

patrzył na pannę, która ^{dziwnie}pożerczego wzroku jego znieść nie mogła, opuściła oczy na ziemię, a dama o kozackiem obliczu tak mówiła dalej:

— Niech Bóg zapłaci imę panom za pomoc. A że do Łubniów droga jeszcze daleka, nie pogardzicie moim i moich synów dachem, pod którym radzi wam będziem. My z Rozłogów-Siromachów, ja wdowa po kniaziu Kurcewiczu-Bułyże, a to nie jest moja córka, jeno córka po starszym Kurcewiczu, bracie mego męża, który sierotę swą nam na opiekę oddał. Synowie moi teraz w domu, a ja wracam z Czerkas, gdzie się do ołtarza Świętej-Przeczystej ofiarowała. Aż oto w powrocie spotkał nas ten wypadek, i gdyby nie polityka waszmościów, chybaby na drodze nocować przyszło.

Kniaziowa mówiłaby jeszcze dłużej, ale wtem zdala pokazały się wozy, nadjeżdżające kłusem wśród gromady karałaszów poselskich i żołnierzy pana Skrzetuskiego.

— To jejmość pani wdowa po kniaziu Wasilu Kurcewiczu? — spytał namiestnik.

— Nie! — zaprzeczyła żywo i jakby gniewliwie kniahini. — Jam wdowa po Konstantynie, a to jest córka Wasila, Helena — rzekła, wskazując pannę.

— O kniaziu Wasilu wiele w Łubniach rozpowiadają. Był to żołnierz wielki i nieboszczyka księcia Michała zaufany.

^{awaga} — W Łubniach nie byłam — rzekła z pewną wyniosłością Kurcewiczowa — i o jego żołnierstwie nie wiem, a o późniejszych postępkach niema co wspominać, gdyż i tak wszyscy o nich wiedzą.

Słyszając to, kniaziówna Helena zwiesiła głowę na piersi, jak kwiat podcięty kosą, a namiestnik odparł żywo:

— Tego waćpani nie mów. Książ Wasil, przez straszliwy error sprawiedliwości ludzkiej skazany na utratę gardła i mienia, musiał się ucieczką salwować, ale później wykryła się jego niewinność, którą też promulgowano, i do sławy go, jako cnotliwego męża, przywrócono; a sława tem większą być powinna, im większą była krzywda.

Kniahini spojrzała bystro na namiestnika, a w jej nieprzyjemnem, ostrem obliczu, gniew odbił się wyraźnie. Ale pan Skrzetuski, choć człowiek młody, tyle miał w sobie jakowejś powagi rycerskiej i tak jasne wejrzenie, że mu zaoponować nie śmiała, natomiast zwróciła się do kniaziówny Heleny:

— Waćpannie tego słuchać nie przystoi. Idź oto dopilnuj, aby toboły z kolaski były przełożone na wozy, na których z pozwoleniem ichmościów siedzieć będziem.

— Pozwolisz jejmość panna pomódz sobie — rzekł namiestnik.

Poszli oboje ku kolasce, ale skoro tylko stanęli naprzeciw siebie po obu stronach jej drzwiczek, jedwabne frendzle oczu kniaziówny podniosły się, i wzrok jej padł na twarz porucznika, jakoby jasny, ciepły promień słoneczny.

— Jakże mam waszmości panu dziękować — rzekła głosem, który namiestnikowi wydał się tak słodką muzyką, jak dźwięczenie lutni i fletów — jakże mam dziękować, żeś się za sławę ojca mego ujął i za tę krzywdę, która go od najbliższych krewnych spotyka.

— Mościa pauno! — odpowiedział namiestnik, a czuł, że serce tak mu taje, jak śnieg na wiosnę. — Tak mi Pan Bóg dopomóż, jakobym dla takiej podzięki w ogień skoczyć gotowy, albo zgola krew

przełać, ale gdy ochota tak wielka, przeto zasługa mniejsza, dla której małości nie godzi mi się dziękczynnego żołądka z ust imć panny przyjmować.

— Jeżeli waszmość pan nim pogardzasz, to jako uboga sierota, nie mam jak inaczej wdzięczności mojej okazać.

— Nie pogardzam ja nim — mówił ze wzrastającą siłą namiestnik — ale na taki wielki fawor zarobić długą i wierną służbą pragnę, i o to tylko proszę, abys mnie imć panna przyjąć na owę służbę raczyła.

Kniaziówna, słysząc te słowa, zapłoniła się, zmieszana, potem przybladła nagle i ręce do twarzy podnosząc, odrzekła żalosnym głosem:

— Niestety chyba waćpanu taka służba przynieść mogła.

A namiestnik przechylił się przez drzwiczki kolaski i tak mówił z cicha a tklawie:

— Przyniesie, co Bóg da, a choćby też i ból, przeziem ja do nóg waćpanny upaść i prosić o nią gotowy.

— Nie może to być, rycerzu, abys waćpan, dopiero mnie ujrzawszy, tak wielką do onej służby miał ochotę.

— Ledwie cię ujrzał, jużem o sobie zgoła zapomniiał i widzę, że wolnemu dotąd żołnierzowi chyba w niewolnika zmienić się przyjdzie, ale taka wiadać wola Boża. Afekt jest jako strzała, która niespodzianie pierś przeszywa, i oto czuję jej grot, choć wczoraj sambym nie wierzył, gdyby mi kto powiadał.

— Jeślibys waszmość wczoraj nie wierzył, jakże ja uwierzyć dzisiaj mogę?

— Czas o tem najlepiej waćpannę przekona, a szczerości, choćby zaraz, nietylko w słowach, ale i w obliczu dopatrzeć się możesz.

I znowu jedwabne zasłony oczu kniaziówny podniosły się, a wzrok jej napotkał męskie i szlachetne oblicze młodego żołnierza i spojrzenie tak pełne zachwytu, że ciemny rumieniec pokrył jej twarz. Ale nie spuszczała już wzroku ku ziemi, i przez chwilę on pił słodycz jej cudnych oczu. I tak patrzali na siebie, jak dwie istoty, które spotkawszy się choćby na gościńcu, na stepie, czują, że się wybrały odrazu, i których dusze zaczynają zaraz lecieć wzajemnie ku sobie, jak dwa gołębie.

Aż tę chwilę zachwytu przerwał im ostry głos kniahini Konstantowej, wołający na kniaziównę. Wozy nadeszły. Karałasze poczęli przenosić na nie paki z kolaski i za chwilę wszystko było gotowe.

Pan Rozwan Ursu, grzeczny bojar, ustąpił obydwom niewiastom własnej kolaski; namiestnik siadł na koń. Ruszono w drogę.

Dzień też miał się już ku spoczynkowi. Rozlane wody Kahamliku świeciły złotem od zachodzącego słońca i purpury zorzy. Wysoko na niebie ułożyły się stada lekkich chmur, które, czerwieniejąc, stopniowo zsuwały się zwolna ku krańcom widnokręgu, jakby zmęczone lataniem po niebie, szły spać gdzieś do nieznanej koleby. Pan Skrzetuski jechał po stronie kniaziówny, ale nie zabawiał jej rozmową, bo tak z nią mówić, jak przed chwilą, przy obcych nie mógł, a błahe słowa nie chciały mu się przez usta przecisnąć. W sercu tylko czuł błogość, a w głowie szumiało mu coś, jak wino.

Cała karawana poruszała się rażno naprzód, a ciszę przerywało tylko parskanie koni lub brzęk strzemięcia o strzemię. Potem karałasze poczęli na tylnych wozach smutną pieśń wołoską, wkrótce jednak ustali, a natomiast rozległ się nosowy głos pana

Longina, śpiewającego pobożnie: „*Jam sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nieustająca, i jako mgła — pokryłam wszystką ziemię.*“ Tymczasem ściemniało. Gwiazdki zamigotały na niebie, a z wilgotnych łąk wstały białe tumany, jako morza bez końca.

Wjechali w las, ale zaledwie ujechali kilka staj, gdy dał się słyszeć tętent koni i pięciu jeźdźców ukazało się przed karawaną. Byli to młodzi kniazio- wie, którzy zawiadomieni przez woźnicę o wypadku, jaki spotkał matkę, śpieszyli na jej powitanie, prowadząc z sobą wóz zaprzężony we cztery konie.

— Czy to wy, synkowie?— wołała stara kniahini. Jeźdźcy zbliżyli się do wozów.

— My, matko!

— Bywajcie! Dzięki tym oto ichmościom, nie potrzebuję już pomocy... To moi synkowie, których polecam łasce MM. panów: Symeon, Jur, Andrzej i Mikołaj—a to kto piąty?—rzekła, przypatrując się pilnie—hej! jeśli stare oczy widzą pociemku, to Bohun — co?

Kniaziowna cofnęła się nagle w głąb kolaski.

— Czołem wam, kniahini, i wam, kniaziowno Heleno! — rzekł piąty jeździec.

— Bohun!—mówiła stara.—Od pułku przybyłeś, sokole? A z teorbanem? Witaj-że, witaj! Hej, synkowie! Prosiłam już I. M. panów na nocleg do Rozłogów, a teraz wy im się pokłońcie! Gość w dom, Bóg w dom! Bądźcież ichmościowie na nasz dom łaskawi.

Bułyhowie uchyłili czapek.

— Prosimy pokornie waszmościów w nizkie progi.

— Już mi też obiecali, i jego wysokość pan poseł, i imć pan namiestnik. Zacznych kawalerów będziemy

przyjmowali, tylko że przywykłym do specyałów na dworach, nie wiem, czyli będzie smakowała nasza uboga pasza.

— Na żołnierskim my chlebie, nie na dworskim chowaniu — rzekł pan Skrzetuski.

A pan Rozwan Ursu dodał:

— Próbowałem ja już gościnnego chleba w szlacheckich domach i wiem, że i dworski mu nie wyrówna.

Wozy ruszyły naprzód, a stara kniahini mówiła dalej:

— Dawno to, dawno już minęły lepsze dla nas czasy. Na Wołyniu i na Litwie są jeszcze Kurcewicze, którzy pocztę trzymają i wcale po pańsku żyją, ale ci uboższych krewnych znać nie chcą, za co niech ich Bóg skarże. U nas prawie kozacza bieda, którą nam waszmościowie musicie wybaczyć i szczerem sercem przyjąć to, co szczerze ofiarujemy. Ja i pięciu synów siedzimy na jednej wiosce i kilkunastu słobodach, a z nami i ta jeszcze jejmościanka na opiece.

Namiestnika zdziwiły te słowa, gdyż słyszał w Łubniach, że Rozłogi były niemałą fortuną szlachecką, a powtórę, że należały ongi do kniazia Wasila, ojca Heleny. Nie zdawało mu się jednak rzeczą stosowną pytać, jakim sposobem przeszły w ręce Konstantyna i jego wdowy.

— To jejmość pani pięciu masz synów? — zagadnął pan Rozwan Ursu.

— Miałam pięciu, jak lwów—rzecze kniahini— ale najstarszemu Wasilowi poganie w Białogrodzie oczy wykapali pochodniami, od czego mu też i rozum się nadwężył. Gdy młodzi pójdą na wyprawę, ja sama w domu zostaję, z nim tylko i z jejmościanką, z którą większa bieda, niż pociecha.

Pogardliwy ton, z jakim stara kniahini mówiła o swej synowicy, tak był widoczny, że nie uszedł uwagi porucznika. Pierś mu zawrzała gniewem, i o mało nie zaklął szpetnie, ale słowa zamarły mu na ustach, gdy spojrzawszy na kniaziównę, ujrzał przy świetle księżyca oczy jej zalane łzami.

— Co waćpannie jest? czego płaczesz? — spytał z cicha.

Kniaziówna milczała.

— Ja nie mogę znieść łez waćpanny — mówił pan Skrzetuski, i pochylił się ku niej, a widząc, że stara kniahini rozprawia z panem Rozwanem Ursu i nie patrzy w tę stronę, nalegał dalej: — Na Boga, przemów choć słowo, bo Bóg widzi, że i krew i zdrowiebych oddał, byle ciebie pocieszyć.

Nagle uczuł, że jeden z jeźdźców napiera go tak silnie, że aż konie poczynają się trześć bokami.

Rozmowa z kniaziówną była przerywana, więc pan Skrzetuski zdziwiony, ale i rozgniewany, zwrócił się ku śmiałkowi.

Przy świetle księżyca ujrzał dwoje oczu, które patrzyły na niego zuchwale, wyzywająco i szyderczo zarazem.

Straszne te oczy świeciły, jak ślepie wilka w ciemnym borze.

— Co u kaduka — pomyślał namiestnik — bies czy co? — i z kolei zajrzawszy zblizka w te pałające źrenice, spytał:

— A czego to wać tak koniem najeżdżasz i oczyma we mnie wiercisz?

Jeździec nie odpowiedział nic, ale patrzył wciąż równie uporczywie i zuchwale.

— Jeślić ciemno, to mogę ognia skrzesać, a jeślić gościniec za ciasny, to hajda w step! — rzekł już podniesionym głosem namiestnik.

— A ty odlitaj, Laszku, od kolaski, koły step baczysz — odparł jeździec.

Namiestnik, jako był człowiek do czynu skory, zamiast odpowiedzieć, uderzył tak silnie nogą w brzuch konia napastnika, że rumak jęknął i w jednym szczupaku znalazł się na samym brzegu gościńca.

Jeździec osadził go na miejscu i przez chwilę zdawało się, że pragnie rzucić się na namiestnika, ale wtem zabrzmiał ostry, rozkazujący głos starej kniahini:

— Bohun, szczo z toboju!

Słowa te miały natychmiastowy skutek. Jeździec zwrócił konia młynćem i przejechał na drugą stronę kolaski do kniahini, która mówiła dalej:

— Szczo z toboju? Ej, ty nie w Perejasławiu, ani w Krymie, ale w Rozłogach — bacz na to. A teraz skocz mi naprzód i prowadź wozy, bo jar zaraz, a w jarze ciemno. Hodi, siromacha!

Pan Skrzetuski równie był zdziwiony, jak rozgniewany. Ten Bohun widocznie szukał okazji, i byłby ją znalazł; ale dlaczego szukał? skąd ta niespodziewana napaść?

Przez głowę namiestnika przeleciała myśl, że tu kniaziówna wchodziła do gry, i utwierdził się w tej myśli, gdy spojrzawszy na twarz jej, ujrzał mimo mroków nocnych, że twarz ta była blada i że widocznie malowało się na niej przerażenie.

Tymczasem Bohun ruszył z kopyta naprzód, wedle rozkazu kniahini, która spoglądając za nim, rzekła w pół do siebie, w pół do namiestnika:

— To szalona głowa i bies kozaczy.

— Widać niespełna rozumu — odpowiedział pogardliwie pan Skrzetuski. — Czy to kozak w służbie synów imć pani?

Stara kniahini rzuciła się w tył kolaski:

— Co waćpan mówisz, to jest Bohun podpułkownik, przesławny junak, synom moim druh, a mnie jak szósty syn przybrany. Nie może też to być, abyś waszmość o nazwisku jego nie słyszał, bo wszyscy o nim wiedzą.

I rzeczywiście panu Skrzetuskiemu dobrze było znane to nazwisko. Z pośród imion różnych pułkowników i atamanów kozackich, wypłynęło ono na wierzch i było na wszystkich ustach, po obu stronach Dniepru. Ślepcy śpiewali o Bohunie pieśni po jarmarkach i karczmach, na wieczornicach opowiadano dziwy o młodym watażce. Kto on był, skąd się wziął, nikt nie wiedział. To pewna, że kolebką były mu stepy, Dniepr, Porohy i Czertomelik ze swoim labiryntem cieśnin, zatok, kołbani, wysp, skał, jarów i oczeretów. Od wyrostka zżył się i zespolił z tym dzikim światem.

Czasu pokoju chodził z innymi „za rybą i zwierzem,” tłukił się po zakrętach dniewprowych, brodził po bagniskach i oczeretach współ z gromadą półnagich towarzyszków — to znów całe miesiące spędzał w głębinach leśnych. Szkołą były mu wycieczki na Dzikie Pola po trzody i tabuny tatarskie, zasadzki, bitwy, wyprawy przeciw brzegowym ułusom, do Białogrodu, na Wołoszczyznę, lub czajkami na Czarne morze. Innych dni nie znał, tylko na koniu, innych nocy, tylko przy ognisku na stepie. Wcześniej stał się

ulubieńcem całego Niżu, wcześniej zaczął sam wodzić innych, i wkrótce odwagą wszystkich przewyższył. Gotów był w sto koni iść choćby do Bakeczyseraju i samemu chanowi zaświecić w oczy pożogą; palił ułusy i miasteczka, wycinał w pień mieszkańców, schwytych murzów rozdzierał końmi, spadał jak burza, przechodził jak śmierć. Na morzu rzucał się jak wściekły na galery tureckie. Zapuszczał się w środek Budziaku, wlaził, jak mówiono, w paszczękę lwa. Niektóre jego wyprawy były wprost szalone. Mniej odważni, mniej ryzykowni, konali na palach w Stambule, lub gnili przy wiosłach na tureckich galerach — on zawsze wychodził zdrowo i z łupem obfitym. Mówiono, że zebrał skarby ogromne i że trzyma je ukryte po dniewowych komyszach, ale też nieraz go widziano, jak deptał zabłoconemi nogami po złotogłowiach i lamach, koniom słał kobierce pod kopyta, albo jak ubrany w adamaszki kąpał się w dziegiu, umyślnie kozaczą pogardę dla onych wspaniałych tkanin i ubiorów okazując. Miejsca długo nigdzie nie zagrzał. Czynami jego powodowała fantazya. Czasem przybywszy do Czehrynia, Czerkas lub Perejasławia, hulał na śmierć z innymi Zaporozcami, czasem żył jak mnich, do ludzi nie gadał, w stepy uciekał. To znów otaczał się ślepcami, których grania i pieśni po całych dniach słuchał, a samych złotem obrzucał. Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między kozakami najdzikszym kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełznana i rozszalała. Po co na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu

służył — sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazyi. Ta właśnie fantazyja wyróżniała go od innych watażków grubijanów i od całej rzeszy rozbójniczej, która tylko grabież miała na celu i której zajedno było grabić Tatarów, czy swoich. Bohun brał łup, ale wołał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla własnego ich uroku; złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztę nie dbał.

Ze wszystkich watażków on jeden najlepiej uosabiał kozaka rycerza, dlatego też pieśń wybrała go sobie na kochanka, a imię jego rozślawiło się na całej Ukrainie.

W ostatnich czasach został podpułkownikiem perejasławskim, ale pułkownikowską władzę sprawował, bo stary Łoboda słabo już trzymał buławę krzepnącą dłonią.

Pan Skrzetuski dobrze tedy wiedział, kto był Bohun, a jeśli pytał starej kniahyni, czy to kozak w służbie jej synów, czynił to przez umyślną pogardę, bo przeczuł w nim wroga, a mimo całej sławy watażki, wzburzyła się krew w namiestniku, że kozak poczynił sobie z nim tak zuchwale.

Domyślał się też, że skoro się zaczęło, to się na byle czem nie skończy. Ale cięty to był jak osa człowiek pan Skrzetuski, dufny aż nadto w siebie i również nie cofający się przed niczem, a na niebezpieczeństwa chciwy prawie. Gotów był choćby i zaraz wypuścić konia za Bohunem, ale jechał przy boku kniaziówny. Zresztą wozy minęły już jar i zdala ukazały się światła w Rozłogach.

ROZDZIAŁ IV.

Kurcewicze - Bułyhowie był to stary książęcy ród, który się Kurczem pieczętował, od Koryata wywodził, a podobno istotnie szedł od Ruryka. Z dwóch głównych linii, jedna siedziała na Litwie, druga na Wołyniu, a na Zadnieprze przeniósł się dopiero książę Wasyl, jeden z licznych potomków linii wołyńskiej, który ubogim będąc, nie chciał wśród możnych krewnych zostawać i wszedł na służbę księcia Michała Wiśniowieckiego, ojca przesławnego „Jaremy.“

Okrywszy się sławą w tej służbie i znaczne posługi rycerskie księciu oddawszy, otrzymał od tegoż w dziedzictwie Krasne Rozłogi, które potem dla wielkiej mnogości wilków, Wilczemi Rozłogami przezwano, i stałe w nich osiadł. W roku 1629, przeszedłszy na obrządek łaciński, ożenił się z Rahozianką, panną z znacznego domu szlacheckiego, który się z Wołoszczyzny wywodził. Z małżeństwa tego w rok później przyszła na świat córka Helena; matka umarła przy jej urodzeniu, książę Wasyl zaś, nie myśląc już o powtórnym ożenku, oddał się całkiem gospodarstwu i wychowaniu jedynaczki. Był to człowiek wielkiego charakteru i niepospolitej cnoty. Dorobiwszy się dość szybko średniej fortuny, pomyślał zaraz o starszym swym bracie Kon-

stantynie, który na Wołyniu w biedzie został i odepchnięty od możnej rodziny, zmuszony był chodzić po dzierzawach. Tego razem z żoną i pięciu synami do Rozłogów sprowadził i każdym kawałkiem chleba się z nimi dzielił. W ten sposób obaj Kurcewiczowie żyli w spokoju aż do końca 1634 roku, w którym Wasyl z królem Władysławem pod Smoleńsk ruszył. Tam to zaszedł ów nieszczęsny wypadek, który zgubę jego spowodował. W obozie królewskim przejęto list pisany do Szehina, podpisany nazwiskiem kniazia i przypieczętowany Kurczem. Tak jawny dowód zdrady ze strony rycerza, który aż dotąd nieskazitelnej sławy używał, zdumiał i przeraził wszystkich. Naprózno Wasyl świadczył się Bogiem, że ni ręką, ni podpisem liście nie są jego — herb Kurcz na pieczęci usuwał wszelkie wątpliwości, w zgubienie zaś sygnetu, czem się kniaź tłumaczył, nikt wierzyć nie chciał — i ostatecznie nieszczęśliwy kniaź, pro crimine per duellionis, skazany na utratę czci i gardła, musiał się ucieczką salwować. Przybywszy nocą do Rozłogów, zaklął brata Konstantyna na wszystkie świętości, by jak ojciec opiekował się jego córką — i odjechał na zawsze. Mówiono, że raz jeszcze z Baru pisał list do księcia Jeremiego z prośbą, by nie odejmował kawałka chleba Helenie i spokojnie ją w Rozłogach na opiece Konstantyna zostawił — potem głos o nim zaginął. Były wieści, że zmarł zaraz, to że przystał do cesarskich i zginął na wojnie w Niemczech, ale któż mógł co wiedzieć na pewno? Musiał zginąć, skoro się więcej o córkę nie pytał. Wkrótce przestano o nim mówić, a przypominano go sobie dopiero, gdy wyszła na jaw jego niewinność. Niejaki Kupcewicz,

Witebszczanin, umierając zeznał, jako on pisał pod Smoleńskiem list do Szehina i znalezionym w obozie sygnetem go przypieczętował. Wobec takiego świadectwa, żalność i konsternacya ogarnęły wszystkie serca. Wyrok wtedy zmieniono, imię księcia Wasyla do sławy przywrócono, ale dla niego samego nagroda za mękę przyszła za późno. Co do Rozłogów, to Jeremi nie myślał ich zagarniać, bo Wiśniowieccy, znając lepiej Wasyla, nigdy o jego winie nie byli zupełnie przekonani. Mógłby on być nawet zostać i drwić z wyroku pod ich potężną opieką, a jeżeli uszedł, to dlatego, że niesławy zniesć nie umiał.

Helena chowała się więc spokojnie w Rozłogach, pod czułą opieką stryja—i dopiero po jego śmierci zaczęły się dla niej ciężkie czasy. Żona Konstantyna, z rodziny wątpliwego pochodzenia, była to kobieta surowa, popędliwa a energiczna, którą mąż jeden utrzymać w ryzie umiał. Po jego śmierci, zagarnęła w żelazne ręce rządy w Rozłogach. Służba drżała przed nią — dworzyszczowi bali się jej jak ognia, sąsiadom dała się wkrótce we znaki. W trzecim roku swych rządów, po dwakroć zbrojnie najeżdżała Siwińskich w Browarkach, sama przebrana po męsku, konno prowadząc czeladzi i najętym kozakom. Gdy raz pułki księcia Jeremiego pogromiły watahę Tatarów, swawolących koło Siedmiu Mogił, kniahyni na czele swoich ludzi zniosła ze szczerem kupę niedobitków, która się aż pod Rozłogi zapędziła. W Rozłogach też usadowiła się na dobre i poczęła je uważać za swoją i swoich synów własność. Synów tych kochała, jak wilczyca młode, ale sama będąc prostaczką, nie pomyślała o przystojnem dla nich wychowaniu. Mnich

greckiego obrządku, sprowadzony z Kijowa, wyuczył ich czytać i pisać — na czem też skończyła się edukacja. A przecie niedaleko były Łubnie, a w nich dwór książęcy, na którymby młodzi kniaziowie mogli nabrać poloru, wyćwiczyć się w kancelaryi, w sprawach publicznych, lub, zaciągawszy się pod chorągwie, w szkole rycerskiej. Kniahyni miała wszelako swoje powody, dla których nie oddawała ich do Łubniów.

Anużby książę Jeremi przypomniał sobie, czyje są Rozłogi i wejrzał w opiekę nad Heleną, albo sam dla pamięci Wasyla tę opiekę chciał sprawować? Przyszłoby chyba wówczas wynosić się z Rozłogów — wołała więc kniahyni, by w Łubniach zapomniano, że jacy Kurcewicze żyją na świecie. Ale też za to młodzi kniaziowie hodowali się wpół dziko i więcej po kozacku, niż po szlachecku. Pacholętami jeszcze będąc, brali udział w poswarkach starej kniahyni, w zajazdach na Siwińskich, w wyprawach na kupy tatarskie. Czując wrodzony wstręt do książek i pisma, po całych dniach strzelali z łuków, lub wprawiali ręce we władanie kiścieniami, szablą, w rzucanie arkanów. Nie zajmowali się nawet gospodarstwem, bo go nie puszczała z rąk matka. I żał było patrzeć na tych potomków znakomitego rodu, w których żyłach płynęła krew książęca, ale których obyczaje były surowe i grube, a umysły i zatwardziałe serca przypominały step nieuprawny. Tymczasem wyrastali, jak dęby; wiedząc wszelako to do siebie, iż są prostakami, wstydzili się żyć ze szlachtą, a natomiast milszem im było towarzystwo dzikich watażków kozackich. Wcześniej też weszli w komitywę z Niżem, gdzie ich za towarzyszków uważano. Czasem po pół roku siedzieli na Siczy; chodzili na

„przemysł“ z kozakami, brali udział w wyprawach na Turków i Tatarów, które w końcu stały się głównem i ulubionem ich zajęciem. Matka nie sprzeciwiała się temu, bo często przywozili zdobycz obfitą. Wszelako na jednej z takich wypraw, najstarszy Wasyl dostał się w ręce pogańskie. Bracia przy pomocy Bohuna i jego Zaporozców odbili go wprawdzie, ale z wykapanemi oczyma. Od tej pory ten w domu siedzieć musiał; jako dawniej był najdzikszy, tak potem złagodniał bardzo i w rozmyślaniach a nabożeństwie się zatopił. Młodzi prowadzili dalej wojenne rzemiosło, które w końcu przydomek kniaziów-kozaków im zjednało. Dość też było spojrzeć na Rozłogi-Siromachy, by odgadnąć, jacy w nich ludzie mieszkają. Gdy poseł i pan Skrzetuski zajechali przez bramę ze swymi wozami, ujrzeli nie dwór, ale raczej obszerną szopę, z ogromnych bierwion dębowych zbitą, z wązkiemi, podobnemi do strzelnic oknami. Mieszkania dla czeladzi i kozaków, stajnie, śpichlerze i lamusy przytykały do tego dworu bezpośrednio, tworząc budowę nieforemną, z wielu to wyższych, to niższych części złożoną, na zewnątrz tak ubogą i prostacką, że gdyby nie światła w oknach, trudnoby ją za mieszkanie ludzi poczytać. Na majdanie przed domem widać było dwa żorawie studzienne, bliżej bramy słup z kołem na szczycie, na którym siadywał niedźwiedź chowany. Brama potężna, z takichże bierwion dębowych, dawała przejście na majdan, który cały był otoczony rowem i palisadą.

Widocznie było to miejsce obronne, przeciw napadom i zajazdom zabezpieczone. We wszystkim też przypominało kresową pałankę kozacką, a lubo większość siedzib szlacheckich na kresach takiego, a nie

innego była pokroju, ta przecie bardziej jeszcze od innych wyglądała na jakieś drapieżne gniazdo. Czeładź, która naprzeciw gości wyszła z pochodniami, podobniejsza była do zbójów, niż do ludzi służbowych. Wielkie psy na majdanie targały za łańcuchy, jakby chciały się urwać i rzucić na przybyłych, ze stajni dobywało się rzenie koni; młodzi Bułhowie pospołu z matką poczęli wołać na służbę, rozkazywać i przeklinać. Wśród takiego harmideru goście weszli do środka domu, ale tu dopiero pan Rozwan Ursu, który widząc poprzednio dzikość i mizeryę siedliska, prawie żałował, iż się dał zaprosić na nocleg, zdumiał prawdziwie na widok tego, co ujrzały jego oczy. Wnętrze domu zgoła nie odpowiadało jego lichym zewnętrznym pozorom. Naprzód weszli do obszernej sieni, której ściany całkiem prawie pokryte były zbroją, orężem i skórami dzikich zwierząt.

W dwóch ogromnych grubach paliły się kłody drzewa, a przy jasnym ich blasku widać było bogate rzędy końskie, błyszczące pancerze, karaceny tureckie, na których tu i owdzie świeciły drogie kamienie, druciane koszulki ze złożonymi guzami na spięciach, półpancerze, nabrzuszniki, ryngrafy, stalowe harnasze wielkiej ceny, hełmy polskie i tureckie, oraz misiurki z wierzchami od srebra. Na przeciwległej ścianie wisiały tarcze, których już nie używano w wieku ówczesnym, obok nich kopie polskie i dziuryty wschodnie, siecznego oręża też dosyć, od szabli aż do gindżałów i jataganów, których głównie migotały różnymi kolorami, jak gwiazdki w blasku ognia. Po kątach zwieszały się wiązki skór lisich, wilczych, niedźwiedzych, kunich i gronostajowych—owoc myśliwstwa kniaziów.

Niżej, wzdłuż ścian, drzemały na obręczach jastrzębie, sokoły i wielkie berkuty, sprowadzane z dalekich stepów wschodnich, a używane do pościgu wilków.

Z sieni owej goście przeszli do wielkiej gościnnej komnaty. I tu na kominie z okapem palił się rzęsimy ogień. W komnacie tej większy był jeszcze przepych, niż w sieni. Gołe belki w ścianach pookrywane były makatami, na podłodze rozścielały się przepyszne wschodnie kobierce. W pośrodku stał długi stół na krzyżowych nogach, sklecony z prostych desek, na nim zaś roztruchany całe złożone lub rznięte ze szkła weneckiego. Pod ścianami mniejsze stoły, komody i półki, na nich sepety, puzdra nabijane bronzem, mosiężne świeczniki i zegary zrabowane czasu swego przez Turków Wenecyanom, a przez kozaków Turkom. Cała komnata założona była mnóstwem przedmiotów zbytkownych, częstokroć niewiadomego dla gospodarzy użycia. Wszędzie przepych mieszał się z największą stepową prostotą. Cenne komody tureckie nabijane bronzem, hebanem, perłową macicą, stały obok nieheblowanych pólek, proste drewniane krzesła obok miękkich sof, krytych kobiercami. Poduszki, leżące modą wschodnią na sofach, miały pokrowce z altembasu lub bławatów, ale rzadko były wypchane kwapiem, częściej sianem lub grochowinami. Kosztowne tkaniny i zbytkowne przedmioty, było to tak zwane „dobro“ tureckie, tatarskie, częścią kupione za byle co od kozaków, częścią zdobyte na licznych wojnach jeszcze przez starego kniazia Wasyla, częścią w czasie wypraw z niżowcami przez młodych Bułhów, którzy woleli puszczać się czajkami na Czarne morze, niż żenić się, lub gospodarstwa pilnować. Wszystko to nie dziwiło

zgoła pana Skrzetuskiego, znającego dobrze domy kresowe, ale bojar wołoski zdumiewał się, widząc wśród tego przepychu Kurcewiczów, ubranych w jałowicze buty i w kozuchy niewiele lepsze od tych, jakie nosiła służba; dziwił się również i pan Longin Podbięta, przywykły na Litwie do innych porządków.

Tymczasem młodzi kniaziowie podejmowali gości szczerze i z wielką ochotą, lubo mało otarci w świecie, czynili to manierą tak niezgrabną, iż namiestnik zaledwo mógł uśmiech powściągnąć.

Starszy Symeon mówił:

— Radziśmy waszmościom i wdzięczni za łaskę. Dom nasz — dom wasz, tak też i bądźcie, jak u siebie. Kłaniamy panom dobrodziejstwu w niskich progach.

I lubo nie znać było w tonie jego mowy żadnej pokory, ani rozumienia, jakoby przyjmował wyższych od siebie, przecież kłaniał im się obyczajem kozackim w pas, a za nim kłaniali się i młodszy bracia, sądząc, że tego gościnność wymaga, i mówiąc:

— Czołem waszmościom, czołem!...

Tymczasem kniahyni, szarpnąwszy Bohuna za rękaw, wyprowadziła go do innej komnaty.

— Słysz, Bohun — rzekła pośpiesznie — nie mam czasu długo gadać. Widziałam, że ty tego młodego szlachcica na ząb wziął i zaczepki z nim szukasz?

— Maty — odpowiedział kozak, całując starą w rękę. — Świat szeroki, jemu inna droga, mnie inna. Ani ja go znał, ni o nim słyszał, ale niech mi się nie pochyla do kniaziówny, bo jakem żyw, szablą w oczy zaświecę.

— Hej, oszalał, oszalał! A gdzie głowa, kozacze? Co się z tobą dzieje? Czy ty chcesz zgubić nas i siebie?

To jest żołnierz Wiśniowieckiego i namiestnik, człowiek znaczny, bo od księcia do chana posłował. Niech mu włos z głowy spadnie pod naszym dachem, wiesz co będzie? Oto wojewoda obróci oczy na Rozłogi, jego pomści, nas wygna na cztery wiatry, a Helenę do Łubniów zabierze — i co wówczas? Czy i z nim zadrzesz? czy na Łubnie napadniesz? Spróbuj, jeśli chcesz pała posmakować, kozacze zatracony... Chyla się szlachcic do dziewczyny, nie chyla, ale jak przyjechał, pojedzie i będzie spokój. Hamuj-że ty się, a nie chcesz, to ruszaj skądś przybył, bo nam tu nieszczęścia naprowadzisz!

Kozak gryzł wąż, sapał, ale zrozumiał, że kniahyni ma słuszość.

— Oni jutro odjadą, matko — rzekł — a ja się pohamuję, niech jeno czarnobrewa nie wychodzi do nich.

— A tobie co? Żeby myśleli, że ją wiąże? Otóż wyjdzie, bo ja tego chcę. Ty mi tu w domu nie przewódź, boś nie gospodarz.

— Nie gniewajcie się, kniahyni. Skoro inaczej nie można, to będę im jako tureckie bakalie słodki. Zębem nie zgrzytnę, do główki nie sięgnę, choćby mnie gniew i pożarł, choćby dusza jęczeć miała. Niechże będzie wasza wola!

— A to tak gadaj, sokole, teorban weź, zagraj, zaśpiewaj, to ci i na duszy lżej się zrobi. A teraz chodź do gości.

Wrócili do gościnnej komnaty, w której kniazio-
wie, nie wiedząc jak gości bawić, wciąż ich zapraszali,
by byli sobie radzi, i kłaniali im się w pas. Tu zaraz
pan Skrzetuski spojrzał ostro a dumnie w oczy Bohu-
nowi, ale nie znalazł w nich zaczepki, ni wyzwania.

Twarz młodego watażki jaśniała uprzejmą wesołością, tak dobrze symulowaną, że mogłaby omylić najwprawniejsze oko. Namiestnik przyglądał mu się bacznie, gdyż poprzednio w ciemności nie mógł dojrzeć jego rysów. Teraz ujrzał molojca smukłego, jak topola, z obliczem smagłym, zdobnem w bujny czarny wąs, zwieszający się ku dołowi. Wesołość na tej twarzy przebiegała przez ukraińską zadumę, jako słońce przez mgłę. Czoło miał watażka wysokie, na które spadała czarna czupryna, w postaci grzywki, ułożonej w pojedyncze kosmyki, obcięte w równe ząbki nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza i białe zęby, połyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę drapieżny, ale w ogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i zawadyackiej. Nad podziw świetny ubiór wyróżniał także stepowego molojca od przybranych w kozuchy kniaziów. Bohun miał na sobie żupan z cienkiej lamy srebrnej i czerwony kontusz, którą to barwę nosili wszyscy kozacy perejasławscy. Biodra otaczał mu pas krepowy, od którego bogata szabla zwieszała się na jedwabnych rapciach; ale i szabla i ubiór gasły przy bogactwie tureckiego gindżału, zatkniętego za pas, którego głównia tak była nasadzona kamieniami, że aż skry sypały się od niej. Tak przybranego każdyby snadnie poczytał raczej za jakie paniątko wysokiego rodu, niż za kozaka, zwłaszcza że i jego swoboda, jego wielkopańskie maniere nie zdradzały niskiego pochodzenia. Zbliżywszy się do pana Longina, wysłuchał historii o przodku Stowejce i o ścięciu trzech krzyżaków, a potem zwrócił się do namiestnika i jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło, spytał z całą swobodą:

— Wasza mość, słyszę, z Krymu powracasz?

— Z Krymu — odparł sucho namiestnik.

— Byłem tam i ja, a chociażem się do Bachczysaraju nie zapędzał, przecie mniemam, że i tam będę, jeśli się one pomysły wieści sprawdzą.

— O jakich wieściach waść mówisz?

— Są głosy, że jeśli król miłościwy wojnę z Turczyinem zacznie, to książę wojewoda Krym ogniem i mieczem nawiedzi, od których wieści wielka jest radość na całej Ukrainie i na Niżu, bo jeśli pod takim wodzem nie pohulamy w Bachczysaraju, tedy pod żadnym.

— Pohulamy, jak Bóg w niebie! — ozwali się Kurcewicz.

Porucznika ujął respekt, z jakim watażka odzywał się o księciu, przeto uśmiechnął się i rzekł łagodniejszym już tonem:

— Waści, widzę, nie dość wypraw z niżowcami, które cię przecie sławą okryły.

— Mała wojna, mała sława; wielka wojna, wielka sława. Konaszewicz Sahajdaczny nie na czajkach, ale pod Chocimem jej nabył.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł zwolna Wasyl, najstarszy z Kurcewiczów, prowadzony za rękę przez Helenę. Był to człowiek dojrzałych lat, wybladły i wychudły, z twarzą ascetyczną i smętną, przypominającą bizantyjskie obrazy świętych. Długie włosy, posiwiałe przedwcześnie od nieszczęść i bólu, spadały mu aż na ramiona, a zamiast oczu miał dwie czerwone jamy, w rękę trzymał krzyż mosiężny, którym począł żegnać komnatę i wszystkich obecnych.

— W imię Boga i Ojca, w imię Spasa i Świętej Przeczystej — mówił — jeśli apostołami jesteście i dobre

nowiny niesiecie, witajcie w progach chrześcijańskich.
Amen!

— Wybaczcie waszmościowie — mruknęła knia-
hyni — on ma rozum pomieszany.

Wasył zaś żegnał wciąż krzyżem i mówił dalej:

— Jako stoi w „Biesiadach apostołskich:“ „Którzy przeleją krew za wiarę, zbawieni będą; którzy po-
legną dla dóbr ziemskich, dla zysku lub zdobyczy —
mają być potępieni...“ Módlmy się! gorze wam, bracia!
gorze mnie, bośmy dla zdobyczy wojnę czynili! Boże,
bądź miłościw nam grzesznym! Boże, bądź miłościw...
A wy, mężowie, którzy przybyliście zdaleka, jakie
nowiny niesiecie? jesteście apostołami?

Umilkł i zdawał się czekać na odpowiedź, więc
namiestnik odpowiedział po chwili:

— Daleko nam od tak wysokiej szarży. Żoł-
nierzami tylko jesteśmy, gotowymi poledz za wiarę.

— Tedy będziecie zbawieni — rzekł ślepy — ale
dla nas nie nadeszła jeszcze godzina wyzwolenia...
Gorze wam, bracia! gorze mnie!

Ostatnie słowa wymówił prawie jęcząc, i taka
niezmierna rozpacz malowała się na jego twarzy, że
goście nie wiedzieli, co mają począć. Tymczasem He-
lena posadziła go na krześle, sama zaś, wybiegłszy
do sieni, wróciła po chwili z lutnią w ręku.

Ciche dźwięki ozwały się w komnacie, a do wtóru
im kniaziówna poczęła śpiewać pieśń pobożną:

I w noc i we dnie wołam do Ciebie, Panie!

Pofołguj męce i łzom żałośliwym,

Bądź mnie grzesznemu ojcem miłościwym,

Usłysz wołanie!

Niewidomy przechylił w tył głowę i słuchał słów
pieśni, które zdawały się działać, jak balsam kojący,

bo z twarzy znikaly mu stopniowo ból i przerażenie; nakoniec głowa spadła mu na piersi i tak pozostał jakby w pół-śnie, pół-odrętwieniu.

— Byle nie przerywać śpiewania, już on się całkiem uspokoi — rzekła z cicha kniahyni. — Widzicie waszmościowie, waryacya jego polega na tem, że ciągle czeka apostołów, i byle kto do domu przyjechał, zaraz wychodzi pytać, czy nie apostołowie...

Tymczasem Helena śpiewała dalej:

Wskaż-że mi drogę, o Panie nad pany,
Bom jako pątnik na pustyni bezdrożu,
Lub jak wśród fali na niezmiernem morzu
Korab zbłąkany.

Słodki głos jej brzmiał coraz silniej i z tą lutnią w rękę, z oczyma wzniesionemi do góry, była tak cudna, że namiestnik oczu nie mógł od niej oderwać. Zatrzymał się w nią, utonął w niej — o świecie zapomniał.

Z zachwyty rozbudziły go dopiero słowa starej kniahyni:

— Dosyć tego! Już on się teraz nieprędko rozbudzi. A tymczasem proszę ichmościów na wieczerzę.

— Prosimy na chleb i sól — ozwali się za matką młodzi Bułhowie.

Pan Rozwan, jako kawaler wielkich manier, położył ramię kniahyni, co widząc pan Skrzetuski sunął zaraz do kniaziówny Heleny. Serce zmiękło w nim jak wosk, gdy czuł jej rękę na swojej, z oczu aż skry poszły — i rzekł:

— Śnadź już chyba i anieli w niebie cudniej nie śpiewają od waćpanny.

— Grzeszysz, rycerzu, przyrównywając moje śpiewanie do anielskiego — odpowiedziała Helena.

— Nie wiem, czy grzeszę, ale to pewna, że chętnie dałbym sobie oczy wykapać, byle twego śpiewania do śmierci słuchać. Ale cóż mówię! Ślepym będąc, nie mógłbym ciebie widzieć, co również byłoby męką nieznośną.

— Nie mów tego waszmość, gdyż wyjechawszy stąd jutro, jutro zapomnisz.

— O, nie stanie się to, gdyż takem się w waćpannie rozkochał, iż po wiek żywota mego innego afektu znać nie chcę, a tego nigdy nie zapomnę.

Na to szkarłatny rumieniec oblał twarz kniaziówny, pierś poczęła falować mocniej. Chciała odpowiedzieć, ale tylko wargi jej drżały — więc pan Skrzetuski mówił dalej:

— Waćpanna raczej zapomnisz o mnie przy owym krasnym watażce, który twemu śpiewaniu na bałabajce przygrywać będzie.

— Nigdy, nigdy! — szepnęła dziewczyna. — Ale waćpan się jego strzeż: to straszny człowiek!

— Co mi tam jeden kozak znaczy, a choćby też i cała Sicz z nim trzymała, jam się dla ciebie na wszystko ważyć gotowy. Tyś mi jest właśnie jako klejnot bez ceny, tyś mój świat, jeno niech wiem, żeś mi jest wzajemną.

Ciche „tak“ zadźwięczało jak rajska muzyka w uszach pana Skrzetuskiego, i zaraz wydało mu się, że w nim przynajmniej dziesięć serc bije; w oczach mu pojaśniało wszystko, jakoby promienie słoneczne na świat padły; uczuł w sobie jakieś moce nieznane, jakieś skrzydła u ramion. Przy wieczerzy mignęła mu kilkakroć twarz Bohuna, która była zmieniona bardzo i blada, ale namiestnik, mając wzajemność Heleny,

x les braves japonais

nie dbał o tego współzawodnika. „Jechał go sękl — myślał sobie — niechże mi w drogę nie włązi, bo go zetrę.“ Zresztą myśli jego szły w inną stronę.

Czuł oto, że Helena siedzi przy nim tak blisko, iż prawie ramieniem dotyka jej ramienia, widział rumieńce nieschodzące z jej twarzy, od których bił żar, widział piers falującą i oczy, to skromnie spuszczone i rzęsami nakryte, to błyszczące jak dwie gwiazdy. Bo też Helena, choć zahukana przez Kurcewiczową, choć żyjąca w sieroctwie, smutku i obawie, była przecie Ukrainką o krwi ognistej. Gdy tylko padły na nią ciepłe promienie miłości, zaraz zakwitła jak róża i do nowego, nieznanego rozbudziła się życia. W jej twarzy zabłysło szczęście, odwaga, a te porywy, walczące ze wstydem dziewiczym, umalowały jej policzki wśliczne kolory różane. Więc pan Skrzetuski mało ze skóry nie wyskoczył. Pił na umór, ale miód nie działał na niego, bo już był pijany miłością. Nie widział nikogo więcej przy stole, tylko swoją dziewczynę. Nie widział, że Bohun bladł coraz bardziej i coraz macał głowni swego gindżału; nie słyszał, jak pan Longin opowiadał po raz trzeci o przodku Stowejce, a Kurcewicz o swoich wyprawach po „dobro tureckie.“ Pili wszyscy prócz Bohuna, a najlepszy przykład dawała stara kniahyni, wnosząc kusztyki, to za zdrowie gości, to za zdrowie miłościwego księcia pana, to wreszcie hospodara Lupuła. Była też mowa o ślepym Wasylu, o jego dawniejszych przewagach rycerskich, o nieszczęsnej wyprawie i teraźniejszej waryacyi, którą najstarszy Symeon tak tłómaczył:

— Zważcie waszmościowie, iż gdy najmniejsze źdźbło w oku patrzeć przeszkadza, jakże tedy znaczne

kawały smoły, dostawszy się do rozumu, nie miały go o pomieszanie przyprowadzić?

— Bardzo to jest delikatne instrumentum — zauważył na to pan Longin.

Wtem stara kniahyni spostrzegła zmienioną twarz Bohuna.

— Co tobie, sokole?

— Dusza boli, maty — rzekł posępnie — ale kozacze słowo nie dym, więc zdzierzę.

— Terpy, synku, mohorycz budel (2)

Wieczera była skończona — ale miodu dolewano ciągle do kuszyków. Przyszli też kozaczkowie wezwani do tańcowania na tem większą ochotę. Zadzwiezczały bałabajki i bębenek, przy których odgłosach zaspane pacholęta musiały płaszać. Później i młodzi Bułhowie poszli w przysady. Stara kniahyni, wzięwszy się pod boki, poczęła dreptać w miejscu, a podrygiwać, a podśpiewywać, co widząc, pan Skrzetuski sunął z Heleną do tańca. Gdy ją objął rękoma, zdawało mu się, iż kawał nieba przyciska do piersi. W zawrotach tańca długie jej warkocze omotały mu szyję, jakby dziewczyna chciała go przywiązać do siebie na zawsze. Nie wytrzymał tedy szlachcic, ale gdy rozumiał, że nikt nie patrzy, pochylił się i z całej mocy pocałował jej słodkie usta.

Późno w noc znalazłszy się sam na sam z panem Longinem w izbie, w której posłano im do spania, porucznik, zamiast iść spać, siadł na tapczanie i rzekł:

— Z innym to już człowiekiem jutro waćpan do Łubniów pojedziesz.

Podbięta, który właśnie ukończył pacierze, otworzył szeroko oczy i spytał:

Ogniem i mieczem. T. I.

— Tak bo cóż? czy waszmość tu zostaniesz?

— Nie ja zostanę, ale serce zostanie, a jedno *dulcis recordatio* ze mną pojedzie. Widzisz mnie waćpan w wielkiej alteracyi, gdyż od żądz tkliwych ledwie że tchu oribus mogę złapać.

— To waćpan zakochał się w kniaziównie?

— Nie inaczej, jako żyw tu przed waćpanem siedzę. Sen ucieka mnie od powiek i jeno do wzdychania mam ochotę, od którego chyba cały w parę się rozplnę — co waćpanu powiadam dlatego, że mając serce czułe i afektów głodne, snadnie mękę moją zrozumiesz.

Pan Longin sam wzdychać począł, na znak, że męczarnie miłości rozumie, po chwili zaś spytał żałośnie:

— A może waćpan takż czystość ślubował?

— Pytanie waścine jest nie do rzeczy, bo gdyby wszyscy podobne śluby czynili, tedyby *genus humanum* zginąć musiało.

Wejście sługi przerwało dalszą rozmowę. Był to stary Tatar, o bystrych czarnych oczach i pomarszczonej, jak suszone jabłko, twarzy. Wszedłszy, rzucił znaczące spojrzenie na Skrzetuskiego i spytał:

— A czy nie trzeba czego waszmościom? może miodu po kusztyczku do poduszki?

— Nie trzeba.

Tatar zbliżył się do Skrzetuskiego i mruknął:

— Mam dla W. pana słówko od panny.

— Bądź-że mi Pandarem! — zawołał radośnie namiestnik. — Możesz też mówić przy tym kawalerze, bom się przed nim spuścił z sekretu.

Tatar wy dobył z za rękawa kawałek wstążki.

— Panna przysłała W. panu tę szarfę i to ka-
zała powiedzieć, że miłuje go z całej duszy.

Porucznik porwał szarfę i począł ją z uniesie-
niem całować i do piersi przyciskać, a dopiero ochło-
nawszy nieco, spytał:

— Co ci zleciła powiedzieć?

— Że miłuje waszmość pana z całej duszy.

— Naści-że talara za musztuluk. Rzekła tedy,
że mię miłuje?

— Tak jest!

— Naści-że jeszcze talara. Niechże ją Bóg bło-
gosławi, boć i ona mi najmiłsza. Powiedz-że jej...
albo czekaj; sam do niej pisać będę; przynieś mi
jeno inkaustu, piór i papieru.

— Czego? — spytał Tatar.

— Inkaustu, piór i papieru.

— Tego u nas w domu niema. Za kniazia Wa-
syła było — i potem, jak się młodzi kniaziowie pi-
sać od czerńca uczyli — ale to już dawno.

Pan Skrzetuski klasnął palcami.

— Mości Podbipięto, nie masz wasze inkaustu
i piór?

Litwin rozłożył ręce i wzniosł oczy do góry.

— Tfy do licha! — rzecze porucznik — otom jest
w kłopotcie.

Tymczasem Tatar usiadł w kuczki przed ogniem.

— Po co pisać — rzekł, grzebiąc w węglach. —
Panna spać poszła. A co masz wasza miłość jej na-
pisać, to jutro powiedzieć można.

— Kiedy tak, to co innego. Wiernys, jak wi-
dzę sługa kniaziówny. Naści-że trzeciego talara.
Dawno służysz?

— Hol hol czternaście lat temu, jak mnie kniaź Wasyl w jasyr wziął i — od tej pory służyłem mu wiernie, a gdy onej nocy odjeżdżał na przepaść imię, to dziecko Konstantynu zostawił, a do mnie rzekł: „Czechtł i ty nie odstąpisz dziewczyny i będziesz jej strzegł, jak oka w głowie. Łacha i! Ałła!”

— Tak też i czynisz?

— Tak też i czynię, i patrzę.

— Mów, co widzisz? jak tu kniaziównie?

— Żle tu myślę o niej, bo ją chcą dać Bohunowi, który jest pies potępiony.

— O! nie będzie z tego nic! znajdzie się komu za nią ująć!

— Tak! — rzekł stary, potrząsając palące się głownie. — Oni ją chcą dać Bohunowi, by ją wziął i poniósł, jak wilk jagnię, a ich w Rozłogach zostawił — bo Rozłogi jej, nie ich, po kniaziu Wasylu. On też, Bohun, to uczynić gotów, bo po komyszach więcej ma złota i srebra, niżeli piasku w Rozłogach, ale ona ma go w nienawiści od pory, jak przy niej człowieka czekaniem rozszczępił. Krew padła między nich i nienawiść wyrosła. Bóg jest jeden!

Namiestnik tej nocy usnąć nie mógł. Chodził po izbie, patrzył w księżyc i w myśli różne ważył postanowienia. Zrozumiał teraz grę Bułhów. Gdyby kniaziównę szlachciec jaki okoliczny pojął, toby się upomniął o Rozłogi i miałyby słuszość, bo się jej należały; a może zażądałby jeszcze rachunków z opieki. Dla tej to przyczyny, i tak już skozaczeni Bułhowie postanowili dać dziewczynę kozakowi. O tem myśląc, pan Skrzetuski pięście ścisnął i miecza szukał wedle siebie. Postanowił więc rozbić te machi-

nacye i czuł się na siłach to uczynić. Przecie opieka nad Heleną należała i do księcia Jeremiego, raz, że Rozłogi były puszczane od Wiśniowieckich staremu Wasylowi, powtóre, że sam Wasyl z Baru pisał list do księcia, prosząc o opiekę. Tylko nawał spraw publicznych, wojny i wielkie przedsięwzięcia mogły sprawić, że wojewoda dotąd w opiekę nie wejrzał. Ale dość będzie słowem mu przypomnieć, a sprawiedliwość uczyni.

Szaro już robiło się na świecie, gdy pan Skrzetuski rzucił się na posłanie. Spał twardo i nazajutrz zbudził się z gotowem postanowieniem. Ubrali się tedy z panem Longinem śpiesznie, ile że i wozy stały już w gotowości, a żołnierze pana Skrzetuskiego siedzieli na koniach gotowi do odjazdu. W gościnniej izbie poseł pokrzepiał się polewką w towarzystwie Kurcewiczów i starej kniahyni; Bohuna tylko nie było; nie wiadomo: spał jeszcze czy odjechał?

Posiliwszy się, Skrzetuski rzekł:

— Mościa pani! Tempus fugit, za chwilę na koń nam siadać trzeba, nim więc podziękujemy wdzięcznem sercem za gościnę, mam ja tu ważną sprawę, o którejbym chciał z jejmością panią i z ichmością jej synami kilka słów na osobności pomówić.

Na twarzy kniahyni odmalowało się zdziwienie; spojrzała na synów, na posła i pana Longina, jakby pragnąc z ich twarzy odgadnąć o co idzie, i z pewnym niepokojem w głosie rzekła:

— Służę waszmości.

Poseł chciał wstawać, ale mu nie dozwoliła, natomiast przeszli do owej sieni, pokrytej zbroją i orężem. Młodzi kniaziowie ustawili się szeregiem

za matką, która stanąwszy naprzeciw Skrzetuskiego, spytała:

— O jakiejże sprawie waćpan chcesz mówić?

Namiestnik utkwiał w niej wzrok bystry, surowy prawie i rzekł:

— Wybacz jejmość i wy, młodzi kniaziowie, że przeciw zwyczajowi postępując, zamiast przez znacznych posłów mówić, sam w sprawie mej rzecznikiem będę. Ale nie może być inaczej, a gdy z musem nikt walczyć nie zdoła, przeto bez dłuższego kunktatorstwa, przedstawiam jejmość pani i ichmościom, jako opiekunom, moją pokorną prośbę, byście mi księżniczkę Helenę za żonę oddać raczyli.

Gdyby w tej chwili, w czasie zimy, piorun runął na majdan w Rozłogach, mniejszeby sprawił wrażenie na kniahyni i jej synach, niż owe słowa namiestnika. Przez chwilę spoglądali ze zdumieniem na mówiącego, który stał przed nimi wyprostowany, spokojny i dziwnie dumny, jakby nie prosić, ale rozkazywać zamierzał, i nie umieli znaleźć słowa odpowiedzi — a natomiast kniahyni pytać zaczęła:

— Jak to? waść? o Helenę?

— Ja, mościa pani — i to jest niewzruszony mój zamiar.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Czekam odpowiedzi imość pani.

— Wybacz waćpan — odrzekła, ochłonawszy, kniahyni, a głos jej stał się suchy i ostry — zaszczyt to dla nas niemały prośba takiego kawalera, ale nie może z niej nic być, gdyż Helenę obiecałam już komu innemu.

— Zważ wszelako waćpani, jako troskliwa

opiekunka, czy to nie było przeciw woli kniaziówny i czym nie lepszy niżli ten, komu ją waćpani obiecałaś.

— Mości panie! Kto lepszy, mnie sądzić. Możesz być i najlepszy, wszystko nam jedno, bo cię nie znamy.

Na to namiestnik wyprostował się jeszcze dumnie, a spojrzenia jego stały się jako noże ostre, choć zimne.

— Ale ja was znam, zdrajcy! — huknął. — Chcecie krewniaczkę chłopu oddać, byle was tylko w zagarniętej nieprawnie włości zostawił...

— Sam zdrajco! — krzyknęła kniahyni. — Tak to za gościnę płacisz, taką to wdzięczność w sercu żywisz? O źmijo! Coś za jeden? skądeś się wziął?

Młodzi Kurcewicz poczęli w palce trzaskać i po ścianach za bronią się oglądać, namiestnik zaś wołał:

— Poganie! zagarnęliście włosć sierocą, ale nie z tego. Za dzień książę już o tem wiedzieć będzie.

Usłyszawszy to, kniahyni rzuciła się w tył izby i schwywszy rohatynę, szła z nią do namiestnika. Kniaziowie też, porwawszy co który mógł, ten szablę, ten kiścień, ten nóż, otoczyli go półkolem, dysząc jak stado wilków wściekłych.

— Do księcia pójdziesz? — wołała kniahyni — a wiesz-li, czy żyw stąd wyjdziesz? czy to nie ostatnia twoja godzina?

Skrzetuski skrzyżował ręce na piersiach i okiem nie mrugnął.

— Jako książęcy poseł z Krymu wracam — rzekł — niech tu jedną kroplę krwi uronię, a we trzy dni i popiołu z tego miejsca nie zostanie, wy zaś

pognijecie w łożach łubniańskich. Jest-li na świecie moc, co by was uchronić zdołała? Nie groźcie, bo was się nie boję!

— Zginiemy, ale ty pierwszej zginiesz.

— Tedy uderzaj — oto pierś moja.

Kniaziowie, z matką na czele, trzymali wciąż ostrza skierowane ku piersi namiestnika, ale rzekł-
byś, jakieś niewidzialne łańcuchy skrępowwały im ręce. Sapiąc i zgrzytając zębami, szarpali się w bezsilnej wściekłości — wszelako nie uderzył żaden. Ubezwładniło ich straszliwe imię Wiśniowieckiego.

Namiestnik był panem położenia.

Bezsilny gniew kniahyni wylał się tylko potokiem obelg:

— Przechero! szaraku! hołyszul kniaziowej krwi ci się zachciało — ale nic z tego! Każdemu oddamy, byle nie tobie, czego nam i sam książę nakazać nie jest w stanie.

Na to pan Skrzetuski:

— Nie pora mi się z mego szlachectwa wywo-
dzić, ale tak myślę, że wasze księstwo mogłoby
snadnie za niem mieczyk i tarczę nosić. Zresztą,
skoro chłop był wam dobry, to jam lepszy. Co do
fortuny mojej, i ta wejść może z waszą w paragon,
a że mówicie, iż mnie Heleny nie dacie, to słuchaj-
cie co powiem: i ja ostawię was przy Rozłogach,
rachunku z opieki nie żądając.

— Nie darowywuj tego, co nie twoje.

— Nie darowuję, jeno obietnicę na przyszłość
daję i rycerskiem słowem ją poręczam. Tedy wybierajcie: albo rachunki księciu z opieki złożyć i z Roz-
łogów ustąpić, albo-li mnie dziewczkę oddać a włosć
zatrzymać...

Rohatyna wysuwała się zwolna z rąk kniahyni. Po chwili upadła z brzękiem na podłogę.

— Wybierajcie — powtórzył pan Skrzetuski —
a u t p a c e m , a u t b e l l u m !

— Szczęście to — rzekła już łagodniej Kurcewiczowa — że Bohun z sokoły pojechał, nie chcąc na waszmości patrzeć, bo on już wczora podejrzewał. Inaczej nie byłoby tu bez krwi rozlania.

— Mościa pani, i ja szablę nie po to noszę, by mi pas obciągała.

— Uważ jednak waszmość, czy to politycznie ze strony takiego kawalera, wszedłszy po dobremu w dom, tak na ludzi nastawać i dziewczkę impetem brać, tak właśnie, jakby z niewoli tureckiej?

— Godzi się, gdy po niewoli miała być chłopu zaprzędana.

— Tego waść o Bohunie nie mów, bo on choć rodziców nieświadom, przecie wojownik jest zawołany i rycerz sławny, a nam od dziecka znajomy, w domu jakoby krewny. Jemu za jedno, czyby mu tę dziewczkę odjąć, czyby go nożem pchnąć.

— Mościa pani, a mnie czas w drogę, wybaczcie więc, że jeszcze raz powtórzę: wybierajcie!

Kniahyni zwróciła się do synów:

— A co, synkowie, mówicie na tak pokorną prośbę tego kawalera?

Bułyhowie spoglądali po sobie, trącali się łokciami i milczeli.

Nakoniec Symeon mruknął:

— Każesz bić, maty, to będziem — każesz dać dziewczkę, to damy.

— Bić źle i dać źle.

Potem zwracając się do Skrzetuskiego:

— Przycisnąłeś nas waść tak do ściany, że choć łopnąć. Bohun jest człowiek szalony, gotów się ważyć na wszystko. Kto nas przed jego zemstą osłoni? Sam zginie od księcia, ale nas pierwszej zgubi. Co nam począć?

— Wasza głowa.

Kniahyni milczała przez chwilę:

— Słuchajże, mości kawalerze. Musi to wszystko w tajemnicy zostać. Bohuna wyprawim do Perejasławia, sami z Heleną do Łubniów zjedziem, a waść uprosisz księcia, by nam przydyum do Rozłogów przysłał. Bohun ma w pobliżu półtorasta semenów, z których część tu jest. Nie możesz Heleny zaraz brać, bo ją odbije. Inaczej to nie może być. Jedź-że więc, nikomu sekretu nie powiadając, i czekaj nas.

— Byście mnie zdradzili?

— Byśmy tylko mogli! ale nie możemy, sam to widzisz. Daj słowo, że sekret do czasu utrzymasz!

— Daję — a wy dajecie dziewczkę?

— Bo nie możemy nie dać, choć nam Bohuna żal...

— Tfy! tfy! mości panowie — rzekł nagle namiestnik, zwracając się do kniaziów — czterech was jak dębów i jednego kozaka się bojąc, zdradą go brać chcecie. Chociem wam winien dziękować, jednakże powiem: nie przystoi to zacnej szlachcie.

— Waść się w to nie mieszaj! — zakrzyknęła kniahyni. — Nie twoja to rzecz. Co nam począć? Ilu waść masz żołnierzów na jego półtorasta semenów? Osłonisz-że nas? osłonisz-że samą Helenę, którą on gwałtem porwać gotów? To nie waścina rzecz. Jedź-

że sobie do Łubniów, a co my poczniemy, to nam wiedzieć, byleśmy Helenę ci przywieźli.

— Czyńcie co chcecie; jedno wam tylko jeszcze powiem. Gdyby się tu krzywda kniaziównie działa — tedy biada wam!

— Nie poczynaj-że sobie tak z nami, byś nas do desperacyi nie przywiódł!

— Boście jej gwałt uczynić chcieli, a i teraz, sprzedając ją za Rozłogi, do głowy wam nie przyszło pytać: zali będzie jej po myśli moja persona?

— Zatem spytamy jej wobec ciebie — rzekła kniahyni, tłumiąc gniew, który nanowo poczynął wrzeć w jej piersi, czuła bowiem doskonale pogardę w słowach namiestnika.

Symeon poszedł po Helenę i po chwili ukazał się razem z nią w sieni.

Wśród tych gniewów i groźb, które zdawały się huczeć jeszcze w powietrzu, jak odgłosy przemijającej nawałnicy, wśród tych zmarszczonych brwi, srogich spojrzeń i surowych twarzy, jej śliczne oblicze zabłysło, jakoby słońce po burzy.

— Mościa pannol — rzekła ponuro kniahyni, ukazując Skrzetuskiego — jeśli masz wolę potemu, to jest twój przyszły mąż.

Helena zbladła, jak ściana, i krzyknawszy, zakryła oczy rękoma, a potem nagle wyciągnęła je ku Skrzetuskiemu.

— Prawda-li to? — szeptała w upojeniu.

W godzinę później orszak posła i namiestnikowy posuwał się zwolna leśnym gościńcem, w stronę

Łubniów. Skrzetuski z panem Longinem Podbipiętą jechali na czele; za nimi wozy poselskie wyciągnięty się długim pasem. Namiestnik cały był pogrążony w zadumie i tęsknocie, gdy wtem z owej zadumy zbudziły go urwane słowa pieśni...

„Tuż, tuż, serce bołyt...”

W głębi lasu, na wązkiej, wyjeżdżonej przez chłopów drożynie, ukazał się Bohun. Koń jego całym był pokryty pianą i błotem.

Widocznie kozak, wedle swego obyczaju, puścił się był na stepy i na lasy, by się wiatrem spić, zgubić w dali i zapamiętać, i to, co duszę bolało — przeboleć.

Teraz wracał właśnie do Rozłogów.

Patrząc na tę przepyszną, iście rycerską postać, która mignęła tylko i znikła, pan Skrzetuski mimowoli pomyślał sobie, a nawet mruknął pod nosem:

— Wszelako to szczęście, że on człowieka przy niej rozszczępił.

Nagle jakiś żal ścisnął mu serce. Żal mu było jakoby i Bohuna, ale więcej jeszcze tego, że związawszy się słowem kniahyni, nie mógł, ot teraz, pojechać za nim konia i rzec:

— Kochamy jedną, więc jednemu z nas nie żyć na świecie. Dobądź, kozacze, szerpetyny!

ROZDZIAŁ V.

Przybywszy do Łubniów, nie zastał pan Skrzetuski w domu księcia, który był do pana Suffczyńskiego, dawniejszego swego dworzanina, do Sieńczy na chrzciny pojechał, a z nim księżna, dwie panny Zbaraskie i wiele osób ze dworu. Dano tedy znać do Sieńczy i o powrocie z Krymu namiestnika, i o przybyciu posła, tymczasem znajomi i towarzysze witali radośnie po długiej podróży Skrzetuskiego, a zwłaszcza pan Wołodyjowski, który po ostatnim pojedynku był najbliższym naszemu namiestnikowi przyjacielem. Odznaczał się ten kawaler tem, iż ustawicznie był zakochany. Przekonawszy się o nieszczerości Anusi Borzobohatej, zwrócił był czułe serce ku Anieli Leńskiej, pannie również z fraucymeru, a gdy i ta, przed miesiącem właśnie, zaślubiła pana Staniszewskiego, wówczas Wołodyjowski dla pociechy jął wzdychać do starszej księżniczki Zbaraskiej, Anny, synowicy księcia Wiśniowieckiego.

Wszelako sam rozumiał, iż podniósłszy tak wysoko oczy, nie mógł choćby najmniejszą pokrzepiać się nadzieją, tembardziej, że i po księżniczkę zgłosili się już dziewosłębowie, pan Bodzyński i pan Lasota, w imieniu pana Przyjemskiego, wojewodzica

łęczyckiego. Opowiadał więc nieszczęsny Wołodysowski te nowe strapienia naszemu namiestnikowi, wcielając go we wszystkie sprawy i tajemnice dworskie, których ten półuchem słuchał, mając umysł i serce czem innem zajęte. Gdyby nie owe duszne niepokoje, które z miłością, choćby wzajemną, zawsze w parze chodzić zwykły, byłby się czuł pan Skrzetuski szczęśliwym, wróciwszy po długiej nieobecności do Łubniów, gdzie otoczyły go twarze życzliwe i ów gwar życia żołnierskiego, z którym oddawna był żyły. Albowiem Łubnie, jakkolwiek jako zamczysta rezydencya pańska, mogły pod względem wspaniałości równać się ze wszystkimi siedzibami „królewiat,” tem się wszelako od nich różniły, iż życie w nich było surowe, prawdziwie obozowe. Kto nie znał tamtejszych zwyczajów i ordynku, ten, przyjechawszy choćby w porze najspokojniejszej, mógł sądzić, że się tam jaka wyprawa wojenna gotuje. Żołnierz przeważał tam nad dworzaninem, żelazo nad złotem, dźwięk trąb obozowych nad gwarem uczt i zabaw. Wszędy panował wzorowy ład i nieznaną gdzieindziej dyscyplina; wszędy roiło się od rycerstwa z pod różnych chorągwi: pancernych, dragańskich, kozackich, tatarskich i wołoskich, pod którymi służyło nie tylko całe Zadnieprze, ale ochocza szlachta ze wszystkich okolic Rzplitej. Kto się chciał w prawdziwej rycerskiej szkole wyćwiczyć, ten ciągnął do Łubniów; nie brakło więc tam, obok Rusinów, ani Mazurów, ani Litwy, ani Małopolan, ba! nawet i Prusaków. Piesze regimenty i artylerya, czyli tak zwany „lud ognisty,” złożone były przeważnie z wyborowych Niemców, najętych za żołd wysoki — w dra-

ganach służyli głównie miejscowi — Litwa w tatarskich chorągwiach, Małopolanie garnęli się najchętniej pod znaki pancerne. Książę nie pozwalał też gnusnieć rycerstwu, dlatego w obozie panował ruch ustawiczny. Jedne pułki wychodziły na zmianę do stanic i polanek, inne wchodziły do stolicy — po całych dniach odbywały się musztry i ćwiczenia. Czasem też chociaż i spokojnie było od Tatar, książę przedsiębrał dalekie wyprawy w głuche stepy i pustynie, by żołnierzy do pochodów przyuczyć, dotrzeć tam, gdzie nikt nie dotarł i roznieść sławę swego imienia. Tak zeszłej jesieni zapuścił się lewym brzegiem Dniepru do Kudaku, gdzie go pan Grodzicki, trzymający prezydium, jako monarchę udzielnego przyjmował; potem pociągnął obok porohów aż do Chortycy, i na uroczyszczu Kuczkasów kazał mogiłę wielką z kamieni usypać na pamiątkę i na znak, że tamtą stroną żaden jeszcze pan nie był tak daleko ¹⁾.

Pan Bogusław Maszkiewicz, żołnierz dobry, choć młody, a zarazem człowiek uczony, który tę wyprawę, również jak inne pochody książęce opisał, cuda o niej opowiadał Skrzetuskiemu, co pan Wołodyjowski zaraz potwierdzał, gdyż i on brał udział w wyprawie. Widzieli tedy porohy i dziwili im się, a zwłaszcza straszmemu Nienasytcowi, który rokrocznie, jak ongi Scylla i Charybda, po kilkadziesiąt ludzi pożerał. Potem puścili się na wschód, na spalone stepy, gdzie od niedogarków jazda postępować nie mogła, i aż musieli koniom nogi skórąmi obwiązać.

¹⁾ Są to słowa Maszkiewicza, który mógł nie wiedzieć o bytności Samuela Zborowskiego na Siczy.

Spotkali tam mnóstwo gadzin, padalców i olbrzymie węże położy, na dziesięć łokci długie, a grube, jak ramię męża. Po drodze na samotnych dębach ryli pro aeterna rei memoria herby książęce, nakoniec zaszli w tak głucho stepy, gdzie już i śladów człowieka nie było można dopatrzeć.

— Myślałem—mówił uczony pan Maszkiewicz— że nam w końcu na wzór Ulisesa i do Hadu zstąpić przyjdzie.

Na to pan Wołodyjowski:

— Przysięgali też ludzie z pod chorągwi pana strażnika Zamoyskiego, która szła na przodku, jako już widzieli owe fines, na których orbis terrarum się kończy.

Namiestnik opowiadał wzajemnie towarzyszom o Krymie, gdzie prawie pół roku spędził, czekając na respons chana jegomości; o tamtejszych miastach, pozostałych z dawnych czasów, o Tatarach i o potędze ich wojennej, a nakoniec o postrachu, w jakim żyli, usłyszawszy o walnej na Krym wyprawie, w której wszystkie siły Rzplitej miały wziąć udział.

Tak gwarząc co wieczór, oczekiwali powrotu księcia, tymczasem namiestnik przedstawiał co bliższym towarzyszom pana Longina Podbipiętę, który, jako człek słodki, odrazu pozyskał serca, a okazawszy przy próbach z mieczem nadludzką swą siłę, powszechny sobie zjednywał szacunek. Opowiedział on już temu i owemu o przodku Stowejce i o ściętych trzech głowach, zamilczał tylko o swoim ślubie, nie chcąc się na żarty narażać. Szczególnie podobali się sobie z Wołodyjowskim, a to dla zobopólnej serc czułości; po kilku też dniach chodzili razem

wzdychać na wały, jeden do gwiazdki za wysoko świecącej, by ją mógł dostać, alias do księżniczki Anny — drugi do nieznanej, od której go trzy słubowane głowy oddzielały.

Ciągnął nawet Wołodyjowski pana Longina do draganów, ale Litwin postanowił sobie koniecznie zapisać się pod znak pancerny, by pod Skrzetuskim służyć, o którym z rozkoszą dowiedział się w Łubniach, że wszyscy mają go za rycerza pierwszej wody i jednego z najlepszych oficerów książęcych. A właśnie w chorągwi, w której pan Skrzetuski porucznikował, otwierał się wakans po panu Zakrzewskim, przewiskiem „Miserere mei,” który od dwóch tygodni obłożnie chorował i był bez nadziei życia, bo mu się wszystkie rany od wilgoci pootwierały. Do trosk miłosnych namiestnika dołączył się jeszcze i smutek z grożącej straty starego towarzysza i doświadczonego przyjaciela; nie odstępował też po kilka godzin dziennie ani piędźią od jego wezglowia, pocieszając go jak umiał i krzepiąc nadzieją, że jeszcze niejedną wyprawę razem odbędą.

Ale starzec nie potrzebował pociechy. Konał sobie wesoło na twardem łożu rycerskiem, obciążniętem końską skórą, i z uśmiechem prawie dziecięcym spoglądał na krucyfiks zawieszony nad łożem. Skrzetuskiemu zaś odpowiadał:

— Miserere mei, mości poruczniku, już ja sobie idę po swoją łafę niebieską. Ciało na mnie takie od ran dziurawe, że o to się tylko boję, czy święty Piotr, który jest marszałkiem Bożym i ochędostwa w niebie doglądać musi, puści mnie do raju w tak podziurawionej sukni. Ale mu powiem: „Święty

Piotruńku! zaklinam cię na ucho Malchusowe, nie czyn-że mi wstrętu, boć to poganie tak mi popсовали szatki cielesne... miserere mei! a będzie jaka wyprawa świętego Michała na potencję piekielną, to się stary Zakrzewski przyda jeszcze.“

Więc porucznik, choć jako żołnierz tyle razy śmierć oglądał i sam ją zadawał, nie mógł łez wstrzymać, słuchając tego starca, którego zgon do pogodnego zachodu słońca był podobny.

Aż jednego ranka zabrzmiały dzwony we wszystkich kościołach i carkwiach łubniańskich, zwiastujące śmierć pana Zakrzewskiego. Tegoż dnia książę z Sieńczy przyjechał, a z nim panowie Bodzyński i Lassota, oraz cały dwór i dużo szlachty w kilkudziesięciu kolaskach, bo zjazd u pana Suffczyńskiego był niezmierny. Książę wyprawił wspaniały pogrzeb, chcąc uczcić zasługi zmarłego i okazać, jak się w ludziach rycerskich kocha. Asystowały więc w pochodzie żałobnym wszystkie regimenty stojące w Łubniach, na wałach bito z hakownic i rusznic. Kawalerya szła od zamku aż do kościoła farnego w mieście, bojowym ordynkiem, ale ze zwiniętymi banderyami; za nią piesze regimenta z kolbami do góry. Sam książę, przybrany w żałobę, jechał za trumną w pozłocistej karecie, zaprzężonej w ośm białych jak mleko koni, mających grzywy i ogony pofarbowane na ponsowo i kiście strusich piór czarnej barwy na głowach. Przed kolaską postępował oddział janczarów, stanowiących przyboczną straż książęcą, tuż za kolaską paziowie, przybrani z hiszpańska, na dzielnych koniach, dalej wysocy urzędnicy dworscy, dworzanie rękodajni, pokojowcy, наконец hajducy i pa-

marc
jucy. Kondukt zatrzymał się naprzód u drzwi kościoła, gdzie ksiądz Jaskólski powitał trumną mową, poczynając się od słów: „Dokąd tak śpieszysz, mości Zakrzewski?” Potem przemawiało jeszcze kilku z towarzystwa, a między nimi i pan Skrzetuski, jako zwierzchnik i przyjaciel zmarłego. Następnie wniesiono ciało do kościoła, i tu dopiero zabrał głos najmówniejszy z wymownych: ksiądz jezuita Muchowiecki, który mówił tak górnie i ozdobnie, że sam ksiązę zapłakał. Był to bowiem pan nadzwyczaj tkliwego serca i dla żołnierzów ojciec prawdziwy. Dyscypliny przestrzegał żelaznej, ale pod względem hojności, łaskawego traktowania ludzi i opieki, jaką otaczał, nietylko ich samych, ale ich dzieci i żony, nikt się z nim nie mógł porównać. Dla buntów straszny i niemiłosierny, był jednak prawdziwym dobrodziejem nietylko szlachty, ale i całego swego ludu. Gdy w 46 roku szarańcza zniszczyła plony, czynszownikom za cały rok czynsz odpuścił, poddanym kazał wydawać zboże ze śpichlerzów, a po pożarze w Chorolu wszystkich mieszczan przez dwa miesiące swoim kosztem żywił. Dzierżawcy i podstarościowie w ekonomicach drżeli, by do uszu księcia wieść o jakowych nadużyciach lub krzywdach ludowi czynionych nie doszła. Sierotom taka była opieka zapewniona, że przezywano je na Zadnieprzu „książęciami detynami.” Czuwała nad tem sama księżna Gryzelda, przy pomocy ojca Muchowieckiego. Ład tedy panował we wszystkich ziemiach książęcych, dostatek, sprawiedliwość, spokój, ale i strach, bo w razie najmniejszego oporu nie znał ksiązę miary w gniewie i karaniu, tak w jego naturze łączyła się

wspaniałomyślność ze srogością. Ale w owych czasach i w owych krainach tylko ta srogość pozwalała się krzawić i plenić ludzkiemu życiu i pracy, jej tylko dzięki powstawały miasta i wsie, rolnik wziął górę nad hajdamaką, kupiec spokojnie towar swój prowadził, dzwony spokojnie wzywały wiernych na modlitwę, wróg nie śmiał granicy przestąpić, kupy łotrów ginęły na palach, lub zmieniały się w rządnych żołnierzy, a kraj pustylny rozkwitał.

Dzikiem krainie i dzikim mieszkańcom takiej potrzeba było ręki, na Zadnieprze bowiem szły najniespokojniejsze z Ukrainy żywioły, ciągnęli osadnicy nęceni rolą i żyznością ziemi, zbiegli chłopci ze wszystkich ziem Rzplitej, przestępcy uciekający z więzień, słowem, jakoby rzekł Livius: „*pastorum convenarumque plebs transfuga ex suis populis.*“ Utrzymać ich w ryzie, zmienić w spokojnych osadników i wtłoczyć w karby osiadłego życia mógł tylko taki lew, na którego ryk drżało wszystko.

Pan Longinus Podbipięta, pierwszy raz w życiu księcia na pogrzebie ujrzawszy, własnym oczom uwierzyć nie mógł. Słyszac bowiem tyle o sławie jego, wyobrażał sobie, że musi to być jakiś olbrzym, o głowę rodzaj ludzki przewyższający, a tymczasem książę był wzrostu prawie małego i dość szczupły. Młody był jeszcze, liczył dopiero trzydziesty szósty rok życia, ale na twarzy jego widne już były trudy wojenne. O ile bowiem w Łubniach żył jak król prawdziwy, o tyle w czasie licznych wypraw i pochodów dzielił niewczasny prostego towarzysza, jadał czarny chleb i sypiał na ziemi na wołoku, a że większa

część życia schodziła mu na pracach obozowych, więc odbiły się one na jego twarzy. Wszelako oblicze to na pierwszy rzut oka zdradzało nadzwyczajnego człowieka. Malowała się w niem żelazna, nieugięta wola i majestat, przed którym każdy mimowoli musiał uchylić głowy. Widać było, że ten człowiek zna swoją potęgę i wielkość — i gdyby mu jutro włożyć koronę na głowę, nie czułby się ani zdziwionym, ani przygniecionym jej ciężarem. Oczy miał duże, spokojne, prawie słodkie, jednakże gromy zdawały się być w nich uspione, i czuleś, że biada temu, ktoby je rozbudził. Nikt też znieść nie mógł spokojnego blasku tego spojrzenia, i widywano posłów, wytrawnych dworaków, którzy stanawszy przed Jeremim, mieszcili się i nie umieli zacząć dyskursu. Był to zresztą na swoim Zadnieprzu król prawdziwy. Z kancelaryi jego wychodziły przywileje i nadania: „My po Bożej myłosti kniaź i hospodyn“ etc. Nie wielu też i panów za równych sobie poczytywał. Kniaziowie z krwi dawnych władców bywali u niego marszałkami. Takim był w swoim czasie i ojciec Heleny, Wasyl Bułyha-Kurcewicz, który to ród przecie, jak się wyżej wspomniało, wyprowadzał się od Koryata, a w samej rzeczy od Ruryka pochodził.

Było w księciu Jeremim coś, co mimo wrodzonej mu łaskawości trzymało ludzi w oddaleniu. Kochając żołnierzków, on sam poufalił się z nimi — z nim nikt nie śmiał się poufalić. A jednakże rycerstwo, gdyby mu kazał konno w przepaście dnieprowe skoczyć, uczyniłoby to bez wahania.

Po matce Wołoszce odziedziczył on cerę białą tą białością rozpalonego żelaza, od której żar bije,

i czarny jak skrzydło kruka włos, który na całej głowie podgolony, z przodu tylko spadał bujnie i obcięty nad brwiami, zasłaniał mu połowę czoła. Nosił się po polsku, o ubiór niezbyt dbał i tylko na wielkie uroczystości nakładał szaty kosztowne, ale wówczas świecił cały od złota i kamieni. Pan Longin w kilka dni później był obecny na takiej uroczystości, gdy książę dawał posłuchanie panu Rozwanowi Ursu. Audyencye posłów odbywały się zawsze w sali tak zwanej niebieskiej, gdyż na jej suficie firmament niebieski, wraz z gwiazdami, pendzlem Gdańszczanina Helma był wyobrażony. Zasiadał tedy książę pod baldachinem z aksamitu i gronostajów, na wyniosłym krześle, do tronu podobnym, którego podnózek był blachą pozłocistą obity, za księciem zaś stał ksiądz Muchowiecki, sekretarz, marszałek kniaź Woronicz, pan Bogusław Maszkiewicz, dalej paziowie i dwunastu trabantów z halabardami, przybranych po hiszpańsku; głębie sali przepełnione były rycerstwem w świetnych strojach i ubiorach. Pan Rozwan prosił w imieniu hospodara, by książę swym wpływem i grozą imienia wyrobił u chana zakaz Tatarom budziackim wpadania do Wołoszczyzny, w której corocznie straszliwe szkody i spustoszenia czynili, na co książę odpowiedział piękną łaciną, że Budziacy niebardzo samemu chanowi byli posłuszni, że jednakże, gdy na kwiecień spodziewa się Czausa Murzy, posła chanowego u siebie, będzie przez niego upominał się u chana o krzywdy wołoskie. Pan Skrzetuski poprzednio już zdał relacyą ze swego poselstwa i podróży, oraz ze wszystkiego, co słyszał o Chmielnickim i jego na Sicz ucieczce. Książę po-

stanowił posunąć kilka pułków ku Kudakowi, ale nie przywiązywał wielkiej do tej sprawy wagi. Tak więc, gdy nic nie zdawało się zagrażać spokojowi i potęgde Zadnieprzańskiemu państwu, rozpoczęły się w Łubniach uroczystości i zabawy, tak z powodu bytności posła Rozwana, jak i dlatego, że panowie Bodzyński i Lassota oświadczyli się wreszcie uroczysto, w imieniu wojewodzica Przyjemskiego, o rękę starszej księżniczki Anny, a na tę prośbę otrzymali i od księcia i od księżny Gryzeldy odpowiedź pomyślną.

Jeden tylko mały Wołodyjowski cierpiał nad tem niemało, a gdy Skrzetuski próbował wlać mu otuchę w serce, odpowiedział:

— Dobrze tobie, bo gdy jeno zechcesz, Anusia Borzobohata cię nie ominie. Już tu ona o tobie bardzo wdzięcznie przez cały czas wspominała; rozumiałem z początku, iż w tej myśli, by zazdrość w Bychowcu *excitare*, ale widzę, że chciała go na hak przywieść i chyba dla ciebie jednego czulszy w sercu żywi sentyment.

— Co tam Anusia! Wróć-że sobie do niej — *non prohibeo*. Ale o księżniczce Annie przestań myśleć, gdyż to jest to samo, jakbyś chciał feniksa czapkę na gnieździe przykryć.

— Wiem ci to, że ona jest feniksem, i dlatego z żalu po niej pewno mi umrzeć przyjdzie.

— Żyw będziesz i wraz się zakochasz, byle jeno nie w księżniczce Barbarze, bo ci ją drugi wojewodzie z przed nosa sprzątnie.

— Zali serce jest pachółkiem, któremu rozkażać można? czyli oczom zabronisz patrzeć na tak cudną istotę, jak księżniczka Barbara, której widok dzikie nawet bestye poruszyć byłby zdolny?

— Masz dyable kubrak! — wykrzyknął pan Skrzetuski. — Widzę, że się bez mojej pomocy pocieszysz, aleć to powtarzam: wróć do Anusi, bo z mojej strony żadnych impedimentów mieć nie będziesz.

Anusia jednak ani myślała rzeczywiście o Wołodyjowskim. Natomiast drażniła ją, zaciekawiała i gniewała obojętność pana Skrzetuskiego, który, wróciwszy po tak długiej nieobecności, prawie na nią nie spojrzał. Wiezorami tedy, gdy książę z co przedniejszych oficerami i dworzany przychodził do bawialnej komnaty księżny, by zabawić się rozmową, Anusia, wyglądając z za pleców swej pani (bo księżna była wysoka a Anusia niska), świdrowała swemi czarnemi oczkami w twarzą namiestnika, chcąc mieć rozwiązanie tej zagadki. Ale oczy Skrzetuskiego, również jak myśl, błędziły gdzieindziej, a gdy wzrok jego padał na dziewczynę, to taki zamysłony i szklany, jak gdyby nie na tę patrzył, do której śpiewał niegdys:

„Jak tatarska orda,
Bierzesz w jasyr c o r d a!...”

— Co mu się stało? — pytała sama siebie rozpieszczona faworytka całego dworu i tupiąc drobną nóżką, czyniła postanowienie rzecz tę zbadać. Nie kochała się ona wprawdzie w Skrzetuskim, ale przyzwyczajwszy się do hołdów, nie mogła znieść, by na nią nie zważano, i gotowa była ze złości sama się rozkochać w zuchwalcu.

Razu tedy jednego, biegnąc z motkami dla księżny, spotkała pana Skrzetuskiego, wychodzącego z przyległej sypialnej komnaty księżęcej. Naleciała na niego jak burza, prawie go potrafiła piersią i cofnąwszy się nagle, rzekła:

— Ach! jakim się przestraszył! Dzień dobry waćpanu!

— Dzień dobry pannie Annie! Czyliż takowe monstrum ze mnie, bym aż miał pannę Annę przestraszać?

Dziewczyna stała ze spuszczonei oczkami kręcąc palcami niezajętej ręki końce warkoczów, przestępując z nóżki na nóżkę i, niby zmieszana, odpowiedziała z uśmiechem:

— E nie! to, to nie... wcale nie... jak matkę kocham!

Nagle spojrzała na porucznika i znów zaraz spuściła oczy:

— Czy się waćpan gniewasz na mnie?

— Ja? Alboż panna Anna dba o mój gniew?

— Co prawda, to nie. Miałabym też o co dbać. Może waćpan myślisz, że zaraz będę płakała? Pan Bychowiec grzeczniejszy...

— Jeśli tak, to nie pozostaje mnie nic innego, tylko ustąpiwszy pola panu Bychowcowi, zejść z oczu panny Anny.

— A czy ja trzymam?

To rzekłszy, Anusia zastąpiła mu drogę.

— To waćpan z Krymu powraca? — spytała.

— Z Krymu.

— A co waćpan z Krymu przywiózł?

— Przywiozłem pana Podbipiętę. Wszakże go panna Anna widziała? Bardzo to miły i stateczny kawaler.

— Pewnie, że miłszy od waćpana. A po co on tu przyjechał?

— By panna Anna miała na kim swojej mocy

pobróbować. Aleć radzę ostro się brać, bo wiem jeden sekret o tym kawalerze, dla którego jest on niewyciężony... I nawet panna Anna nic z nim nie wskóra. *obchodzi*

— Dlaczegoż to on jest niewyciężony?

— Bo się nie może żenić.

— A co mnie to obchodzi! Czemuz to on nie może się żenić?

Skrzetuski pochylił się do ucha dziewczyny, ale rzekł bardzo głośno i dobitnie: *na fora*

— Bo czystość ślubował.

— Niemądryś waćpan! — zawołała prędko Anusia i w tejże chwili furknęła, jak ptak spłoszony.

Tego wieczoru jednak popatrzała pierwszy raz uważniej na pana Longina. Gości dnia tego było niemało, bo ksiązę wyprawiał pożegnalną ucztę dla pana Bodzyńskiego. Nasz Litwin, przybrany starannie w biały atłasowy żupan i ciemno-niebieski aksamitny kontusz, wyglądał bardzo okazale, tembardziej, że przy boku, zamiast katowskiego zerwikaptura, zwieszała mu się lekka krzywa szabla, w pozłocistej pochwie.

Oczka Anusi strzelały na pana Longina potrosze umyślnie na złość panu Skrzetuskiemu. Byłby tego jednakże namiestnik nie zauważył, gdyby nie Wołodyjowski, który trąciwszy go łokciem, rzekł:

— Niechże mnie jasyr spotka, jeśli Anusia nie wdzięczy się do tej chmielowej tyczki litewskiej!

— Powiedz-że to jemu samemu.

— Pewnie, że powiem. Dobrana będzie z nich para. *chociaż*

— Będzie ją mógł nosić zamiast spinki u żupana, taka właśnie jest między nimi proporcya. *justa*

— Albo zamiast kitki na czapce.

Wołodajowski podszedł do Litwina.

— Mospanie — rzekł — niedawno jakeś tu przybył, ale frant widzę z waści nielada.

— A to czemu, brateńku dobrodzieju? a to czemu?

— Boś nam tu najgładszą dziewczkę z fraucyme-ru już zbałamucił.

— Dobrodzieju! — rzekł Podbipięta, składając ręce — co waćpan mówisz najlepszego?

— Spójrzyj waszmość na pannę Annę Borzobohatą, w której się tu wszyscy kochamy, jak to ona na waści dziś oczkiem strzyże. Pilnuj się jeno, żeby z waści dudka nie wystrzygła, jak z nas powystrzygała.

To rzekłszy, Wołodajowski zakręcił się na pięcie i odszedł, pozostawiając pana Longina w zdumieniu. Nie śmiał on nawet zrazu spojrzeć w stronę Anusi i po jakimś dopiero czasie rzucił zniecierliwie okiem — ale aż zadrżał. Z poza ramienia księżny Gryzeldy dwoje jarzących ślepków patrzyło na niego istotnie z ciekawością i uporem. — „A page sata-nas!“ — pomyślał Litwin, i oblawszy się jak żaczek rumieńcem, uciekł w drugi kąt sali.

Jednakże pokusa była ciężka. Ten szatanek, wyglądający z za pleców księżny, miał tyle ponęt, te oczki tak świeciły jasno, że pana Longina aż ciągnęło coś, by w nie choć jeszcze raz tylko spojrzeć. Ale wtem wspomniął na swój ślub, w oczach stanął mu Zerwikaptur, przodek Stowejko Podbipięta, trzy ścięte głowy, i strach go zdjął. Przeżegnał się i tego wieczoru nie spozrywał więcej.

Natomiast rankiem nazajutrz przyszedł na kwatę Skrzetuskiego.

— Panie namiestniku, a prędko pociągniemy? Co też tam waszmość słyszał o wojnie?

— Przypiliło waści. Bądź-że cierpliwy, póki się pod znak nie zaciągniesz.

Pan Podbipięta bowiem nie był jeszcze zapisany na miejsce zmarłego Zakrzewskiego. Musiał czekać z tem aż ćwierć wyjdzie, co miało nastąpić dopiero pierwszego kwietnia.

Ale było mu rzeczywiście pilno, dlatego pytał namiestnika w dalszym ciągu:

— A nic-że J. O. książę w tej materyi nie mówił?

— Nic. Król pono do śmierci nie przestanie o wojnie myśleć, ale Rzeczpospolita jej nie chce.

— A mówili w Czehryniu, że rebelia kozacka zagraża?

— Znać, że waści mocno ślub dolega. Co do rebellii, wiedz-że, iż jej przed wiosną nie będzie, bo choć to zima lekka, ale zima zimą. Mamy dopiero 15 februarii, lada dzień mrozy jeszcze mogą nastąpić, a kozak w pole nie rusza, póki się nie może okopać, bo oni za wałem biją się okrutnie, w polu zaś nie umieją dotrzymać.

— Tak i trzeba czekać nawet na kozaków?

— Zważ waćpan i to, że choćbyś w czasie rebellii swoje trzy głowy znalazł, to niewiadomo, czy od ślubu wolnym będziesz, boć co innego Krzyżacy lub Turcy, a co innego swoi — jakoby rzec, dzieci ejusdem matris.

— O wielki Boże! O toś mi waćpan sęka w głowę zadał. Ot desperacya! Niechże mnie książdz Muchowiecki te wątpliwości rozstrzygnie, bo inaczej nie będę miał i chwili spokoju.

— Pewnie, że rozstrzygnie, gdyż jest człek uczony i pobożny, ale pewnie nie powie nic innego. *Bellum civile* to wojna braci.

— A gdyby rebelizantom obca potęga na pomoc przysła?

— Tedy miałbyś pole. Ale teraz jedno mogę waści zalecić: czekaj i bądź cierpliwy.

Jednakże pan Skrzetuski sam nie umiał pójść za tą radą. Ogarniała go tęskność coraz większa, nudziły go uroczystości dworskie i te twarze, na które dawniej tak mile spoglądał. Panowie Bodzyński, Lassota i pan Rozwan Ursu wyjechali wreszcie, a po ich wyjeździe nastał spokój głęboki. Życie zaczęło płynąć jednostajnie. Książę zajęty był lustracyami dóbr ogromnych i co rano zamykał się z komisarzami, nadjeżdżającymi z całej Rusi i z Sandomierskiego — więc nawet i ćwiczenia wojskowe rzadko tylko mogły się odbywać. Gwarne uczty oficerskie, na których rozprawiano o przyszłych wojnach, nużyły niewymownie Skrzetuskiego, więc z guldynką na ramieniu uciekał nad Sołonicę, gdzie ongi Żółkiewski tak strasznie Nalewajkę, Łobodę i Krępskiego pogromił. Ślady owej bitwy już się były zatarły i w pamięci ludzkiej, i na pobojuwisku. Czasem tylko jeszcze ziemia wyrzucała z łona zbielełe kości, a za wodą sterczał nasyp kozacki, z poza którego bronili się tak rozpaczliwie Zaporozcy Łobody i Nalewajkowa wolnica. Ale już i na nasypie puścił się gęsto gaj zarośli. Tam to Skrzetuski chronił się przed gwarem dworskim i zamiast strzelać do ptaków, rozpamiętywał; tam to przed oczyma jego duszy stawała przywoływana pamięcią i sercem postać kochanej dziewczyny;

tam wśród mgły, szumu oczeretów i melancholii owych miejsc, doznawał ulgi we własnej tęsknocie. Ale później jęły padać obfite, zapowiadające wiosnę deszcze. Sołonica zamieniła się w topielisko, głowy z pod dachu trudno było wychylić, więc namiestnik i tej pociechy, jaką znajdował w błakaniu się samotnem, został pozbawiony. A tymczasem wzrastał jego niepokój—i słusznie. Miał on z początku nadzieję, że Kurcewiczowa z Heleną, jeśli tylko kniahydni potrafi wyprawić Bohuna, zjadą zaraz do Łubniów, a teraz i ta nadzieja zgasła. Ślota popsuła drogi, step na kilka mil, po obu brzegach Suły, stał się ogromnem bagniskiem, na którego przebycie trzeba było czekać, póki wiosenne gorące słońce nie wysysie zbytku wód i wilgoci. Przez cały ten czas Helena miała pozostawać pod opieką, której Skrzetuski nie ufał, w prawdziwym wilczem gnieździe, wśród ludzi nieokrzesanych, dzikich, a Skrzetuskiemu niechętnych. Wprawdzie dla własnego dobra powinni mu byli słowa dotrzymać — i prawie nie mieli innej drogi — ale któż mógł odgadnąć, co wymyślą, na co się odważą, zwłaszcza gdy ciążył nad nimi straszliwy watażka, którego widocznie i kochali, i bali się jednocześnie. Łatwoby mu przyszło i zmusić ich do oddania mu dziewczyny, bo nierzadkie były i podobne wypadki. Tak samo swego czasu towarzysz nieszczęsnego Nalewajki, Łoboda, zmusił panią Poplińską, by mu oddała za żonę swą wychowankę, choć dziewczyna była szlachecianką dobrego rodu i chociaż z całej duszy nienawidziła watażki. A jeśli było prawdą, co mówiono o niezmiernych bogactwach Bohuna, to przecie mógł im i dziewczynę, i utratę Rozłogów zapłacić. A potem co? Po-

tem — myślał pan Skrzetuski — doniosą mi szyderczo, że jest „po harapie,” a sami umkną gdzieś w puszcze litewskie lub mazowieckie, gdzie ich nawet potężna książęca ręka nie dosięgnie. Pan Skrzetuski trząsał się jak w febrze na tę myśl, targał się jak wilk na łańcuchu, żałował swego rycerskiego słowa danego kniahyni — i nie wiedział, co ma począć. A był to człowiek, który nierad pozwalał ciągnąć się za brodę wypadkom. W jego naturze leżała wielka przedsiębiorczość i energia. Nie czekał on na to, co mu los zdarzy; wołał los brać za kark i zmuszać, by zdarzał fortunnie — dlatego trudniej mu było, niż komu innemu siedzieć z założonemi rękoma w Łubniach.

Postanowił więc działać. Miał on pacholika Rzędziana, szlachcica chodaczkowego z Podlasia, lat szesnastu, ale franta kutego na cztery nogi, z którym niejednen stary wyga nie mógł iść o lepsze, i tego postanowił wysłać do Heleny, oraz na przeszpiegi. Skończył się też już był luty; deszcze przestały lać, marzec zapowiadał się dość pogodnie, i drogi musiały się nieco poprawić. Wybierał się więc Rzędzian w drogę. Pan Skrzetuski zaopatrzył go w list, papier, pióra i flaszkę inkaustu, której kazał mu jak oka w głowie pilnować, bo pamiętał, że tych rzeczy niemasz w Rozłogach. Miał także chłopak poleczone, by nie powiadał od kogo jest, by udawał, że do Czehrynia jedzie, i pilnie na wszystko zwracał oko, a zwłaszcza wywiedziało się dobrze o Bohunie, gdzie jest i co porabia. Rzędzian nie dał sobie dwa razy instrukcyi powtarzać, czapkę na bakier nasunął, nahałem świsnął i pojechał.

Dla pana Skrzetuskiego rozpoczęły się ciężkie

dni oczekiwania. Dla zabicia czasu ścinał się w palcaty z panem Wołodyjowskim, wielkim mistrzem w tej sztuce, lub dziirytem do pierścienia rzucał. Zdarzył się też w Łubniach wypadek, którego namiestnik o mało zdrowiem nie przyplacił. Pewnego dnia niedźwiedź, zerwawszy się z łańcucha, na podwórku zamkowym, poszczerbił dwóch masztalerzy, popłoszył konie pana komisarza Chlebowskiego i nakoniec rzucił się na namiestnika, który szedł właśnie z cekhauzu do księcia, bez szabli przy boku, mając w ręku tylko lekki nadziak z mosiężną główką. Namiestnik byłby zginął niezawodnie, gdyby nie pan Longin, który ujrawszy z cekhauzu co się dzieje, porwał za swój zerwikaptur i przybiegł na ratunek. Pan Longin okazał się w zupełności godnym potomkiem przodka Stowejki, gdyż w oczach całego dworu, odwalił jednym zamachem łeb niedźwiedziowi razem z łapą, a ten dowód nadzwyczajnej siły podziwiał z okna sam książę i wprowadził następnie pana Longina do pokojów księżny, gdzie Anusia Borzobohata tak wabiła go oczkiem, że nazajutrz musiał iść do spowiedzi i następnie przez trzy dni nie pokazywał się w zamku, póki żarliwą modlitwą wszelkich pokus nie odpędził.

Tymczasem upłynęło dni dziesięć, a Rzędziana nie było widać z powrotem. Nasz pan Jan schudł z oczekiwania i tak wymizerniał, że aż Anusia poczęła się wypytywać przez posły, co mu jest — a Carboni, doktor książęcy, zapisał mu jakąś dryakiew na melancholię. Ale innej on dryakwi potrzebował, gdyż dniem i nocą o swojej kniaziównie rozmyślał — i czuł coraz mocniej, że to nie żadne płocze

uczucie zagnieździło się w jego sercu, ale miłość wielka, która musi być zaspokojona, bo inaczej pierś ludzką, jak słabe naczynie, rozsadzi gotowa.

Łatwo więc sobie wyobrazić radość pana Jana, gdy pewnego dnia o świcie wszedł do jego kwatery Rzędzian zabłocony, zmęczony, wymizerowany, ale wesół i z dobrą wieścią, wypisaną na czole. Namiestnik, jak się zerwał prosto z łoża, tak przybiegłszy do niego, schwycił go za ramiona i krzyknął:

— Listy masz?

— Mam, panie. Oto są.

Namiestnik porwał i zaczął czytać. Długi czas wątpił, czy mu nawet w razie najpomysłniejszym Rzędzian list przywiezie, gdyż nie był pewien, czy Helena pisać umie. Kresowe niewiasty nie bywały uczone, a Helena chowała się do tego między prostakami. Jednakże widocznie ojciec nauczył ją jeszcze tej sztuki, gdyż skreśliła długi list na cztery strony papieru. Biedaczka nie umiała wprawdzie wyrażać się ozdobnie, retorycznie, ale wprost od serca pisała, co następuje:

„Już ja waćpana nigdy nie zapomnę, waćpan mnie prędeż, bo słyszę, że są i płosi między wami. Ale gdyś pacholika umyślnie tyle mil drogi przysyłał, to widać, że ci miła, jak i ty mnie, za co-ć sercem wdzięcznem dziękuję. Nie myśl też waćpan, aby to nie było przeciw skromności mojej, jak ci o tem kochaniu pisać, ale snadź lepiej już prawdę powiedzieć, niż żelgać, albo ją ukrywać, gdy zgoła co innego jest w sercu. Wypytywałam też imć Rzędziana co w Łubniach porabiasz i jakie są wielkiego dworu obyczaje, a gdy mnie o urodzie i gładkości tamtejszych

panien powiadał, prawie ze łzami od wielkiego smutku się zalałam...”

Tu namiestnik przerwał czytanie i spytał Rzędziana:

— Coś ty tam kpie powiadał?

— Wszystko dobrze, panie! — odpowiedział Rzędzian.

Namiestnik czytał dalej:

„...Bo jakże mnie prostacze porównywać się z niemi. Ale powiedział mi pacholek, iż waćpan na żadną i patrzeć nie chcesz...”

— Toś dobrze powiedział! — rzekł namiestnik.

Rzędzian nie wiedział wprawdzie o co idzie, bo namiestnik czytał list pocichu, ale zrobił mądrą minę i chrząknął znacząco, Skrzetuski zaś czytał dalej:

„I zaraz pocieszyłam się, prosząc Boga, by cię nadal w takowej dla mnie życzliwości utrzymał i obojgu nam błogosławił — amen. Jużem się tak też do waćpana stęskniła, jako właśnie do matki, bo mnie sierocie smutno na świecie, ale nie przy waćpanu... Bóg patrzy na moje serce, że jest czyste, a co innego jest prostactwo, które mnie wybaczyć musisz...”

W dalszym ciągu donosiła śliczna kniaziówna, że do Łubniów ze stryjenką wyjadą, jak tylko drogi będą lepsze, i że sama kniahyni chce wyjazd przyspieszyć, gdyż z Czehrynia dochodzą wieści o jakichś niespokojnościach kozackich, czeka więc tylko na powrót młodych kniaziów, którzy do Bohusławia na jarmark koński pojechali.

„Prawdziwy z waćpana czarownik — pisała dalej Helena — żeś sobie i stryjnę zjednać umiał.”

Tu namiestnik uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem, jakimi to sposoby musiał tę stryjnę zjednywać. List kończył się zapewnieniami stałej a pocziwej miłości, jaką właśnie przyszła żona mężowi winna. Wogóle zaś przeglądało z niego istotnie serce czyste, dlatego też namiestnik odczytywał ten list serdeczny po kilkanaście razy od początku do końca, powtarzając sobie w duszy: „Moja wdzięczna dziewczko! niechże mnie Bóg opuści, jeśli cię kiedy zaniecham.“

Potem zaś począł wypyttywać o wszystko Rzędziana.

Sprytny pacholek zdał mu dokładnie sprawę z całej podróży. Przyjęto go uczciwie. Stara kniahyńni wybadywała go o namiestnika, a dowiedziawszy się, że był rycerzem znakomitym i księcia poufnym, a przytem człowiekiem zamożnym, rada była.

— Pytała mnie też — rzekł Rzędzian — czy jegomość, jak co obiecuje, zawsze słowo zdzierży, a ja jej na to: „Moja mościa pani! gdyby ten wołoszynek, na którym przyjechałem, był mnie obiecany, wiedziałbym, że już mnie nie minie...“

— Frant z ciebie—rzecze namiestnik—ale kiedyś tak za mnie zaręczył, to go już trzymaj. Nie sumulowałeś tedy nic, powiedziałeś, że ja cię przysłałem?

— Powiedziałem, bom obaczył, że można, i zaraz jeszcze wdzięczniej mnie przyjęli, a szczególnie panna, która jest tak cudna, jak drugiej na świecie nie znaleźć. A dowiedziawszy się, że od jegomości jadę, już też nie wiedziała, gdzie mnie posadzić, i gdyby nie post, opływałbym we wszystko, jako w niebie. Czytając list jegomości, łzami go oblewała od radości.

Namiestnik zamilkł również od radości i po chwili dopiero spytał znowu:

— A o onym Bohunie nicś się nie dowiedział?

— Nie zdawało mi się panny albo pani o to pytać, alem wszedł w konfidencyę ze starym Tatarem Czechłym, który choć poganin, jest wiernym panienki służą. Ten mnie powiadał, że mruczeli oni wszyscy na jegomości bardzo, ale potem się ustatkowali, a to gdy stało się im wiadomo, iż co prawią o skarbach tego Bohuna, to bajka. *fall.*

— Jakimże sposobem o tem się przekonali?

— A to, widzi jegomość, było tak: mieli oni dyferencyę z Siwińskimi, którą potem obowiązali się spłacić. Jak przyszedł termin, tak do Bohuna: Pozycz! — A on na to: Dobra tureckiego, powiada, trochę mam, ale skarbów żadnych, bo com miał, tom, powiada, rozrzucił. Jak to usłyszeli, zaraz im był tańszy — i do jegomości afekt zwrócili.

— Niema co mówić, dobrześ się o wszystkim wywiedział.

— Mój jegomość, gdybym ja się jednego wywiedział, a drugiego nie, tedyby jegomość mógł do mnie rzec: Konia mi darowałeś, a terlicyś nie dał. Coby jegomości było po koniu bez terlicy?

— No, no, to weź-że i terlicę.

— Dziękuję pokornie jegomości. Oni też Bohuna do Perejasławia zaraz wyprawili, więc jakem się o tem dowiedział, tak sobie myślę: czemu bym i ja nie miał do Perejasławia dotrzeć? Będzie ze mnie pan kontent, to mnie barwa prędzej dojdzie...

— Dojdzie cię na nową ćwierć. To byłeś i w Perejasławiu?

— Byłem. Ale Bohuna tam nie znalazł. Stary pułkownik Łoboda chory. Mówią, że rychło po nim Bohun pułkownikiem zostanie... Ale tam się dzieje coś dziwnego. Semenów ledwie garść przy chorągwi została — reszta, mówią, za Bohunem pociągnęła, czy też na Sicz zbiegła, i to jest, mój jegomość, ważna rzecz, bo tam się podobno jakaś rebelia knuje. Chciałem się koniecznie czegoś dowiedzieć o Bohunie, aleć tylko tyle mi powiedziano, że się na Ruski brzeg ¹⁾ przeprawił; a no! myślę sobie, kiedy tak, to nasza panienka od niego bezpieczna — i wróciłem.

— Dobrześ się sprawił. A przygody jakiej w podróży nie miałeś?

— Nie, mój jegomość, jeno mi się jeść okrutnie chce.

Rzędzian wyszedł, a namiestnik, zostawszy sam, zaczął nanowo odczytywać list Heleny i do ust przyciskać te literki, nie tak kształtne, jak ręka, która je kreśliła. Ufność wstąpiła mu w serce — i myślał sobie: „Nieza długo drogi podeschną, byle Bóg dał pogodę. Kurcewicze też, dowiedziawszy się, że Bohun hołysz, pewnie mnie już nie zdradzą. Puszczę im Rozłogi i jeszcze swego dołożę, byle onej kochanej gwiazdki dostać...”

I przybrawszy się, z jaśniejszą twarzą, z pełną od szczęścia piersią, szedł do kaplicy, by Bogu na przód za dobrą nowinę pokornie podziękować.

¹⁾ Prawy brzeg Dniepru nazywano Ruskim, lewy Tatarskim.

ROZDZIAŁ VI.

Na całej Ukrainie i Zadnieprzu poczęły zrywać się jakieś szумы, jakoby zwiastuny burzy blizkiej; jakieś dziwne wieści przelatywały od siola do siola, od futoru do futoru, nakształt owych roślin, które jesienią wiatr po stepach żenie, a które lud perekotypolem zowie. W miastach szeptano sobie o jakiejś wielkiej wojnie, lubo nikt nie wiedział, kto i przeciwko komu ma wojować. Coś zapowiadało się wszelako. Twarze ludzkie stały się niespokojne. Rolnik niechętnie z pługiem na pole wychodził, chociaż wiosna przyszła wczesna, cicha, ciepła, a nad stepami dzwoniły oddawna skowronki. Wieczorami ludzie po siolach gromadzili się w kupy i stojąc na drodze, gwarzyli półgłosem o rzeczach strasznych. Ślepców, krążących z lirami i pieśnią, wypytywano o nowiny. Niektórym zdało się, że nocami widzą jakieś odbłaski na niebie i że księżyc czerwieńszy niż zwykle podnosi się z za borów. Wróżono klęski lub śmierć królewską—a wszystko to było tem dziwniejsze, że do ziem onych, przywykłych zdawna do niepokojów, walk, najazdów, strach niełatwy miał przystęp; musiały więc jakieś wyjątkowo złowrogie

wichry grać w powietrzu, skoro niepokój stał się powszechnym.

Tem ciężej, tem duszniej było, że nikt nie umiał niebezpieczeństwa wskazać. Wszelako między oznakami złej wróżby, dwie szczególnie zdawały się wskazywać, że istotnie coś zagraża. Oto naprzód, niesłychane mnóstwo dziadów lirników zjawiało się po wszystkich wsiach i miastach, a były między nimi jakieś postacie obce, nikomu nieznanne, o których szeptano sobie, że to są dziady fałszywe. Ci, włócząc się wszędzie, zapowiadali tajemniczo, iż dzień sądu i gniewu Bożego się zbliża. Powtórę, niżowcy poczęli pić na umor.

Druga oznaka była jeszcze niebezpieczniejsza. Sicz, w zbyt szczupłych granicach objęta, nie mogła wszystkich swych ludzi wyżywić, wyprawy nie zawsze się zdarzały, przeto stepy nie dawały chleba kozakom, mnóstwo więc niżowców rozpraszało się rocznie, w spokojnych czasach, po okolicach zamieszkanych. Pełno ich było na Ukrainie, ba! nawet na całej Rusi. Jedni zaciągali się do pocztów starościńskich, inni szynkowali wódkę po drogach, inni trudnili się po wsiach i miastach handlem i rzemiosłami. W każdej prawie wsi stała opodal od innych chata, w której mieszkał Zaporozec. Niektórzy mieli w takich chatach żony i gospodarstwo. A Zaporozec taki, jako człek zwykle kuty i bity, był poniekąd dobrodziejstwem wsi, w której mieszkał. Nie było nad nich lepszych kowali, kołodziejów, garbarzy, wskobojów, rybitwów i myśliwych. Kozak wszystko umiał, wszystko zrobił, dom postawił i siodło uszył. Powszechnie jednak nie byli to osadnicy spo-

kojni, bo żyli życiem tymczasowem. Kto chciał wyrok zbrojno wyegzekwować, na sąsiada najazd zrobić, lub się od spodziewanego obronić, potrzebował tylko krzyknąć, a wnet mołojcy zlatywali się, jak krucy na żer gotowi. Używała ich też szlachta, używali panowie, wiecznie spory z sobą wiodący, gdy jednak i takich wypraw brakło, to siedzieli cicho po wsiach, pracując do upadłego i w pocie czoła zdobywając chleb powszedni.

I trwało tak czasem rok, dwa, aż nagle przychodziła wieść o jakowejś walnej wyprawie, czy to jakiego atamana na Tatarów, czy na „Lachiw,“ czy wreszcie paniąt polskich na Wołoszczynę; — i wnet ci kołodzieje, kowale, garbarze, woskoboje porzucali spokojne zajęcie i przedewszystkiem poczynali pić na śmierć we wszystkich szynkach ukraińskich.

Przepiwszy wszystko, pili dalej na borg, „ne na to, szczo je, ale na to, szczo bude.“ Przyszłe łupy miały zapłacić hulatykę.

Zjawisko owo powtarzało się tak stale, że później doświadczeni ludzie ukraińscy zwykli mawiać: „Oho! trzęsą się szynki od niżowców — w Ukrainie coś się gotuje.“

I starostowie wzmacniali zaraz załogi w zamkach, pilnie dając na wszystko baczenie, panowie ściągali pocztę — szlachta wysyłała żony i dzieci do miast.

Owóz wiosny tej, kozacy poczęli pić, jak nigdy, trwonić na ślepo wszelkie zapracowane dobro, i to nie w jednym powiecie, nie w jednym województwie, ale na całej Rusi, jak długa i szeroka.

Coś się więc gotowało naprawdę, chociaż sami

niżowcy nie wiedzieli zgoła, co takiego. Zaczęto mówić o Chmielnickim, o jego na Sicz ucieczce, i o ogrodowych z Czerkas, Bohusławia, Korsunia i innych miast, zbiegłych za nim — ale powiadano też i co innego. Od lat całych krążyły już wieści o wielkiej wojnie z pogany, której król chciał, by dobrym mołojcom łupu przysporzyć, ale Lachy nie chcieli — a teraz te wszystkie wieści pomieszały się z sobą i zrodziły w głowach ludzkich niepokój i oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego.

Niepokój ów przedarł się i za mury łubniańskie. Na te wszystkie oznaki niepodobna było oczu zamykać, a zwłaszcza nie miał tego zwyczaju książę Jeremi. W jego państwie niepokój nie przeszedł wprawdzie we wrzenie — strach trzymał w ryzie wszystkich, ale po jakimś czasie z Ukrainy zaczęły dolać wieści, że tu i owdzie chłopci zaczynają dawać opór szlachcie, że mordują Żydów, że chcą się gwałtem zaciągać do rejestru na wojnę z pogany i że liczba zbiegów na Sicz coraz się powiększa.

Porozyłał więc książę posłańców: do pana Krakowskiego, do pana Kalinowskiego, do Łobody w Perejasławiu, — a sam ściągał stada ze stepów i wojsko z pałanek. Tymczasem przyszły wieści uspokajające. Pan hetman wielki donosił wszystko, co wiedział o Chmielnickim, nie uważał jednak, aby jaka zawierucha mogła z tej sprawy wyniknąć; pan hetman polny pisał, że „hultajstwo zwykle, jako roje, burzy się na wiosnę.“ Jeden stary chorąży Zaćwilichowski przesłał list zaklinający księcia, żeby niczego nie lekceważyć, bo wielka burza idzie od Dzikich Pól. O Chmielnickim donosił, że z Siczy do Krymu po-

gnał, by chana o pomoc prosić. „A jako mnie z Siczy przyjaciele donoszą — pisał — iż tam koszowy ze wszystkich ługów i rzeczek piesze i konne wojsko ściga, nie mówiąc nikomu dlaczego to czyni, mnie mam przeto, iż ta burza na nas się zwali, co jeżeli z pomocą tatarską się stanie, daj Boże, by zguby wszystkim ziemiom Ruskim nie przyniosło.“

Księżę ufał Zaćwilichowskiemu więcej, niż samym hetmanom, bo wiedział, iż nikt na całej Rusi nie zna tak kozaków i ich fortelów, postanowił więc jak najwięcej wojsk ściągnąć, a jednocześnie do gruntu prawdy dotrzeć.

Pewnego więc rana kazał przywołać do siebie pana Bychowca, porucznika chorągwi wołoskiej, i rzekł mu:

— Pojedziesz waść ode mnie w poselstwie na Sicz, do pana atamana koszowego, i oddasz mu ten list z moją hospodyńską pieczęcią. Ale żebyś wiedział, czego się trzymać, to ci powiem tak: list jest pozór, a zaś waga całego poselstwa w waszmościny rozumie spoczywa, abyś na wszystko patrzył, co się tam dzieje, ile wojska zwołali i czy jeszcze zwołują. To szczególnie polecam, byś sobie jakich ludzi skaptował i o Chmielnickim mi się wszystkiego dobrze wywiedział, gdzie jest i jeżeli prawda, że do Krymu pojechał Tatarów o pomoc prosić. Rozumiesz waść?

— Jakoby mi kto na dłoni wypisał.

— Pojedziesz na Czehryń, po drodze nie wytehniesz dłużej, niż noc jedną. Przybywszy, udasz się do chorążego Zaćwilichowskiego, by cię w listy do swoich przyjaciół w Siczy opatrzył, które sekretnie im oddasz. Oni wszystko ci opowiedzą. Z Czeh-

ryniasz ruszysz bajdakiem do Kudaku, pokłoniś się ode mnie panu Grodzickiemu i to pismo mu wręczysz. On cię przez porohy każe przeprowadzić i przewoźników potrzebnych dostarczy. W Siczy też nie baw; patrz, słuchaj i wracaj, jeśli żyw będziesz, bo to ekspedycja nie łatwa.

— Wasza książęca mość jest szafarzem krwi mojej. Ludzi siła mam wziąć?

— Weźmiesz czterdziestu pocztowych. Ruszysz dziś pod wieczór, a przed wieczorem przyjdiesz jeszcze po instrukcje. Ważną to misję waszmości powierzam.

Pan Bychowiec wyszedł uradowany; w przedpokoju spotkał Skrzetuskiego z kilku oficerami z artylerji.

— A co tam? — spytali go.

— Dziś ruszam w drogę.

— Dokąd, dokąd?

— Do Czehrynia; a stamtąd dalej.

— To chodź-że ze mną — rzekł Skrzetuski.

I zaprowadziwszy go do kwatery, nuż molestować, by mu tę funkcję odstąpił:

— Jakaś przyjaciół—rzecze—żądaj czego chcesz, konia tureckiego, dzianeta, dam, niczego nie będę żałował, bym jeno mógł jechać, bo się we mnie dusza w tamtą stronę rwie! Chcesz pieniędzy, pozwolę, byleś ustąpił. Sławy-ć to nie przyniesie, bo tu pierwej wojna, jeśli ma być, to się rozpocznie—a zginąć możesz. Wiem także, że ci Anusia miła, jako i innym—pojedziesz, to ci ją zbalamucą.

Ten ostatni argument lepiej od innych trafił do myśli pana Bychowca, ale jednak opierał się. Coby

książę powiedział, gdyby ustąpił? czyby mu nie miał za złe? Toć to jest fawor książęcy taka funkcyja.

Usłyszawszy to, Skrzetuski polecał do księcia i natychmiast kazał się przez paza meldować.

Po chwili paź powrócił z oznajmieniem, iż książę wejść pozwala.

Namiestnikowi biło serce jak młotem z obawy, że usłyszy krótkie: „nie!“ po którym nie zostawało nic innego, tylko wszystkiego poniechać.

— A co powiesz? — rzekł książę, ujrzawszy namiestnika.

Skrzetuski schylił mu się do nóg.

— Mości książę, przyszedłem błagać najpokorniej, by mnie ekspedycya na Sicz była powierzona. Bychowiec możeby ustąpił, bo mi jest przyjacielem, a mnie tak właśnie na niej, jak na samem życiu zależy — boi się tylko Bychowiec, czy wasza książęca mość krzyw za to nie będziesz.

— Na Boga! — rzekł książę — toż jabym nikogo innego jeno ciebie nie wysłał, ale rozumiałem, że niechętnie ruszysz, niedawno taką długą drogę odbywszy.

— Mości książę, choćbym też i codzień był wysyłany, zawsze libenter w tamtą stronę jeździć będę.

Książę popatrzał na niego przeciągle swemi czarnemi oczyma i po chwili spytał:

— Co ty tam masz?

Namiestnik stał zmieszany, jak winowajca, nie mogąc znieść badawczego spojrzenia.

— Już widzę, że muszę prawdę mówić — rzekł — gdyż przed rozumem waszej książęcej mości żadne

arcana ostać się nie mogą, jedno nie wiem, znajdę-li łaskę w uszach waszej książęcej mości.

I tu zaczął opowiadać, jak poznał córkę kniazia Wasyla, jak się w niej rozkochał i pragnąłby teraz ją odwiedzić, a za powrotem z Siczy do Łubniów ją sprowadzić, by przed zawieruchą kozacką i natarczywością Bohuna ją uchronić. Zmilkzał tylko o machinacyach starej kniahyni, gdyż w tem był słowem związany. Natomiast tak począł błagać księcia, iżby mu funkcję Bychowca powierzył, iż książę rzekł:

— Jaby ci i tak jechać pozwolił i ludzi dał, ale gdyś tak wszystko mądrze ułożył, by własny afekt z oną funkcją pogodzić, tedy muszę już to dla ciebie uczynić!

To rzekłszy, w ręce klasnął i kazał paziowi przywołać pana Bychowca.

Namiestnik ucałował z radością rękę księcia, ten zaś za głowę go ścisnął i spokojnym być rozkazał. Lubił on niezmiernie Skrzetuskiego, jako dzielnego żołnierza i oficera, na którego we wszystkim można się było spuścić. Prócz tego był między nimi ten związek, jaki wytwarza się między podwładnym, uwielbiającym z całej duszy zwierzchnika, a zwierzchnikiem, który to czuje dobrze. Około księcia kręciło się niemało dworaków, służących i schlebających dla własnej korzyści, ale orli umysł Jeremiego wiedział dobrze, co o kim trzymać. Wiedział, że Skrzetuski był człowiek jak łąza — cenił go więc i był mu wdzięczny za uczucie.

Z radością dowiedział się także, że jego ulubieniec pokochał córkę Wasyla Kurcewicza, starego

sługi Wiśniowieckich, którego pamięć była tem droższą księciu, im była żałośniejszą.

— Nie z niewdzięczności to przeciw kniazio-
wi — rzekł — nie dowiadywałem się o dziewczynę,
ale gdy opiekunowie nie zaglądali do Łubniów i żad-
nych skarg na nich nie odbierałem, sądziłem, iż są
pożciwi. Skoroś mi jednak teraz ją przypomniał,
będę o niej jak o rodzonej pamiętał.

Skrzetuski, słysząc to, nie mógł się nadziwić
dobroci tego pana, który zdawał się sobie samemu
robić wyrzuty, że wobec nawału spraw rozlicznych,
nie zajął się losami dziecka dawnego żołnierza i dwo-
rzanina.

Tymczasem nadszedł pan Bychowiec.

— Mosanie — rzekł mu książę — słowo się rzek-
ło: jeśli zechcesz, pojedziesz, aleć proszę, uczynić to
dla mnie i ustąpić funkcji Skrzetuskiemu. Ma on
swoje szczególne, słuszne racje, by jej pożądać, a ja
o innej pomyślę dla waści rekompensie.

— Mości książę — odparł Bychowiec — łaska to
wysoka waszej książęcej mości, że mogąc rozkazać,
na moją wolę to zdajesz, której łaski nie byłbym go-
dzien, nie przyjmując jej najwdzięczniejszem sercem.

— Podziękuj-że przyjacielowi — rzekł książę,
zwracając się do Skrzetuskiego — i idź gotować się
do drogi.

Skrzetuski istotnie dziękował gorąco Bychow-
cowi, a w kilka godzin potem był gotów. W Łub-
niach oddawna trudno już mu było wysiedzieć, a ta
ekspedycja dogadzała wszelkim jego życzeniom. Na-
przód miał zobaczyć Helenę, a potem — prawda, że
trzeba było się od niej na dłuższy czas oddalić, ale

właśnie taki czas był potrzebny, by drogi po niezmiernych deszczach stały się dla kół możliwe do przebycia. Prędzej kniahyni z Heleną nie mogły zjechać do Łubniów, musiałyby więc Skrzetuski albo w Łubniach czekać, albo w Rozłogach przesiadywać, co byłoby przeciw układowi z kniahynią — i co większa — obudziłoby podejrzenia Bohuna. Helena prawdziwie bezpieczną przeciw jego zamachom mogła być dopiero w Łubniach, gdy więc musiała koniecznie jeszcze dość długo w Rozłogach pozostawać, najlepiej wypadało Skrzetuskiemu odjechać, a za to z powrotem, już pod zasłoną siły wojskowej książęcej, ją zabrać. Tak obrachowawszy, kwapił się namiestnik z wyjazdem i ułatwiwszy wszystko, wziąwszy listy i instrukcye od księcia, a pieniądze na ekspedycyę od skarbnika, dobrze jeszcze przed nocą puścił się w drogę, mając z sobą Rzędziana i czterdziestu semenów z kozackiej książęcej chorągwi.

ROZDZIAŁ VII.

Było to już w drugiej połowie marca. Trawy puściły się bujno; perekotypola zakwitły, step zawrzał życiem. Rankiem namiestnik, jadąc na czele swych ludzi, jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem trawa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, klaskañ, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów: step brzącały, jak lira, na której gra ręka Boża. Nad głowami jeźdźców jastrzębie, tkwiące nieruchomie w błękicie, naksztalt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żórawiane; na ziemi gony zdziczałych tabunów: ot, leci stado koni stepowych, widać je, jak porą trawy piersią, idą jak burza i stają jak wryte, otaczając jeźdźców półkolem; grzywy ich rozwiane, chrapy rozdęte, oczy zdziwione! Rzekłbyś, chcą roztratować nieproszonych gości. Ale chwila jeszcze i pierzchają nagle, i nikną równie szybko jak przybiegły — jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą. Tętent ucichł, znowu słyhać tylko granie ptactwa. Niby wesoło, a jakiś smutek wśród tej radości, niby gwarno a pusto — o! a szeroko, a przestronno! Koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki,

tę pustoszą, te stepy pokochać i tęskną duszą krążyć nad niemi, na ich mogiłach spoczywać, głosu ich słuchać i odpowiadać.

Ranek był. Wielkie krople błyszczały na bylicach i burzanach, rzeźwe powiewy wiatru suszyły ziemię, na której po deszczach stały szerokie kałuże, jakoby jeziorka rozlane, w słońcu świecące. Poczet namiestnikowy posuwał się zwolna, bo trudno było pośpieszyć, gdy konie zapadały czasem po kolana w miękkiej ziemi. Ale namiestnik mało im dawał wytchnienia po wzgórkach mogiłnych, bo śpieszył zarazem witać i żegnać. Jakoż drugiego dnia o południu, przejechawszy szmat lasu, dojrzał już wiatraki w Rozłogach, rozrzucone po wzgórzach i pobliskich mogiłach. Serce mu biło, jak młotem. Nikt go się tam nie spodziewa, nikt nie wie, że przyjedzie; co też ona powie, gdy go ujrzy? O, oto już i chaty pidsusidków, poukrywane w młodych sadach wiśniowych — dalej wieś rozrzucona dworzyszczowych, a jeszcze dalej widać i zóraw studzienny na dworskim majdanie. Namiestnik wspiął konia i kopnął się cwałem, a za nim pocztowi; lecieli tak przez wieś z brzękiem i gwarem. Tu i owdzie chłop wypadł z chaty, popatrzał, przeżegnał się: „Czorty, nie czorty? Tatary, nie Tatary?“ Błoto tak pryska z pod kopyt, że i nie poznasz, kto leci. A oni tymczasem dolecieli do majdanu i stanęli przed bramą zawartą.

— Hej tam! kto żyw, otwieraj!

Gwar, stukanie i ujadania psów wywołały ludzi ze dworu. Przypadli tedy do bramy wystraszeni, myśląc, że chyba najazd.

— Kto jedzie?

— Otwieraj!

Ogniem i mieczem. T. I.

— Kniaziów niema w domu.

— Otwieraj-że, pogański synu! My od księcia z Łubniów.

Czeladź poznała wreszcie Skrzetuskiego.

— A, to wasza miłość! Zaraz, zaraz!

Otworzono bramę, a wtem i sama kniahyni wyszła przed sień, i przykrywszy oczy ręką, patrzała na przybyłych.

Skrzetuski zeskoczył z konia i zbliżywszy się do niej, rzekł:

— Jejmość nie poznajesz mnie?

— Ach, to waszmość, panie namiestniku! Rozumiałam, że napad tatarski. Kłaniam i proszę do komnat.

— Dziwisz się zapewne waćpani—rzekł Skrzetuski, gdy weszli już do środka—widząc mnie w Rozłogach, a przecież słowa nie złamał, gdyż to sam książę do Czechrynia i dalej mnie posyła. Kazał mi przytem w Rozłogach się zatrzymać i o wasze zdrowie zapytać.

— Wdzięcznam jego książęcej mości, jako łaskawemu panu i dobrodziejowi. Prędkoż nas myśli z Rozłogów rugować?

— Nie myśli on o tem wcale, gdyż nie wie, że trzeba was rugować, a jam co powiedział, to będzie. Zostaniecie w Rozłogach; mam ja swego chleba dosyć.

Usłyszawszy to, kniahyni zaraz rozpogodziła się i rzekła:

— Siadaj-że waszmość i bądź sobie rad, jakom ja ci rada.

— A kniaziówna zdrowa? gdzie jest?

— Wiem-ci ja, żeś nie do mnie przyjechał, mój

kawalerze. Zdrowa ona, zdrowa; jeszcze dziewczka od tych amorów potłuściła. Ale wraz ci jej zawołam, a i sama się trochę ogarnę, bo mi wstyd tak gości przyjmować.

Jakoż kniahyni miała na sobie suknię ze spłowiałego cycu, kozuch na wierzchu i jałowicze buty na nogach.

W tej chwili jednak Helena, choć i niewołana, wbiegła do komnaty, bo się od Tatara Czechły dowiedziała, kto przyjechał. Wbiegłszy zdyszana i krasna jak wiśnia, tchu prawie złapać nie mogła i tylko oczy śmiały się jej szczęściem i weselem. Skrzetuski skoczył jej ręce całować, a gdy kniahyni dyskretnie wyszła, całował i usta, bo był człowiek porywczy. Ona też nie broniła się bardzo, czując, że niemoc opanowywa ją ze zbytku szczęścia i radości.

— A ja się waćpana nie spodziewałam — szepotała, mrużąc swe śliczne oczy — ale już tak nie całuj, bo nie przystoi.

— Jak nie mam całować — odpowiedział rycerz — gdy mi miód nie tak słodki, jako usta twoje? Myślałem też, że już mi uschnąć przyjdzie bez ciebie, aż mnie sam książę tu wyprowadził.

— To książę wie?

— Powiedziałem mu wszystko. A on jeszcze rad był, na kniazia Wasyla wspomniawszy. Ej, chybaś ty mi co zadała, dziewczyno, że już i świata za tobą nie widzę!

— Łaska to Boża takie zaślepienie twoje.

— A pamiętasz jeno ten omen, który raróg uczynił, gdy nam ręce ku sobie ciągnął? Znać było już przeznaczenie.

— Pamiętam...

— Jakem też od tęskności chodził w Łubniach na Sołonicę, tom cię tak prawie jako żywą widywał, a com wyciągnął ręce, toś nikła. Ale mi więcej nie umkniesz, gdyż tak myślę, że nic nam już nie stanie na wstręcie.

— Jeśli co stanie, to nie wola moja.

— Powiedz-że mi jeszcze raz, że mnie miłujesz!

Helena spuściła oczy, ale odrzekła z powagą i wyraźnie:

— Jako nikogo w świecie.

— Żeby mnie kto złotem i dostojenstwem obsypał, wolałbym takie słowa twoje, bo czuję, że prawdę mówisz, choć sam nie wiem, czem na takowe dobrodziejstwo od ciebie zarobić mogłem.

— Boś miał litość dla mnie, boś mnie przygar-
nął i ujmował się za mną, i takimi słowy do mnie mówił, jakich wprzód nigdy nie słyszałam.

Helena zamilkła ze wzruszenia, a porucznik po-
czął nanowo całować ręce.

— Panią mi będziesz, nie żoną — rzekł.

I przez chwilę milczeli, tylko on wzroku z niej nie spuszczał, chcąc sobie długie niewidzenie nagro-
dzić. Wydała mu się jeszcze piękniejszą, niż dawniej. Jakoż w tej ciemnawej świetlicy, w grze promieni słonecznych, rozłamujących się w tęczę na szklanych gomółkach okien, wyglądała jak owe obrazy świę-
tych dziewic w mrocznych kościelnych kaplicach. A jednocześnie biło od niej takie ciepło i życie, tyle rozkosznych niewieścich ponęt i uroków malowało się w twarzy i całej postaci, że można było głowę stracić, rozkochać się na śmierć, a kochać na wieczność.

— Od twojej gładkości chyba mi oslepnąć przyjdzie! — rzekł namiestnik.

Białe ząbki kniaziówny wesoło błysnęły w uśmiechu.

— Pewnie panna Anna Borzobohata ode mnie stokroć gładsza!

— Tak jej do ciebie, jako właśnie cynowej misie do miesiąca.

— A mnie imć Rzędzian co innego powiadał.

— Imć Rzędzian wart w gębę. Co mnie tam po onej pannie! Niech inne pszczoły z tego kwiatu miód biorą, a jest ich tam niemało.

Dalszą rozmowę przerwało wejście starego Czechły, który przyszedł witac namiestnika. Uważał go on już za swego przysłego pana, więc kłaniał mu się od proga, oddając mu wschodnim obyczajem salamy.

— No, stary Czechły, wezmę i ciebie z panienką. Już też jej służ do śmierci.

— Niedługo jej czekać, wasza miłość, ale póki życia, póty służby. Bóg jeden!

— Za jaki miesiąc, gdy z Siczy wrócę, ruszymy do Łubniów — rzekł namiestnik, zwracając się do Heleny — a tam ksiądz Muchowiecki ze stulą czeka.

Helena przestraszyła się:

— To ty na Sicz jedziesz?

— Książę posyła z listami. Ale się nie bój. Osoba posła i u pogan święta. Ciebie zaś z kniahynią wyprawilibym choć zaraz do Łubniów, jeno drogi straszne. Sam widziałem — i koniem niebardzo przejedzie.

— A długo w Rozłogach zostaniesz?

— Dziś jeszcze na wieczór do Czehrynia ruszam. Prędej pożegnam, prędej powitam. Zresztą służba książęca: nie mój czas, nie moja wola.

— Proszę, na posiłek, jeśli amatorów i gruchania dosyć — rzekła, wchodząc, kniahyni. — Ho! ho! policzki ma dziewczyna czerwone, snadź nie próżnowałeś, panie kawalerze! No, ale się wam nie dziwię...

To rzekłszy, poklepała łaskawie Helenę po ramieniu, i poszli na obiad. Kniahyni była w doskonałym humorze. Bohuna odżałowała już dawno, a teraz wszystko składało się tak, dzięki hojności namiestnika, że Rozłogi „cum boris, lasis, graniciebus et coloniis“ mogła już uważać za swoje i swoich synów.

A były to przecie dobra niemałe.

Namiestnik wypytywał o kniaziów, czy prędko wrócą.

— Lada dzień się już ich spodziewam. Gniewno im było z początku na waćpana, ale potem, zważywszy twoje postęпки, bardzo cię, jako przyszłego krewniaka, polubili, bo prawią, że takiej fantazyi kawalera trudno już w dzisiejszych miękkich czasach znaleźć.

Po skończonym obiedzie namiestnik z Heleną wyszli do sadu wiśniowego, który tuż do fosy za majdanem przytykał. Sad był, jako śniegiem, wczesnem kwieciem obsypany, za sadem czerniała dąbrowa, w której kukała kukułka.

— Na szczęśliwą to nam wróżbę — rzekł pan Skrzetuski — ale trzeba się popytać.

I zwróciwszy się ku dąbrowie, pytał:

— Zazulu niebożę, a ile lat będziemy żyli w sta-
dle z tą oto panną?

Kukułka poczęła kukać i kukać. Naliczyli pięć-
dziesiąt i więcej.

— Dajże tak Boże!

— Zazule zawsze prawdę mówią — zauważyła
Helena.

— A kiedy tak, to jeszcze będę pytał! — rzekł
rozochocony namiestnik.

I pytał:

— Zazulu niebożę, a siła mieć będziem chłop-
czysków?

Kukułka, jakby zamówiona, zaraz poczęła od-
powiadać i wykukała, ni mniej ni więcej, jeno dwa-
naście.

Pan Skrzetuski nieposiadał się z radości.

— Ot, starostą zostanę, jak mnie Bóg miły!
Słyszałaś, waćpanna? he?

— Zgoła nie słyszałam — odpowiedziała czer-
wona jak wiśnia Helena — nawet nie wiem o coś pytał.

— To może powtórzyć?

— I tego nie trzeba.

Na takich rozmowach i zabawach zeszedł im
dzień jak sen. Wieczorem nadeszła chwila czułego,
długiego pożegnania — i namiestnik ruszył ku Czech-
ryniowi.

ROZDZIAŁ VIII.

W Czehryniu zastał pan Skrzetuski starego Zaćwilichowskiego w wielkiem wzruszeniu i gorączce; wyglądał on niecierpliwie książęcego posłańca, bo z Siczy coraz groźniejsze dochodziły wieści. Nie ulegało już wątpliwości, że Chmielnicki gotował się zbrojną ręką swoich krzywd i dawnych kozackich przywilejów dochodzić. Zaćwilichowski miał o nim wiadomości, iż w Krymie bawił u chana, żebrząc pomocy tatarskiej, z którą już lada dzień był w Siczy spodziewany. Gotowała się tedy walna z Niżu do Rzplitej wyprawa, która przy pomocy tatarskiej mogła być zgubną. Burza rysowała się coraz bliżej, wyraźniej, straszniej. Już nie głuche, nieokreślone trwogi przebiegały Ukrainę, ale poprostu pewność rzezi i wojny. Hetman wielki, który z początku niewiele sobie z całej sprawy robił, przysunął się teraz z wojskiem do Czerkas; wysunięte placówki wojsk koronnych dochodziły aż do Czehrynia, a to głównie, by zbiegowisko powstrzymać, kozacy bowiem grodowi i czern masami poczęli na Sicz uciekać. Szlachta kupiła się po miastach. Mówiono, że pospolite ruszenie ma być w południowych województwach ogłoszo-

ne. Niektórzy też i nie czekając na wici, odsyłali żony i dzieci do zamków, a sami ciągnęli pod Czerkasy. Nieszczęsna Ukraina rozdzieliła się na dwie połowy: jedna śpieszyła na Sicz, druga do obozu koronnego; jedna opowiadała się przy istniejącym porządku rzeczy, druga przy dzikiej swobodzie; jedna pragnęła zachować to, co było owocem wiekowej pracy, druga pragnęła jej owo dobro odjąć. Obie wkrótce miały bratnie ręce we własnych wnętrznościach ubroczyć. Straszliwy zatarg, nim wyszukał sobie hasła religijnych, które dla Nizu obce były zupełnie, zrywał się jako wojna socyalna.

Ale jakkolwiek czarne chmury skłębiły się na widnokręgu ukraińskim, jakkolwiek padała od nich noc złowroga, jakkolwiek we wnętrzu ich kłębiło się i huczało, a grzmoty przewalały się z końca w koniec, ludzie nie zdawali sobie jeszcze sprawy, do jakiego stopnia burza się rozpęta. Może nie zdawał sobie z tego sprawy i sam Chmielnicki, który tymczasem słał listy do pana Krakowskiego, do komisarza kozackiego i do chorążego koronnego, pełne skarg i biadań, a zarazem zaklęć wierności dla Władysława IV i Rzplitej. Chciał-li zyskać na czasie, czy też przypuszczał, że jaki układ może jeszcze koniec zatargowi położyć? różni różnie sądzili — dwóch tylko ludzi nie łudziło się ani przez jedną godzinę. Ludźmi tymi byli: Zaćwilichowski i stary Barabasza.

Stary pułkownik odebrał również list od Chmielnickiego. List był szyderczy, groźny i pełen obelg. „Zacznijmy z całym wojskiem zaporoskiem — pisał Chmielnicki — gorąco prosić i apelować, by stało się zadość onym przywilejom, które wasza miłość u sie-

bie taiłeś. A żeś je taił dla własnych korzyści i pożytków, przeto całe wojsko zaporoskie czyni cię godnym pułkownikować owcom, albo świniom, nie ludziom. Ja zaś proszę o przebaczenie waszej miłości, jeśli w czem mu nie wygodziłem w ubogim domu moim w Czehryniu, na prazniku św. Mikołaja — i żem odjechał na Zaporozie bez wiadomości i pozwolenia.“

— Patrzcie waszmościowie — mówił do Zaćwilichowskiego i Skrzetuskiego Barabasza — jak to naigrawa się ze mnie, a przecież jam to go wojny uczył i prawie ojcem mu byłem.

— Zapowiada tedy, że z całym wojskiem zaporoskiem upominać się o przywileje będzie — rzekł Zaćwilichowski. — Wojna to jest poprostu domowa, od wszystkich wojen straszniejsza.

Na to Skrzetuski:

— Widzę, że mi się trzeba śpieszyć; dajcie mi waszmościowie listy do tych, z którymi w komitywę wejść mi przyjdzie.

— Do atamana koszowego masz waść?

— Mam od samego księcia.

— Dam ci tedy do jednego kurzeniowego, a imć Barabasz ma tam też krewniaka Barabasz; od nich dowiesz się wszystkiego. Ale kto wie, czy to już nie za późno na takową ekspedycję. Chce książę wiedzieć, co tam naprawdę słyhać? — krótka odpowiedź: źle słyhać! A chce wiedzieć, czego się trzymać? — krótka rada: zebrać jak najwięcej wojska i z hetmanem się połączyć.

— To pchnijcie do księcia gońca z odpowiedzią i radą — rzekł pan Skrzetuski. — Ja muszę jechać, bom tam postan i decyzyi książęcej zmieniać nie mogę.

— A czy wiesz waść, że to okrutnie niebezpieczna wyprawa? — rzekł Zaćwilichowski. — Tu już lud tak wzburzony, że osiedzieć się trudno. Gdyby nie bliskość koronnego wojska, czerń rzuciłaby się na nas. A cóż dopiero tam! Leziesz jakoby smokowi w gardło.

— Mości chorąży! Jonasz był już w brzuchu wielorybim, nie w gardle, a za pomocą Bożą wyłazł zdrowo.

— Jedź tedy. Chwałę twoją rezolucję. Do Kudaku możesz waść dojechać bezpiecznie, tam się rozpatrzysz, co ci dalej czynić przystoi. Grodzicki stary żołnierz, on najlepsze da ci instrukcye. A do księcia ja sam pewnie ruszę; jeśli się mam bić na swoje stare lata, to wolę pod nim, niż pod kim innym. Tymczasem bajdak albo dombazę i przewoźników dla waści przygotowuję, którzy cię do Kudaku zawiozą.

Skrzetuski wyszedł i udał się prosto do swojej kwatery na rynek, do domu księcia, by ostatnie poczynić przygotowania. Mimo niebezpieczeństw tej podróży, o których mu prawił Zaćwilichowski, namiestnik nie bez pewnego ukontentowania myślał o niej. Miał zobaczyć Dniepr w całej niemal długości, aż do Niżu, i porohy, a była to dla ówczesnego rycerstwa ziemia jakby zaczarowana, tajemnicza, do której ciągnął wszelki duch przygód chciwy. Nie jeden całe życie na Ukrainie strawił, a nie mógł się pochwalić, że Sicz widział — chyba gdyby chciał zapisać się do bractwa, a do tego mniej już między szlachtą było ochotników. Czasy Samka Zborowskiego przeszły i nie miały wrócić więcej. Rozbrat między Siczą a Rzplitą, który powstał za czasów Nale-

wajki i Pawluka, nietylko nie ustawał, ale zwiększał się coraz bardziej, i napływ na Sicz herbowego ludu, nietylko polskiego, ale i ruskiego, nie różniącego się od niżowców ni mową ni wiarą, znacznie był mniejszy. Tacy Bułhowie - Kurcewicze niewiele znajdowali naśladowców; w ogóle na Niż, do bractwa, gnało teraz szlachtę chyba nieszczęście, banicya, słowem winy do odpokutowania niepodobne.

To też jakaś tajemnica nieprzenikniona, jako mgły dniewrowe, otoczyła drapieżną, niżową rzeczpospolitą. Opowiadano o niej cuda, które pan Skrzetuski własnymi oczyma ciekaw był oglądać.

Nie spodziewał się też, co prawda, stamtąd nie wrócić. Co poseł, to poseł, zwłaszcza od księcia Jeremiego.

Tak rozmyślając, wyglądał przez okno ze swej kwatery na rynek. Tymczasem upłynęła jedna godzina i druga; gdy nagle Skrzetuskiemu wydało się, że spostrzega dwie jakieś znane postacie, zmierzające ku Dzwonieckiemu Kątowi, gdzie był sklep Wołocha, Dopuły.

Przypatrzył się pilniej: był to pan Zagłoba z Bohunem.

Szli, trzymając się pod ręce, i wkrótce znikli w ciemnych drzwiach, nad którymi sterczała wiecha, oznaczająca szynk i winiarnię.

Namiestnika zdziwiła i bytność Bohuna w Czehrynii i przyjaźń jego z panem Zagłobą.

— Rzędzian! sam tu! — zawołał na pacholka. Pacholek ukazał się we drzwiach przyległej izby.

— Słuchaj-no, Rzędzian, pójdziesz do winiarni, ot tam pod wiechę; znajdziesz tam grubego szlach-

cica z dziurą w czele i powiesz mu, że ktoś, co ma pilną do niego sprawę, chce go widzieć. A jeśliby pytał kto, nie mów.

Rzędzian skoczył i po niejakim czasie namiestnik ujrzał go wracającego w towarzystwie pana Zagłoby.

— Witaj waszmość — rzekł pan Skrzetuski, gdy szlachcic ukazał się we drzwiach izby — czy mnie sobie przypominasz?

— Czy sobie przypominam? Niechże mnie Tatarzy na łój przetopią i świece ze mnie do meczetów porobią, jesłim zapomniał. Waść to kilka miesięcy temu otworzyłeś drzwi u Dopuła Czaplińskim, co mnie szczególnie do smaku przypadło, gdyż takim samym sposobem uwolniłem się raz z więzienia w Stambule. A co porabia pan Powsinoga herbu Zerwipludry, razem ze swoją innocencyą i mieczem? Czy zawsze mu wróble na głowie siadają, biorąc go za uschłe drzewo?

— Pan Podbipięta zdrów i kazał się kłaniać waszmości.

— Wielce to jest bogaty szlachcic, ale srodze głupi. Jeśli zetnie takie trzy głowy, jak jego własna, to mu to uczyni dopiero półtorej, bo zetnie trzech półgłówków. Tfu! jakie gorąco, choć to dopiero marzec. Język w gardle zasycha.

— Mam ja trojniak bardzo przedni, może waść kusztyczek pozwoli?

— Kiep odmawia, gdy nie kiep prosi. Właśnie mi cyrulik miód pić zalecił, żeby mi melankolię od głowy odciągnęło. Ciężkie-bo to czasy na szlachtę się zbliżają: *dies irae et calamitatis*. Czap-

liński zdechł ze strachu, do Dopuła nie chodzi, bo tam starszyczna kozacka pije. Ja jeden stawiam mężnie czoło niebezpieczeństwu i dotrzymuję onym pułkownikom kompanii, choć ich pułkownictwo dziegiem śmierdził Dobry miód! istotnie bardzo przedni! Skąd go waść masz?

— Z Łubniów. To dużo starszyczny tu jest?

— Kogo tu niema? Fedor Jakubowicz jest, stary Filon Dziedziała jest, Daniel Neczaj jest, a z nimi ich oczko w głowie, Bohun, który stał mi się przyjacielem od czasu, jakem go przepił i obiecałem go adoptować. Wszyscy oni śmierdzą teraz w Czehryniu i patrzą, w którą stronę się obrócić, bo nie śmieją jeszcze otwarcie przy Chmielnickim się opowiedzieć. Ale jeśli się nie opowiedzą, to będzie moja zasługa.

— A to jakim sposobem?

— Bo pijąc z nimi, dla Rzeczypospolitej ich kaptuję i do wierności namawiam. Jeśli król nie da mi za to starostwa, to wierzaj waćpan, niema justycyi w tej Rzeczypospolitej, ani rekompensy dla zasług, i lepiej pono kury sadzać, niż głowę pro publico bono narażać.

— Lepiejbyś waćpan narażał bijąc się z nimi, ale widzi mi się, że pieniądze tylko próżno wyrzucasz na traktamenty, bo tą drogą ich nie skaptujesz.

— Ja pieniądze wyrzucam? Za kogo mnie waszmość masz? To niedość, że pospolituję z chamami, żebym jeszcze za nich miał płacić? Za fawor to uważam, że im pozwalam płacić za siebie!

— A ów-że Bohun, co tu porabia?

— On? Nadstawia ucha, co od Siczy słychać,

jak i inni. Poto tu przybył. To kochanek wszystkich kozaków. Wdzięczną się oni do niego naksztalt małpów, bo to jest pewna, że Perejasławski pułk za nim, nie za Łobodą pójdzie. A kto wie także, za kim rejestrowi Krzczowskiego pociągną! Brat Bohun niżowcom, jak trzeba iść na Turka lub Tatara, ale teraz bardzo kalkuluje, bo mi po pijanemu wyznał, iż się w szlachciance kocha i chce się z nią żenić, przeto nie wypada mu w wigilię ślubu z chłopcy się bratać. Toć on chce, bym go adoptował i do herbu przypuścił... Bardzo przedni ten waszmościów trojniak!

— Wypij-że waść jeszcze.

— Wypiję, wypiję. Nie pod wiechami to taki trojniak przedają.

— Nie pytałeś się też wasze, jak się nazywa owa szlachcianka, z którą Bohun chce się żenić?

— Mospanie, a co mnie obchodzi jej nazwisko? Wiem tylko, że jak Bohunowi rogi przyprawię, to się będzie nazywała pani jeleniowa.

Namiestnik uczuł nagle wielką ochotę trzepnąć w ucho pana Zagłobę, ten zaś, nie spostrzegłszy się na niczem, mówił dalej:

— Za młodych lat był ze mnie gładysz nielada. Żeby tylko waści opowiedział, za co palmę w Galacie otrzymałem! Widzisz tę dziurę na mojem czele? Dość, gdy ci powiem, że mi ją rzezańcy w seraju tamecznego baszy wybili.

— A mówiłeś, że kula rozbójnicka?

— Mówiłem? Tom dobrze mówił! każdy Turczyn rozbójnik — tak mnie Panie Boże dopomóż!

Dalszą rozmowę przerwało wejście Zaćwilichowskiego.

— No, mości namiestniku — rzekł stary chorąży — bajdaki gotowe, przewodników masz ludzi pewnych: ruszaj-że w imię Boże, choćby i zaraz. A oto listy.

— To każę ludziom zaraz ruszać na brzeg.

— A dokąd waść się wybierasz — spytał pan Zagłoba.

— Do Kudaku.

— Gorąco tam ci będzie.

Ale namiestnik nie słyszał już przepowiedni, bo wyszedł z izby na podwórzec, gdzie przy koniach stali semenowie, prawie już gotowi do podróży.

— Na koń i na brzeg! — zakomenderował pan Skrzetuski. — Konie wprowadzić na statki i czekać na mnie!

Tymczasem w izbie stary chorąży rzekł do Zagłoby:

— Słyszałem, że podobno waść teraz pułkownikom kozackim dworujesz i z nimi pijesz.

— Pro publico bono, mości chorąży.

— Obrotny masz waść dowcip i podobno od wstydu większy. Chcesz sobie kozaków in poculis skonwinkować, by przyjaciołmi ci byli w razie zwycięstwa.

— Choćbym też, będąc męczennikiem tureckim, nie chciał zostać i kozackim, nie byłoby nic dziwnego, bo dwa grzyby mogą najlepszy barszcz popsować. A co do wstydu, nikogo nie zapraszam, by go pił ze mną — sam go wypiję, i da Bóg, że mi nie będzie gorzej od tego miodu smakował. Zasługa, jako olej, musi na wierzch wypłynąć.

W tej chwili wrócił Skrzetuski.

— Ludzie już ruszają — rzekł.

Zaćwilichowski nalał miarkę:

— Za szczęśliwą podróż!

— I zdrowy powrót! — dodał pan Zagłoba.

— Będzie się wam dobrze jechało, bo woda ogromna.

— Siadajcie waszmościowie, wypijem resztę. Niewielki to antałek.

Siedli i pili.

— Ciekawy kraj waść zobaczysz — mówił Zaćwilichowski. — A kłaniaj się panu Grodzickiemu w Kudak! Ej, żołnierz to, żołnierz! Na końcu świata siedzi, daleko od hetmańskich oczu, a porządek u niego taki, że daj Boże w całej Rzeczypospolitej podobny. Znam ja dobrze Kudak i porohy. Za dawnych lat częściej się tam jeździło, i aż duszy smutno, gdy się pomyśli, że to przeszło, minęło, a teraz...

Tu chorąży wsparł mleczną głowę na rękę i zadumał się głęboko. Nastąpiła chwila ciszy; słychać było tylko tupot koński w bramie: to ostatek ludzi pana Skrzetuskiego wyjeżdżał na brzeg ku bajdakom.

— Mój Boże — mówił, ocknąwszy się z zadumy, Zaćwilichowski — a jednak dawniej, choć i wśród rozterków, lepsze bywały czasy. Ot pamiętam jak dziś, pod Chocimem, dwadzieścia siedem lat temu! Gdy husarya szła pod Lubomirskim do ataku na janczarów, to mołojcy w swoim okopie rzucali czapki w górę i krzyczeli, aż ziemia drżała, do Sahajdacznego: „Puskaj, brat’ku, z Lachami umiratyl“ A dziś co? Dziś Niż, który winien być przedmurzem chrześcijaństwa, puszcza Tatarów w granice Rzeczypospo-

litej, by się na nich rzucić dopiero wtedy, gdy z łupem będą wracali. Dziś gorzej: bo oto Chmielnicki łączy się wprost z Tatary, z którymi chrześcijan będzie do kompanii mordował...

— Wypijmy na ten smutek! — przerwał Zagłoba. — Co to za trojniak!

— Dajże Boże jak najprędzej mogiłę, by na wojnę domową nie patrzeć — mówił dalej stary chorąży. — Wspólne winy mają się we krwi obmywać, aleć nie będzie to krew odkupienia, boć i tu brat brata będzie mordował. Kto na Niżu? Rusini, a kto w wojsku księcia Jaremy? Kto w pocztach pańskich? Rusini. A małoż ich w obozie koronnym? A ja sam kto taki? Hej, nieszczęsna Ukraino! krymscy poganie włożą ci łańcuch na szyję i na galerach tureckich wiosłować będziesz!

— Nie biadajcież tak, mości chorążyl — rzecze pan Skrzetuski — bo już chyba służy z oczu nam pójdą. Może też jeszcze pogodne słońce nam zaświeci!

Ale słońce zachodziło właśnie, a ostatnie jego promienie padały czerwonym blaskiem na białe włosy chorążego.

W mieście dzwoniono na „Anioł Pański“ i na pochwalnię.

Wyszli. Pan Skrzetuski poszedł do kościoła, pan Zaćwilichowski do cerkwi, a pan Zagłoba do Dopyły w Dzwoniecki Kąt.

Ciemno już było, gdy się znowu zeszli nad brzegiem Taśminowej przystani. Ludzie pana Skrzetuskiego siedzieli już w bajdakach. Przewoźnicy wnosili jeszcze ładunki. Zimny wiatr ciągnął od pobliskiego ujścia do Dniepru, i noc obiecywała być niezbyt po-

godna. Przy świetle ognia, palącego się nad brzegiem, woda rzeki połyskiwała krwawo i zdawała się z niezmierną chyżością uciekać gdzieś w nieznaną ciemność.

— No, szczęśliwej drogi! — mówił chorąży, ściskając serdecznie dłoń młodzieńca. — A pilnuj się waś!

— Nie zaniecham niczego. Bóg da, że niezadługo się zobaczymy.

— Chyba w Łubniach, albo w obozie książęcym.

— To waszmość już koniecznie do księcia?

Zaćwilichowski podniósł ramiona w górę.

— A co mnie? kiedy wojna, to wojna!

— Zostawajże waszmość w dobrem zdrowiu, mości chorąży!

— Niechże cię Bóg strzeże!

— *Vive va le que!* — wołał pan Zagłoba. — A jeśli woda aż do Stambułu waści zaniesie, to kłaniaj się sułtanowi. Albo też: jechał go sę! Bardzo to zacny był trojniak! Brr! jak tu zimno!

— Do widziska!

— Do obaczyska!

— Niech Bóg prowadził

— Zaskrzypiały wiosła i plusnęły o wodę, bajdaki popłynęły. Ogień palący się na brzegu począł oddalać się szybko. Przez długi czas Skrzetuski widział jeszcze sędziwą postać chorążego, oświeconą płomieniem stosu, i jakiś smutek ścisnął mu nagle serce. Niesie go ta woda, niesie, ale oddala od serc życzliwych i od ukochanej, od krain znanych; niesie go nieubłaganie, jak przeznaczenie, ale w dzikie strony, w ciemność...

Wypłynęli z ujścia Taśminowego na Dniepr.

Wiatr świstał, wiosła wydawały plusk jedno-
stajny a smutny. Przewoźnicy poczęli śpiewać:

„Oj to te pili, pilili,

Ne tumany ustawili.“

Skrzetuski obwinął się w burkę i położył na
posłaniu, które umościli dla niego żołnierze. Począł
myśleć o Helenie, o tem, że ona dotąd nie w Łub-
niach, że Bohun został, a on odjeżdża. Obawa, złe
przeczucia, troski obsiadły go, jak kruki. Począł mo-
cować się z niemi, aż się znużył, myśli mu się mą-
ciły, zmieszały jakoś dziwnie z poświstem wiatru,
z pluskiem wiosel, z pieśniami rybaków — i usnął.

ROZDZIAŁ IX.

Nazajutrz zbudził się świeży, zdrow i z weselszą myślą. Pogoda była cudna. Szeroko rozlane wody marszczyły się w drobne zmarszczki od lekkiego i ciepłego powiewu.

Brzegi były w tumanie i zlewały się z płaszczyną wód w jedną nieprzejrzaną równinę. Rzędzian, zbudziwszy się i przetańczył oczy, aż się przestraszył. Spojrzał zdziwionemi oczyma dokoła, a nie widząc nigdzie brzegu, rzekł:

— O dla Boga! mój jegomość, to my już chyba na morzu jesteśmy...

— Rzeka to tak potężna, nie morze — odpowiedział Skrzetuski — a brzegi zobaczysz, gdy mgła opadnie.

— Myślę, że niezadługo już nam i na Turczyzną wędrować przyjdzie.

— Powędrujemy, jeśli nam każą; widzisz zresztą, że nie sami płyniemy.

Jakoż w promieniu oka widać było kilkanaście bajdaków, dombaz czyli tumbasów—i wązkich, czarnych czółen kozackich, obszytych sitowiem, a zwanych pospolicie czajkami. Jedne z tych statków płynęły z wodą, unoszone bystrym prądem, inne piły się

pracowicie w górę rzeki, wspomagane wiosłami i żaglem. Wiozły one rybę, воск, sól i suszone wiśnie do miast brzegowych, lub też wracały z okolic zamieszkanych, obciążone zapasami żywności dla Kudaku i towarem, który chętnie znajdował pokup na Kramnym Bazarze w Siczy. Brzegi dniewrowe były już od ujścia Pszoły zupełną pustynią, na której gdzieś tylko białe kozackie zimowniki, ale rzeka stanowiła gościniec, łączący Sicz z resztą świata, więc też i ruch bywał na niej dość znaczny, zwłaszcza, gdy przybór wody ułatwiał żeglugę i gdy nawet porohy, prócz Nienasytca, stawały się dla statków idących w dół rzeki możliwe do przebycia.

Namiestnik przypatrywał się z ciekawością temu życiu rzeczniczemu, a tymczasem bajdaki jego mknęły szybko ku Kudakowi. Mgła opadła, brzegi zarysowały się wyraźnie. Nad głowami płynących ulatywały miliony ptactwa wodnego, pelikanów, dzikich gęsi, żorawi, kaczek i czajek, kulonów i rybitew; w oczekiwaniach przybrzeżnych słychać było taki gwar, takie kotłowanie się wody i szum skrzydeł, że rzekłbyś, iż odbywają się tam sejmy lub wojny ptasie.

Brzegi za Krzemieńczukiem stały się niższe i otwarte.

— Patrz-no jegomość! — wykrzyknął nagle Rzędzian — dyć to niby słońce piecze, a śnieg leży na polach.

Skrzetuski spojrział: istotnie, jak okiem sięgnął, jakiś biały pokład błyszczał w promieniach słońca po obu stronach rzeki.

— Hej, starszy! a co to się tam bieli?—spytał rotmana.

— Wiszni, panel — odpowiedział starszy.

Były to istotnie lasy wiśniowe, złożone z karłowatych drzew, któremi oba brzegi szeroko były za-
ujściem Pszoły porosłe. Owoc ich słodki i wielki
dostarczał jesienią pożywienia ptactwu, zwierzętom
i ludziom zbłąkanym w pustyni, a zarazem stanowił
przedmiot handlu, który wożono bajdakami aż do Kl-
jowa i dalej. Teraz lasy osypane były kwieciem. Gdy
zbliżyli się do brzegu, by ludziom wiosłującym dać
wypoczynek, namiestnik z Rzędzianem wysiedli, chcąc
się bliżej owym gajom przypatrzeć. Ogarnął ich
tak upajający zapach, iż zaledwie mogli oddychać.
Mnóstwo płatków leżało już na ziemi. Miejscami
drzewka stanowiły gęszcz nieprzenikniony. Między
wiśniami rosły także obficie dzikie karłowate mig-
dały, okryte kwieciem różowem, wydającym jeszcze
silniejszy zapach. Miliony trzmiełow, pszczoł i barw-
nych motylów unosiły się nad owym pstrzem morzem
kwiatów, którego końca nie można było dojrzeć.

— Cuda to, panie, cuda — mówił Rzędzian. —
I czemu tu ludzie nie mieszkają? Zwierza tu także
widzę dostatek.

Jakoż między krzakami wiśniowymi zmykały za-
jące szare, białe i niezliczone stada wielkich, błękitno-
nogiech przepiórek, których kilka Rzędzian z guldyn-
ki ustrzelił, ale ku wielkiemu umartwieniu dowiedział
się potem od *starszego*, że mięso ich jest trucizną.

Na miękkiej ziemi widać też było ślady jeleni
i suhaków, a zdala dochodziły odgłosy podobne do
rechtania dzikich świń.

Podróżnicy, napatrzywszy się i odpocząwszy,
ruszyli dalej. Brzegi to wznosiły się, to stawały się

płaskie, odkrywając widok na śliczne dąbrowy, lasy, uroczyska, mogiły i rozłożyste stepy. Okolica wydawała się tak przepyszna, że Skrzetuski mimo woli powtarzał sobie pytanie Rzędziana: czemu tu ludzie nie mieszkają? Ale na to trzeba było, by jaki drugi Jeremi Wiśniowiecki objął te pustynie, urządził i brocił od napadów Tatarów i niżowych. Miejscami rzeka tworzyła łachy, zakręty, zalewała jary, biła spienioną falą o skały brzeżne i wypełniała wodą ciemne jaskinie skalne. W takich to jaskiniach i zakrętach bywały kryjówki i schowania kozacze. Ujścia rzek pokryte lasem sitowia, oczeretów i szuwarów, aż czerniły się od mnogości ptactwa, słowem: świat dziki, przepaścisty, miejscami zapadły a pusty i tajemniczy, roztoczył się przed oczyma naszych wędrowców.

Zegluga stała się przykrą, bo z powodu ciepłego dnia, pokazywały się roje zjadliwych komarów i rozmaitych nieznanych na suchym stepie insektów, a niektóre z nich na palec grube, ciurkiem krew po ukąszeniu puszczały.

Wieczorem przybyli do wyspy Romanówki, której ognie zdaleka było widać, i zatrzymali się na nocleg. Rybacy, którzy przybiegli popatrzeć na poczet namiestnika, mieli koszule, twarz i ręce całkiem pomazane dziegiem dla obrony od ukąszeń. Byli to ludzie grubych obyczajów i dzicy; na wiosnę zjeżdżali się tu tłumnie dla połowu i wędzenia ryb, które potem rozwozili do Czehrynia, Czerkas, Perejasławia i Kijowa. Rzemiosło ich było trudne, ale zyskowne z powodu obfitości ryb, które latem stawały się nawet klęską tych okolic, zdychając bowiem dla braku wody po łachach i tak zwanych „cichych kątach,” zarażały zgnilizną powietrze.

Dowiedział się od rybaków namiestnik, że wszyscy niżowcy, którzy również zajmowali się tu połowem, od kilku dni opuścili wyspę i udali się na Niż, wezwani przez atamana koszowego. Co noc też widywano z wyspy ognie, które palili na stepie zbiegowie, na Sicz podążający. Rybacy wiedzieli, że gotuje się wyprawa „na Lachiw,” i wcale nie ukrywali się z tem przed namiestnikiem. Widział tedy pan Skrzetuski, że jego ekspedycja może istotnie jest spóźnioną, może nim dojedzie do Siczy, pułki mołojców ruszą już na północ; ale kazano mu jechać, więc jako prawy żołnierz nie rozumował i postanowił dotrzeć choćby w środek zaporoskiego obozu.

Nazajutrz rano wyruszyli w dalszą drogę. Pominęli cudny Tareński Róg, Suchą Górę i Koński Ostróg, sławny ze swoich bagien i mnóstwa gadzin, które go niezdatnym do mieszkania czyniły. Wszystko tu już, i dzikość okolicy, i zwiększony pęd wód, zwiastowało bliskość porohów. Aż wreszcie wieża kudacka zarysowała się na widnokręgu — pierwsza część podróży była skończona.

Namiestnik jednak nie dostał się tego wieczoru do zamku, bo pan Grodzicki zaprowadził taki porządek, że gdy przed zachodem słońca wybito hasło, nie wpuszczano nikogo z zamku i do zamku, i gdyby nawet sam król przyjechał, musiałby nocować w Słobódce, stojącej pod wałami fortecy.

Tak też uczynił i namiestnik. Nocleg to był niezbyt wygodny, bo chaty w Słobódce, których znajdowało się ze sześćdziesiąt, ulepione z gliny, tak były szczupłe, iż do niektórych okrakiem trzeba było wlać. Innych też nie opłaciło się budować, bo je for-

teca za każdym napadem tatarskim w perzynę obra-
cała, a to dlatego, by nie dawały napastnikom za-
słony i bezpiecznego do wałów przystępu. Mieszkali
w onej Słobódce ludzie „zachozi,” to jest przybłądy
z Polski, Rusi, Krymu i Wołoszy. Każdy tu był nie-
mał innej wiary, ale tam o to nikt nie pytał. Grun-
tów nie wyrabiali dla niebezpieczeństwa od Ordy,
żywili się rybą i zbożem dostawianem z Ukrainy,
pili palankę z prosa, a trudnili się rzemiosłami, dla
których w zamku ich ceniono.

Namiestnik oka prawie zmrużyć nie mógł dla
nieznośnego zapachu końskich skór, z których rzemie-
nie w Słobódce wyprawiano. Nazajutrz, świtaniem,
jak tylko wydzwoniono i na trąbach wygrano „roz-
budzenie,” dał znać do zamku, iż poseł książęcy przy-
był i prosi o przyjęcie. Grodzicki, który świeżo miał
w pamięci wizytę książęcą, sam na jego spotkanie
wyszedł. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, jedno-
oki, jak cyklop, posępny, bo siedząc w pustyni na
końcu świata i nie widując ludzi, zdziczał, a spra-
wując nieograniczoną władzę, nabrał powagi i suro-
wości. Twarz mu przytem zeszpeciła ospa, a ozdobi-
ły nacięcia szabel i blizny od strzał tatarskich, po-
dobne do białych piętn na ciemnej skórze. Był to
jednak żołnierz szczery, czujny, jak żóraw, który
ustawicznie oczy miał w stronę Tatarów i kozaków
wyteżone. Pijał tylko wodę, sypiał tylko siedm go-
dzin na dobę, częstokroć zrywał się w nocy, by
obaczyć, czy strażę dobrze wałów pilnują, i za naj-
mniejsze niedbalstwo porywał na śmierć żołnierzy.
Dla kozaków wyrozumiały, choć groźny, zyskał so-
bie ich szacunek. Gdy zimą głodno bywało na Siczy,

zbożem ich wspomagał. Był to Rusin, pokroju tych, którzy swego czasu z Przecławem Lanckorońskim i Samkiem Zborowskim w stepy chodzili.

— To tedy waszmość na Sicz jedziesz? — pytał Skrzetuskiego, wprowadziwszy go poprzednio do zamku i uczęstowawszy gościnnie.

— Na Sicz. Jakie waszmość, mości komendancie, masz stamtąd nowiny?

— Wojna! Ataman koszowy ze wszystkich ługów, rzeczek i wysp ściąga kozaków. Zbiegi z Ukrainy idą, którym przeszkadzam, jak mogę. Wojska tam już jest na trzydzieści tysięcy, albo i więcej. Gdy na Ukrainę ruszą, gdy się z nimi grodowi kozacy i czerń połączą, będzie ich sto tysięcy.

— A Chmielnicki?

— Lada dzień z Krymu z Tatarami spodziewany. Może już jest; prawdę rzec, niepotrzebnie waszmość do Siczy chcesz jechać, bo wkrótce tu ich się doczekasz; że zaś Kudaku nie miną, ani go za sobą nie zostawią, to pewna.

— A obronisz się waszmość?

Grodzicki popatrzał na namiestnika posępnie i odrzekł dobitnym, spokojnym głosem:

— A ja się nie obronię...

— Jak to?

— Bo prochów nie mam. Mało dwadzieścia członów posłałem, by mi choć trochę przysłano — i nie przysłano. Nie wiem-li: przyjęto gońców — czy sami nie mają — wiem, że dotąd nie przysłano. Mam na dwa tygodnie — na dłużej nie. Gdybym miał dosyć, pierwiejbym Kudak i siebie w powietrze wysadził, nimby tu noga kozacza powstała. Kazano mi tu leżeć — leżę, kazano czuwać — czuwam, kazano zęby wy-

szczerzać — wyszczerzam, a gdy zginąć przyjdzie — raz maty rodyła — i to potrafię.

— A sam-że waszmość nie mozesz prochów robić?

— Od dwóch już miesięcy Zaporozcy saletry mi nie puszczają, którą od Czarnego morza przywozić trzeba. Wszystko jedno. Zginę!

— Uczyć się nam od was starych żołnierzów! A gdybyś sam waszmość po prochy ruszył?

— Mosanie, ja Kudaku nie zostawię i zostawić nie mogę; tu mi było życie, tu niech śmierć będzie. Waść nie myśl także, że na bankiety i wspaniałe recepcyje jedziesz, jakiemi gdzieindziej posłów witają, albo że cię tam godność poselska osłoni. Toż oni własnych atamanów mordują, i od czasu, jak tu siedzę, nie pamiętam, by który zczezł swoją śmiercią. Zginiesz i ty.

Skrzetuski milczał.

— Widzę, że duch w waćpanu gaśnie. To lepiej nie jedź.

— Mój mości komendancie — rzekł na to z gniewem namiestnik — wymyśl-że co lepszego, by mnie przestraszyć, bo to, co mi powiadasz, jużem słyszał z dziesięć razy, a kiedy mi radzisz nie jechać, to widzę, sambyś na mojem miejscu nie jechał — zważ przeto, czy ci nietylko prochów, ale i fantazyi do obrony Kudaku nie zbraknie!

Grodzicki, zamiast się rozgniewać, spojrział jaśniej na namiestnika.

— Zubastaja szczuka! — mruknął po rusińsku. — Przebacz mi waszmość. Z odpowiedzi twojej miarkuję, że potrafisz dignitatem księcia i stanu szlacheckiego utrzymać. Dam ci tedy parę czajek, bo bajdakami porohów nie przejedziesz.

— O to też przybyłem prosić waszmości.

— Koło Nienasytca każesz je łodem ciągnąć, bo choć woda duża, ale tam nigdy przejechać nie można. Ledwie się jakie małe czółenko przemknie. A gdy już będziesz na niskich wodach, tedy się pilnuj, by cię nie zaskoczono, i pamiętaj, że żelazo a ołów od słów wymowniejsze. Tam tylko śmiałych ludzi cenią. Czajki będą na jutro gotowe, każę tylko drugie rudle poprzyprawiać, bo jednego na porohach mało.

To rzekłszy, Grodzicki wyprowadził z izby namiestnika, by mu zamek i jego porządki pokazać. Wszędy panował wzorowy ład i karność. Straże dniem i nocą gęsto czuwały na wałach, które jeńcy tatarscy musieli bez przestanku wzmacniać i poprawiać.

— Co rok na łokieć wyżej wału sypię — rzekł pan Grodzicki — to też tak już urósł, że gdybym miał prochów dostatek, i w sto tysięcy nicby mi nie zrobili, ale bez strzelby nie obronię, gdy przemoc przyjdzie.

Forteca była istotnie nie do zdobycia, bo prócz armat, broniły jej dniewrowe przepaście i niedostępne skały, pionowo zeskakujące w wodę; nie potrzebowała nawet wielkiej załogi. To też w zamku nie stało więcej nad sześćset ludzi, ale za to co najprzebrańszego żołnierza, uzbrojonego w muszkiety i samopały. Dniepr, płynąc w tem miejscu ściśniętem korytem, tak był wązki, że rzucona z wałów strzała przelatywała daleko na drugi brzeg. Działa zamkowe panowały nad obu brzegami i nad całą okolicą. Prócz tego o pół mili od zamku stała wysoka wieża, z której ośm mil wokoło widać było, a w niej stu żołnierzy, do których pan Grodzicki każdego dnia zaglądał. Ci, spostrzegłszy w okolicy lud jaki, da-

wali natychmiast znać do zamku, a wówczas bito w dzwony i cała załoga wnet stawała pod bronią.

— Prawie tygodnia niema — mówił pan Grodzicki — bez jakowegoś alarmu, bo Tatarzy, jak wilki stadami, często po kilka tysięcy tu się włóczą, których z dział strychujemy jak można, a częstokroć tabuny dzikich koni strażę biorą za Tatarów.

— I nie przykrzy się waszmości siedzieć na takim bezludziu? — pytał pan Skrzetuski.

— Choćby mi też na pokojach królewskich miejsce dano, tobym tu wolał. Więcej ja stąd świata widzę, niżeli król ze swego okna w Warszawie.

Jakoż istotnie z wałów widać było niezmierną przestrzeń stepów, które teraz wydawały się jednym morzem zieloności; na północ ujście Samary, a na południe cały bieg dniewrowy, skały, przepaście, lasy, aż do pian drugiego porohu Surskiego.

Pod wieczór zwiedzili jeszcze wieżę, gdyż Skrzetuski, pierwszy raz widząc tę zaginioną w stepach fortecę, wszystkiego był ciekawy. Tymczasem przygotowywano dla niego w Słobódce czajki, które opatrzone rudłami po obu końcach, stawały się zwrotniejsze. Nazajutrz rankiem miał wyruszyć. Ale przez noc nie kładł się prawie wcale spać, rozmyślając, co mu czyścić przystoi wobec niechybnej zguby, którą mu groziło postowanie do straszliwej Siczy. Życie uśmiechało mu się wprawdzie, bo był młody, i kochał, i miał żyć obok ukochanej: wszelako od życia więcej honor i sławę kochał. Ale przyszło mu do głowy, że wojna blizka, że Helena, czekając na niego w Rozłogach, może być ogarnięta najokropniejszym pożarem, wystawiona na zapędy, nietylko Bohuna, ale rozpętanej i dzikiej czerni, więc duszę porywała mu trwoga o nią i ból. Step

musiały już podeschnąć, możnaby już pewno do Łubniów z Rozłogów jechać, a tymczasem on sam kazał Helenie i kniahyni na swój powrót czekać, bo nie spodziewał się, by burza mogła wybuchnąć tak prędko, nie wiedział, czem grozi jazda do Siczy. Chodził więc teraz szybkimi krokami po zamkowej izbie, brodę targał i ręce łamał. Co miał począć? jak postąpić? W myśli widział już Rozłogi w ogniu, otoczone wyjąca czernią, więcej do szatanów, niż do ludzi podobną. Własne jego kroki odbijały się posępnem echem pod sklepieniem zamkowym, a jemu wydało się, że to już złe moce po Helenę idą. Na wałach trąbiono gaszenie światła, a jemu zdało się, że to odgłos Bohunowego rogu, i zębami zgrzytał i za głównię szabli imał. Ach! czemuż to on naparł się tej ekspedycyi i Bychowca jej pozbawił!

Zauważył tę alteracyę pana Rzędzian, śpiący w progu, więc wstał, oczy przetarł, objaśnił pochodnie, palące się w żelaznych obręczach, i począł kręcić się po komnacie, chcąc zwrócić uwagę pana.

Ale namiestnik utonął całkowicie w swoich bolesnych myślach i chodził dalej, budząc krokami uśpione echa.

— Jegomość! hej jegomość!... — rzekł Rzędzian.

Skrzetuski popatrzał na niego szklanym wzrokiem. Nagle zbudził się z zamyślenia.

— Rzędzian, boisz ty się śmierci? — spytał.

— Kogo? jak to śmierci? co jegomość mówi?

— Bo kto na Sicz jedzie, ten nie wraca.

— A to czemu jegomość jedzie?

— Moja wola; ty się w to nie wtrącaj, ale ciebie mi żal, boś dzieciuch, a chociażś frant, tam się frantowstwem nie wykęcisz. Wracaj do Czehrynia, a potem do Łubniów.

Rzędzian zaczął się drapać w głowę.

— Mój jegomość, juści śmierci się boję, bo ktoby się jej nie bał, toby się Boga nie bał, gdyż Jego to wola żywić kogoś, albo umorzyć; ale skoro jegomość dobrowolnie na śmierć leziesz, to już jegomości bę-dzie grzech, jako pana, nie mój, jako sługi, przeto ja jegomości nie opuszczę, bom też nie chłop żaden, je-no szlachcic, choć ubogi, ale też nie bez ambicyi.

— Wiedziałem, żeś dobry pacholek, powiem ci jednak: nie chcesz po dobrej woli jechać, pojedziesz z rozkazu, bo już inaczej nie może być.

— Choćby mnie jegomość zabił, nie pojedę! Co to jegomość sobie myśli, że jest Judasz jaki, czy co, żebym jegomości miał na śmierć wydawać?

Tu Rzędzian podniósł ręce do oczu i począł buczyć głośno, widział więc pan Skrzetuski, że tą drogą do niego nie trafi, a rozkazywać groźnie nie chciał, bo mu było chłopca żal.

— Słuchaj—rzekł do niego—pomocy mi żadnej nie dasz, ja przecie także dobrowolnie głowy pod miecz kłaść nie będę, a do Rozłogów listy zawie-ziesz, na których mnie więcej, niż na samym żywo-cie zależy. Powiesz tam jejmości i kniaziom, by za-raz, bez najmniejszej zwłoki, panienkę do Łubniów odwieźli, bo ich inaczej rebelia zaskoczy — sam też dopilnujesz, by się to stało. Ważną ci funkcję po-wierzam, przyjacielea godną, nie sługi.

— To niech jegomość kogo innego wyśle; z li-stem każdy pojedzie.

— A kogo ja tu mam zaufanego? czyś zgłupiał! To ci powtarzam: uratuj mi podwakroć życie, a jeszcze mi takowej przysługi nie oddasz, gdyż w męce żyję,

myśląc, co może się stać, i od boleści skóra na mnie potnieje.

— O dla Boga! widzę, że muszę jechać, ale mi tak jegomości żal, że choćbyś mi jegomość ten kropiasty pas darował, zgołabym się nie pocieszył.

— Będiesz pas miał, jeno spraw się dobrze.

— Nie chcę i pasa, byleś mi jegomość jechać z sobą dozwolił.

— Jutro wrócisz czajką, którą pan Grodzicki do Czehrynia wysłał, dalej bez zwłoki ni odpoczynku ruszysz prosto do Rozłogów. Tam kniahyni nie mów, czy mi co grozi, ani panience, proś tylko, by zaraz choćby konno do Łubniów jechały, choćby bez tobołów żadnych. Oto masz trzos na drogę; listy zaraz ci napiszę.

Rzędzian padł do nóg namiestnika.

— Panie mój, zali nie mam cię ujrzyć więcej?

— Jak Bóg da, jak Bóg da! — odparł, podnosząc go, namiestnik — ale w Rozłogach wesołą twarz pokazuj. Teraz idź spać.

Reszta nocy zeszła Skrzetuskiemu na pisaniu listów i żarliwej modlitwie, po której zaraz przyleciał do niego anioł uspokojenia. Tymczasem noc zbladła i świt ubielił wązkie okienka od wschodu. Dniało — aż i różowe blaski wkradły się do komnaty. Na wieży i zamku poczęto grać poranne „wstawaj.“ Wkrótce potem Grodzicki zjawił się w komnacie.

— Mości namiestniku, czajki gotowe.

— I jam też gotów — rzekł spokojnie Skrzetuski.

ROZDZIAŁ X.

Lotne czajki mknęły z wodą jak jaskółki, niosąc młodego rycerza i jego losy. Z powodu wysokich wód porohy nie przedstawiały wielkiego niebezpieczeństwa. Minęli Surski, Łochanny, szczęśliwa fala przerzuciła ich przez Woronową Zaporę, zgrzytnęły trochę czółna na Kniażym i Strzelczym, ale jeno się otarły, nie rozbiły, aż wreszcie w oddali ujrzeli piany i wiry strasznego Nienasytca. Tu już trzeba było wysiadać i czółna lądem ciągnąć. Praca długa i ciężka, zwykle zabierająca dzień cały. Na szczęście, widocznie po dawnych przeprawach, na całym brzegu leżało mnóstwo kłoców, które podkładano pod czółna, dla łatwiejszego toczenia ich po ziemi. W całej okolicy i na stepach nie było widać żywego ducha, na rzece ani jednej czajki, bo już nie mogły płynąć do Siczy inne, jedynie te, które pan Grodzicki przez Kudak przepuścił, a pan Grodzicki umyślnie odciął Zaporozie od reszty świata. Ciszę przerywał więc tylko huk fali o skały Nienasytca. Przez czas, gdy ludzie toczyli czółna, pan Skrzetuski przypatrywał się temu dziwowisku natury. Straszny widok uderzył jego oczy. Przez całą szerokość rzeki biegło wpoprzek siedm grobel skalistych, sterczących nad

wodą, czarnych, poszarpanych przez fale, które powyłamywały w nich jakoby bramy i przejścia. Rzeźka całym ciężarem wód tłukła o owe groble i odbijała się o nie, więc rozszalała, wściekła, zbита na białą, spienioną miazgę, usiłowała je przeskoczyć, jak rumak rozhukany. Ale odparta raz jeszcze, nim mogła lunąć przez otwory, rzekłbyś, gryzła zębem skały, skręcała się w bezsilnym gniewie w potworne wiry, wybuchała słupami w górę, wrzała jak ukrop, ziała ze zmęczenia, jak dziki zwierz. A potem znów huk, jakby stu dział, wycie całych stad wilków, chrapanie, wysilenia i przy każdej grobli ta sama walka, ten sam zamęt. Nad otchłanią wrzask ptactwa, jakby przerażonego tym widokiem, między groblami posępne cienie skał, drgające na kołbani, nakształt złych duchów.

Ludzie, ciągnący czółna, lubo przyzwyczajeni, zegnali się pobożnie, przestrzegając namiestnika, by się zbyt nie zbliżał do brzegu. Były bowiem podania, że kto zbyt długo patrzył na Nienasytec, ten w końcu ujrzał coś takiego, od czego rozum mu się mieszał; twierdzono również, że czasem z wirów wyruszały się czarne, długie ręce i chwyciły nieostrożnych, którzy zanadto się zbliżyli, a wtedy straszne śmiechy rozlegały się w przepaściach. Nocami nawet Zaporozcy nie śmieli czółen przeciągać.

Do bractwa na Niżu, nikt nie mógł być jako towarzysz przyjęty, kto porohów samotnie czółnem nie przebył, ale dla Nienasytca czyniono wyjątek, gdyż skały jego nigdy nie bywały zalewane. O jednym Bohunie ślepcy śpiewali, jakoby i przez Nienasytec się przekradł, wszelako nie dawano temu wiary.

Przeciąganie czółen zajęło blisko dzień czasu, i słońce poczęło zachodzić, gdy namiestnik wsiadł znów do łodzi. Zato następne porohy przebyli z łatwością, bo całkiem były pokryte, i wreszcie wpłynęli na „ciche wody niżowe.“

Po drodze widział pan Skrzetuski na uroczyszczu Kuczkasów olbrzymią mogiłę z białych kamieni, którą książę na pamiątkę swego pobytu kazał usypać, a o której pan Bogusław Maszkiewicz w Łubniach mu opowiadał. Do Siczy stąd nie było już daleko, ale że namiestnik nie chciał nocą wjeżdżać w czartomelicki labirynt, postanowił więc zanocować na Chortycy.

Chciał także spotkać jaką żywą duszę zaporoską i dać uprzednio znać o sobie, by wiedziano, iż pośeł, a nie kto inny przyjeżdża. Chortyca jednak zdawała się być pustą, co niemało zdziwiło namiestnika, wiedział bowiem od Grodzickiego, że tam zawsze stawała załoga kozacka od inkursyi tatarskiej. Puścił się nawet sam z kilku ludźmi dość daleko od brzegu na zwiady, ale całej wyspy przejść nie mógł, miała bowiem przeszło milę długości, a noc zapadała już ciemna i niezbyt pogodna, wrócił więc do czajek, które tymczasem powyciągano na piasek i porozpalano ognie na nocleg od komarów.

Większa część nocy zeszła spokojnie. Semenowie i przewodnicy posnęli przy ogniach — czuwały tylko strażę, a z nimi i namiestnik, którego od wyjazdu z Kudaku dręczyła straszna bezsenność. Czuł także, że trawi go gorączka. Chwilami zdawało mu się, że słyszy zbliżające się kroki z głębi wyspy, to znów jakieś dziwne odgłosy, podobne do odległego beczenia kóz. Ale myślał, że ucho go zwodzi.

Nagle, dobrze już ku świtanu, stanęła przed nim jakaś ciemna postać.

Był to czeladnik ze straży.

— Panie, idą! — rzekł pośpiesznie.

— Kto taki?

— Pewnie niżowi: idzie ich ze czterdziestu.

— Dobrze. To niewielu. Zbudź ludzi! Ognia podpalić!

Semenowie wnet porwali się na nogi. Podsycony płomień buchnął w górę i oświecił czajki i garść żołnierzy namiestnika. Inni strażnicy przybiegli również dokoła.

Tymczasem nieregularne kroki gromady ludzi, dawały się już rozróżnić wyraźnie; kroki te zatrzymały się w pewnem oddaleniu; natomiast jakiś głos spytał z akcentem groźby:

— A kto na brzegu?

— A wy kto? — odparł wachmistrz.

— Odpowiadaj, wraży synu, a nie, to z samopału zapytam!

— Jego wysokość pan poseł od J. O. księcia Jeremiego Wiśniowieckiego do atamana kozowego — wygłosił donośnie wachmistrz.

Głosy w gromadzie umilkły; widocznie trwała tam krótka narada.

— A chodź jeno sam tu! — zawołał wachmistrz — nie bój się. Posłów nie biją, ale i posły nie biją!

Kroki znów ozwały się i po chwili kilkadziesiąt postaci wynurzyło się z cienia. Po śniadej czerze, niskim wzroście i kożuchach wełną do góry, namiestnik od pierwszego wejrzenia poznał, że po większej części byli to Tatarzy; kozaków znajdowało się

tylko kilkunastu. Przez głowę pana Skrzetuskiego przeleciała jak błyskawica myśl, że skoro Tatarzy są na Chortycy, więc Chmielnicki musiał już wrócić z Krymu.

Na czele gromady stał stary Zaporoziec olbrzymiego wzrostu, o twarzy dzikiej i okrutnej. Ten, zbliżywszy się do ogniska, spytał:

— A który tu poseł?

Silny zapach gorzałki rozszedł się dokoła — Zaporoziec był widocznie pijany.

— Który tu poseł? — powtórzył.

— Jam jest — rzekł dumnie pan Skrzetuski.

— Ty?

— A cożem ci brat, że mnie „ty“ mówisz?

— Znaj grubijanie politykę — poderwał wachmistrz — mówi się: Jaśnie wielmożny pan poseł!

— Na pohybel-że wam, czortowy syny! szczerob was sierpiachowa smert! jasno wielmożny syny! A wy poco do atamana?

— Nie twoja sprawa! wiedz jeno, że szyja twoja w tem, bym się do atamana najprędzej dostał.

W tej chwili drugi Zaporoziec wysunął się z gromady.

— My tu z woli atamana — rzekł — pilnujem, by się nikt od „Lachiw“ nie zbliżał, a kto się zbliży, mamy wiązać i dostawiać, co też uczynim.

— Kto dobrowolnie jedzie, tego nie będziesz wiązał.

— Budu, bo takij nakaz.

— A wiesz, chłopie, co to osoba posła? a wiesz, kogo tu przedstawiam?

Wtem stary olbrzym przerwał:

— Zawedem posła, ale za borodu — ot tak!
To rzekłszy, sięgnął ręką do brody namiestnika.
Ale w tej chwili jęknął i, jakby gromem rażo-
ny, zwałił się na ziemię.

Namiestnik roztrzaskał mu głowę czekanem.

— Koli, koli! — zawyły wściekłe głosy w gro-
madzie.

Semenowie książęcy sypnęli się na ratunek swe-
go wodza, huknęły samopały, wrzaski: „Koli! koli!“
zwały się ze szcękami żelaza. Wszczęła się bitwa
bezlądna. Zdeptane w zamieszaniu ogniska zgasyły,
i ciemność ogarnęła walczących. Wkrótce jedni i dru-
dzy zwarli się tak, że zbrakło miejsca do cięcia,
a noże, pięści i zęby zastąpiły szable.

Nagle z głębi wyspy ozwały się liczne, nowe
nawoływania i krzyki; napastnikom nadchodziła pomoc.

Chwila jeszcze, a byłaby przyszła za późno, gdyż
karni semenowie brali już górę nad ciżbą.

— Do czołen! — krzyknął grzmiącym głosem
namiestnik.

Pocztowi wykonali rozkaz w mgnieniu oka. Na
nieszczęście czajki, zbyt silnie wciągnięte na piasek,
nie dawały się teraz zepchnąć w wodę.

Tymczasem nieprzyjaciół skoczył z furią ku
brzegowi.

— Ognia! — skomenderował pan Skrzetuski.

Salwa z muszkietów wnet powstrzymała na-
pastników, którzy zmieszali się, skłębili i cofnęli
w nieładzie, zostawiając kilkanaście ciał rozciągnię-
tych na piasku; niektóre z tych ciał rzucały się kon-
wulsyjnie, nakształt ryb wyłowionych z wody i po-
rzuconych na brzegu.

Jednocześnie przewoźnicy, wspomagani przez kilkunastu semenów, wsparłszy wiosła o ziemię, dobywali ostatnich sił, by zepchnąć statki na wodę — ale napróżno.

Nieprzyjaciel rozpoczął atak zdaleka. Pluskanie kul po wodzie zmieszało się ze świstem strzał i jękami rannych.

Tatarzy, ałłahując coraz przeraźliwiej, zachęcali się wzajemnie; odpowiadały im krzyki kozaków: „Koli! koli!“ i spokojny głos pana Skrzetuskiego, powtarzający coraz częściej komendę:

— Ognia!

Pierwszy brzask oświecił bladym światłem walkę. Od strony lądu widać było ciżbę kozacką i Tatarów, jednych z twarzami przy kolbach *piszczeli*, drugich przegiętych w tył i ciągnących ciężkiy łuków — od strony wody dwie czajki dymiące i świecące ustawicznymi salwami wystrzałów. W środku leżały ciała, spokojnie już porozciągane po piasku.

W jednym z czółen stał pan Skrzetuski, wyższy nad innych, dumny, spokojny, z porucznikowskim buzdyganem w ręku i z gołą głową, bo mu strzała tatarska zerwała czapkę.

Wachmistrz zbliżył się ku niemu i szepnął:

— Panie nie wytrzymamy — kupa za wielka!

Ale namiestnikowi chodziło już o to tylko, by poselstwo swoje krwią przypieczętować, pohańbienia godności nie dopuścić i zginąć nie bez sławy. Dla tego też, podczas gdy semenowie poczynili sobie z worów z żywnością rodzaj zasłon, z poza których razili nieprzyjaciela, on stał widny i na pociski wystawiony.

- Dobrze! — rzekł — wyginie do ostatniego.
- Wyginie, bat'ku — wykrzyknęli semenowie.
- Ognia!

Czajki znów zadymiły. Z głębi wyspy poczęły napływać nowe tłumy zbrojne w spisy i kosy. Napastnicy rozdzielili się na dwie kupy. Jedna podtrzymywała ogień, druga, złożona z dwustu przeszło mołojców i Tatarów, czekała tylko chwili stosownej do ręcznego ataku. Jednocześnie z szuwarów wyspy wysunęły się cztery czółna, które miały uderzyć na namiestnika z tyłu i z obu boków.

Zrobiło się już widno zupełnie. Dymy tylko porozciągały się długimi pasmami w spokojnem powietrzu i przesłaniały pobojowisko.

Namiestnik kazał zwrócić się dwudziestu semenom ku atakującym statkom, które, gnane wiosłami, pędziły z chyżością ptactwa po spokojnej wodzie rzecznej. Ogień, kierowany ku Tatarom i kozakom, idącym z głębi wyspy, osłabł przez to znacznie.

Tego też zdawali się czekać.

Wachmistrz znów zbliżył się ku namiestnikowi.

— Panie! Tatarzy biorą handzary w zęby; zaraz rzucą się na nas.

Jakoż trzystu blisko ordyńców z szablami w ręku, z nożami w zębach, gotowało się do ataku. Towarzyszyło im kilkudziesięciu Zaporozców zbrojnych w kosy.

Atak miał się rozpocząć ze wszystkich stron, bo napastnicze czółna przyplnęły już na strzał. Boki ich zakwitły dymami. Kule jak grad poczęły się sypać na ludzi namiestnika. Obie czajki napełniły się jękami. Po upływie kilkunastu minut, po-

łowa semenów poległa, reszta broniła się jeszcze rozpaczliwie. Twarze ich były zczerniałe od dymu, ręce ustawały, wzrok męcił się, krew zalewała oczy, rury muszkietów poczynąły parzyć dłonie. Większa część była rannych.

W tej chwili wrzask straszny i wycie rozdarło powietrze. To ordyńcy ruszali do ataku.

Dymy, spędzone ruchem masy ciał, rozproszyły się nagle i odsłoniły oczom dwie czajki namiestnika, pokryte czarniawym tłumem Tatarów, niby dwa trupy końskie, rozdzierane przez stada wilków. Tłum ten parł, kotłował się, wył, wspinał, zdawał się walić sam z sobą i ginął. Kilkunastu semenów dawało jeszcze odpór, a pod masztem stał pan Skrzetuski, z zakrwawioną twarzą, ze strzałą utkwioną aż po brzechwę w lewem ramieniu, i bronił się ze wściekłością. Postać jego wydawała się olbrzymią wśród otaczającego go tłumu, szabla migotała, jak błyskawica. Uderzeniom odpowiadały jęki i wycie. Wachmistrz z drugim semenem pilnowali mu obu boków i tłum cofał się chwilami z przerażeniem przed tą trójką, ale pchany z tyłu, pchał się sam i marł pod ciosami szabel.

— Żywych brać do atamana—wrzeszczały głosy w tłumie. — Poddaj się!

Ale pan Skrzetuski poddawał się już tylko Bogu, bo oto pobladł nagle, zachwiał się i runął na dno statku.

— Proszczaj bat'ku!—ryknął z rozpaczą wachmistrz.

Ale po chwili padł także. Ruchliwa masa napastników pokryła czajki zupełnie.

ROZDZIAŁ XI.

W chacie kantarzeja ¹⁾ wojskowego, na przedmieściu Hassan Basza w Siczy, siedziało przy stole dwóch Zaporozców, pokrzepiając się palanką z prosa, którą czerpali ustawicznie z drewnianego szaflika, stojącego na środku stołu. Jeden, stary, już prawie zgrzybiały, był to Fyłyp Zachar, sam kantarzej, drugi Anton Tatarczuk, ataman czechryńskiego kurzenia, człowiek około lat czterdziestu, wysoki, silny, z dzikim wyrazem twarzy i skośnemi tatarskimi oczyma. Obaj mówili z sobą z cicha, jakby w obawie, żeby ich kto nie podsłuchał.

— Więc to dziś? — spytał kantarzej.

— Ledwie nie zaraz—odpowiedział Tatarczuk.—
Czekają tylko na koszowego i Tuhaj-beja, który z samym Chmielem pojechał na Bazawłuk, bo tam stoi orda. Towarzystwo zebrało się już na majdanie, a kurzeniowi jeszcze przed wieczorem zbiorą się na radę. Nim noc nastanie, będzie wszystko wiadomo.

¹⁾ Urzędnik wojskowy na Zaporozu, czuwający nad miarami i wagami w kramach, znajdujących się na tak zwanym Kramnym Bazarze w Siczy.

— Hm! może być źle! — mruknął stary Fyłyp Zachar.

— Słysz, kantarzeju, a ty widział, że było pismo i do mnie?

— Jużci widziałem, bom sam listy odnosił do koszowego, a jam człowiek piśmienny. Znaleźli przy Lachu trzy pisma; jedno do samego koszowego, drugie do ciebie, trzecie do młodego Barabasza. Wszyscy już w Siczy wiedzą o tem.

— A kto pisał? nie wiesz?

— Do koszowego pisał ksiązę, bo na liście była pieczęć; kto do was, niewiadomo.

— Sochroni Bih!

— Jeśli cię tam jawnie przyjacielem Lachów nie nazywają, to nic nie będzie.

— Sochroni Bih! — powtórzył Tatareczuk.

— Widać się poczuwasz.

— Tfu! Do niczego się nie poczuwam.

— Może też koszowy wszystkie listy skręci, bo mu i o własny list chodzi. Było tak dobrze do niego pismo, jak do was.

— A może.

— Ale jeśli się poczuwasz, to...

Tu stary kantarzej zniżył głos jeszcze bardziej:

— Uchodź!

— Ale jak? i gdzie? — pytał niespokojnie Tatareczuk. — Koszowy na wszystkich ostrowach straż postawił, żeby się nikt do Lachów nie wymknął i nie dał znać, co się dzieje. Na Bazawłuku pilnują Tatarzy. Ryba się nie przecisnie, ptak nie przeleci.

— To się skryj w samej Siczy, gdzie możesz.

— Znajdą. Chyba ty mnie schowasz między beczkami w bazarze? ty mój krewniak!

— I brata rodzzonego nie schowałbym. Boisz się śmierci, to się upij: pijany ani poczujesz.

— A może w listach nic niema?

— Może...

— Ot bieda! ot bieda! — rzekł Tatarczuk. — Nie poczuwam się do niczego. Ja dobry mołojec, Lachom wróg. Ale choćby i nic w liście nie było, czort wie, co Lach powie przed radą? Może mnie zgubić.

— To serdyty Lach; on nic nie powie!

— Byłeś dziś u niego?

— Byłem. Pomazałem mu rany dziegciem; na-
lałem gorzałki z popiołem w gardło. Będzie zdrów. To serdyty Lach! Mówią, że Tatarów narznął na Chortycy, nim go wzięli, jak świń. Ty o Lacha bądź spokojny.

Ponury odgłos kotłów, w które bito na koszo-
wym majdanie, przerwał dalszą rozmowę. Tatarczuk
usłyszawszy ten odgłos, drgnął i zerwał się na rów-
ne nogi. Nadzwyczajny niepokój malował się w je-
go twarzy i ruchach.

— Biją wezwanie na radę — rzekł, łowiąc usta-
mi oddech. — Sochroni Bih! Ty, Fyłyp, nie mów,
o czym ja z tobą tu gadał. Sochroni Bih!

To rzekłszy, Tatarczuk chwycił szaflik z palan-
ką, przechylił go obiema rękoma do ust i pił, pił,
jakby chciał się na śmierć zapić.

— Chodźmy! — rzekł kantarzej.

Odgłos kotłów huczał coraz donośniej.

Wyszli. Przedmieście Hassan Basza oddzielone
było od majdanu tylko wałem, opasującym kosz właś-
ciwy i bramą z wysoką basztą, na której widać było

paszcze zatoczonych dział. W środku przedmieścia stał dom kantarzeja i chaty atamanów kramnych, naokół zaś dość obszernego placu szopy, w których mieściły się kramy. Były to w ogóle nędzne budowle, klecone z bierwion dębowych, których w obfitości dostarczała Chortyca, a poszyte gałęziami i oczeretem. Same chaty, nie wyłączając kantarzejowej, podobniejsze były do szałasów, bo tylko dachy ich wznosiły się nad ziemią. Dachy te były czarne i zakopcone, gdyż jeśli w chacie palono ogień, dym wydobywał się nietylko górnym otworem dachu, ale i przez całe poszycie, a wówczas można było mniemać, że to nie chata, jeno kupa gałęzi i oczeretów, w której wyrabiają smołę. W chatach panowała wieczna ciemność, dlatego podtrzymywano w nich ustawicznie ogień z łuczywa i ze skarp dębowych. Szop kramnych było kilkadziesiąt i dzieliły się na kurzeniowe, to jest stanowiące własność pojedynczych kurzeniów, i gościnne, w których w chwilach spokoju handlowali niekiedy Tatarzy i Wołosi, jedni skórami, tkaninami wschodnimi, bronią i wszelkiego rodzaju zdobyczą, inni przeważnie winem. Ale gościnne kramy rzadko były zajęte, gdyż kupno zmieniło się najczęściej w tem dzikim gnieździe na rabunek, od którego kantarzej, ani kramni atamanowie, nie mogli tłumów powstrzymać. Między szopami stało także trzydzieści ośm szynków kurzeniowych, a przed nimi leżeli zawsze wśród śmieci, wiórów, kłód dębowych i kup końskiego nawozu, półmartwi z przepicia się Zaporozcy, jedni w kamiennym śnie pogrążeni, drudzy z pianą na ustach, w konwulsjach lub atakach delirium. Inni półpijani,

wyjąc kozackie pieśni, spluwając, bijąc się lub całując, przeklinając kozaczy los, lub płacząc na kozacką biedę, deptali po głowach i piersiach leżących. Dopiero z chwilą, gdy wyruszała jaka wyprawa na Tatarów lub Ruś, nakazywano trzeźwość i wówczas należących do wyprawy śmiercią karano za pijaństwo. Ale w zwykłych czasach, zwłaszcza na Kramnym Bazarze, prawie wszyscy byli pijani: kantarzej i atamanowie kramni, sprzedający i kupujący. Kwaśny zapach nieszumowanej wódki, w połączeniu z zapachem smoły, ryb, dymu i końskich skór, nasycił wiecznie powietrze na całym przedmieściu, które w ogóle pstrociną kramów przypominało jakąś miścinę turecką lub tatarską. Sprzedawano w nich wszystko, co się gdziekolwiek w Krymie, na Wołoszczyźnie lub wybrzeżach anatolskich dało zrabować. Więc jaskrawe tkaniny wschodnie, lamy, altembasy, złotogłowie, sukno, cyc, drelich i płótno, potrzebne działa szpizowe i żelazne, skóry, futra, suszoną rybę, wiśnie i bakalie tureckie, naczynia kościelne, mosiężne półksiężyce, złupione z minaretów, i poślacane krzyże, zdarte z cerkwi ¹⁾, proch i broń sieczną, kije do spis i siodła. A między tą mieszaniną przedmiotów i barw kręcili się ludzie, poprzebierani w szczątki najrozmaitszej odzieży, latem półnaczy, zawsze półdzicy, okopceni od dymu, czarni,

¹⁾ Zaporozcy w czasie swych napadów nie oszczędzali nikogo i niczego. Do czasów Chmielnickiego nie było wcale cerkwi w Siczy. Pierwszą właśnie Chmielnicki wystawił; nie pytano tam również nikogo o wyznanie i to, co opowiadają o religijnym nastroju Niżowców, jest bajką.

uwalani w błocie, pełni ciekących ran od ukąszeń olbrzymich komarów, których miryady unosiły się nad Czertomeliem, i jako się rzekło wyżej: wiecznie pijanili

W tej chwili całe Hassan Basza jeszcze pełniejsze było ludzi, niż zwykle; zamykano kramy i szynki, wszyscy zaś śpieszyli na majdan siczowy, na którym miała się odbywać rada. Fylyp Zachar i Anton Tatarczuk szli z innymi, ale ten ostatni ociągał się, szedł leniwo i pozwalał się wyprzedzać tłumom. Coraz żywszy niepokój malował się w jego twarzy. Tymczasem przeszli przez most na fosie, następnie przez bramę i znaleźli się na obszernym obronnym majdanie, otoczonym przez trzydzieści ośm wielkich drewnianych budynków. Były to kurzenie, a raczej domy kurzeniowe, rodzaj koszar wojskowych, w których mieszkali kozacy. Kurzenie owe, jednej wielkości i miary, niczem nie różniły się od siebie, chyba nazwami, przybranymi od rozmaitych miast ukraińskich, od których brały nazwę także i pułki. W jednym kącie majdanu wznosił się dom radny; zasiadali w nim atamani pod wodzą koszwego, tłumy zaś, czyli tak zwane „towarzystwo“ obradowało pod gołym niebem, wysyłając co chwila deputacje do starszyny, a czasem wdzierając się gwałtem do radnego domu i terroryzując obrady.

Na majdanie ciżba już była ogromna, poprzednio bowiem ataman koszwowy pościagał do Siczu wszystkie wojska rozproszone po wyspach, rzeczках i „ługach,“ *towarzystwo* zatem było liczniejsze, niż zwykle. Słońce chyliło się ku zachodowi, więc wcześniej zapalono kilkanaście beczek ze smołą; tu

i owdzie stały także beczki z wódką, które każdy kurzeń dla siebie wytaczał, a które niemało dodawały energii obradom. Porządku między kurzeniami pilnowali esaulowie, zbrojni w tęgie kije dębowe, dla hamowania obradujących, i w pistolety, dla obrony własnego życia, które często bywało w niebezpieczeństwie.

Fyłypp Zachar i Tatarczuk weszli prosto do domu obrad, gdyż jeden jako kantarzej, drugi jako ataman kurzeniowy, mieli prawo zasiadać między starszyzną. W izbie radnej był tylko jeden mały stół, przed którym siedział pisarz wojskowy. Atamanowie i koszowy mieli swoje miejsca na skórach pod ścianami. Ale w tej chwili miejsca nie były jeszcze zajęte. Koszowy chodził wielkimi krokami po izbie, kurzeniowi zaś, zebrani w małe gromadki, rozmawiali z cichą, przerywając sobie kiedy niekiedy głośniejszemi kłótwami. Tatarczuk zauważył, że znajomi nawet i przyjaciele udają, iż go nie widzą, zbliżył się przeto zaraz do młodego Barabasza, który mniej więcej w takim samym był położeniu. Inni spoglądali na nich z podejrzliwością, z czego młody Barabasz niewiele sobie robił, nie rozumiejąc dobrze o co idzie. Był to człowiek wielkiej piękności i nadzwyczajnej siły, której jedynie zawdzięczał swój stopień kurzeniowego atamana, bo zresztą słynął w całej Siczy ze swej głupoty. Zjednała mu ona przydomek Durnego atamana i przywilej budzenia śmiechów każdym słowem między starszyzną.

— Poczekawszy trochę, taj może i pójdziem z kamieniem u szyi w wodę! — szepnął mu Tatarczuk.

— A poco? — spytał Barabasz.

— A to nie wiesz o listach?

— Trastia joho maty mordował! Czy to ja pisałem jakie listy?

— Obacz, jak spoglądają na nas z podełba.

— Kołyb ja kotroho w łob, toby nie patrzył, boby mu ślepie wypłynęły.

Tymczasem krzyki z zewnątrz dały znać, że coś zaszło. Jakoż drzwi izby radnej otwarły się szeroko i wszedł Chmielnicki z Tuhaj-bejem. Ich to witano tak radośnie. Kilka miesięcy temu, Tuhaj-bej, jako najwaleczniejszy z murzów i postrach niżowców, był przedmiotem strasznej nienawiści w Sicz — teraz „towarzystwo“ rzucało czapki w górę na jego widok, uważając go jako dobrego przyjaciela Chmielnickiego i Zaporozców.

Tuhaj-bej wszedł naprzód, a za nim Chmielnicki z buławą w rękę, jako hetman wojsk zaporoskich. Godność tę piastował od czasu, jak wrócił z Krymu, z wyjednanymi od chana posiłkami. Tłumy porwały go wówczas na ręce i odbiwszy skarbnicę wojskową, przyniosły mu buławę, chorągiew i pieczęć, które zwykle przed hetmanem noszono. To też zmienił się niemało. Widać było, że nosił w sobie straszliwą siłę całego Zaporozia. Nie był to już Chmielnicki pokrzywdzony, uciekający na Sicz przez Dzikie Pola, ale Chmielnicki hetman, krwawy duch, olbrzym, mściciel własnej krzywdy na milionach.

A jednak nie zerwał łańcuchów, włożył tylko nowe, cięższe. Widać to było z jego stosunku z Tuhaj-bejem. Ten hetman Zaporozia w sercu Zaporozia brał drugie miejsce za Tatarem, znosił w pokorze jego dumę i pogardliwe nad wszelki wyraz obejście.

Był to stosunek lennika do zwierchniego pana. Ale tak musiało być. Chmielnicki cały swój kredyt u kozaków zawdzięczał Tatarom i łasce chanowej, której przedstawicielem był dziki i wściekły Tuhaj-bej. Ale Chmielnicki umiał godzić dumę rozsadzającą mu pierś z pokorą, zarówno jak odwagę z chytrością. Był to lew i lis, orzeł i wąż. Pierwszy to raz od początku kozaczyzny Tatar poczynął sobie jak pan w środku Siczy — ale takie czasy przyszły. „Towarzystwo“ rzucało przecie czapki w górę na widok pohańca. Takie czasy nadeszły.

Narada się rozpoczęła. Tuhaj-bej zasiadł w środku, na grubszym pęku skór, i podwinąwszy nogi, począł gryźć suszone ziarnka słoneczników i wypłukać żółte skorupki przed siebie na środek izby. Po prawej jego stronie zasiadł Chmielnicki z buławą, po lewej kozowy, a ataman i deputacya od „towarzystwa“ dalej, pod ścianami. Uciszyły się rozmowy, z zewnątrz tylko przychodził gwar i głuchy szum tłuszczy, obradującej pod gołym niebem, podobny do szumu fal. Chmielnicki począł mówić: ¹⁾

— Moście panowie! Z łaski, przychylności i „dyskrecyi“ najjaśniejszego carza krymskiego, pana wielu ludów, pokrewnego ciałom niebieskim, z pozwolenia miłościwego króla polskiego Władysława, naszego pana, i dobrej ochoty odważnych wojsk zaporoskich, ufni w naszą niewinność i sprawiedliwość Bożą, idziemy pomścić strasznych i okrutnych krzywd naszych, które po chrześcijańsku cierpieliśmy, póki-

¹⁾ Sposób obradowania na Siczy opisany jest w dyaryuszu Eryka Lassoty, posła cesarskiego na Zaporozie w r. 1594.

śmy mogli, od nieszczerych Lachów, komisarzy, starostów i ekonomów, całej szlachty i Żydów. Nad któremi krzywdami jużescie moście panowie i całe wojsko zaporoskie wiele łez wyleli i mnie dlatego buławę dali, abym się za niewinność naszą i całych wojsk snadniej mógł upominać. Co ja uważając za wielką łaskę mości panów dobrodziei moich, najjaśniejszego carza o pomoc prosić jechałem, którą nam ofiarował. Ale będąc w gotowości i ochocie, niemałom się zasmucił, słysząc, iż mogą być między nami zdrajcy, którzy z nieszczerymi Lachami w komitywę wchodzą i o naszej gotowości im donoszą — co jeśli by tak było, to ukarani być mają, wedle woli i dyskrety mości panów. A my prosim, abyście listów wysłuchali, które tu poseł od *niedruga* naszego, księcia Wiśniowieckiego, przywiózł, nie posłem, ale szpiegiem będąc i gotowość naszą i dobrą ochotę Tuhaj-beja, naszego przyjaciela, chcąc podpatrzeć i przed Lachami zdradzić. Co abyście także osądzili, jeśli ma być ukarany, jak i ci, do których listy przywiózł, a o których koszowy, jako wierny przyjaciel mój, Tuhaj-beja i całego wojska, zaraz nas uwiadomił.

Chmielnicki umilkł; gwar za oknami powiększał się coraz bardziej, więc pisarz wojskowy wstał i zaczął czytać naprzód pismo książęce do koszowego atamana, zaczynające się od słów: „My po Bożej myłości, kniaź i hospodyn na Łubniach, Chorolu, Przyłuce, Hadziaczu etc., wojewoda Ruski etc., starosta etc.“ Pismo było czysto urzędowe. Książę, zasłyszawszy, iż wojska z „ługów“ są ściągane, pytał atamana, czyby to była prawda, i wzywał go zara-

zem, aby tego dla spokojności krajów chrześcijańskich zaniechał. Chmielnickiego zaś, jeśliby Sicz podburzał, aby komisarzom wydał, którzy sami się o to upomną. Drugi list był pana Grodzickiego, również do wielkiego atamana, trzeci i czwarty Zaćwilichowskiego i starego pułkownika czerkaskiego do Tatarczuka i Barabasza. We wszystkich nie znajdowało się nic, coby mogło podawać w podejrzenie osoby, do których były adresowane. Zaćwilichowski prosił jedynie Tatarczuka, aby zaopiekował się oddawcą listu i aby ułatwił mu wszystko, czegoby poseł zażądał.

Tatarczuk odetchnął.

— Co mówicie, moście panowie o tych pismach? — spytał Chmielnicki.

Kozacy milczeli. Wszelkie obrady, dopóki wódka nie rozgrzała głów, zaczynały się zawsze w ten sposób, iż żaden z atamanów nie chciał pierwszy głosu zabrać. Jako ludzie prości a chytry, czynili to głównie z obawy wyrwania się z głupstwem, któreby mogło wnioskodawcę na śmiech narazić, lub zjednać mu na całe życie szyderczy przydomek. Bo tak i bywało w Siczy, gdzie wśród największego prostactwa, zmysł do przedrwiwania niesłychanie był rozwinięty, również jak obawa przed szyderstwem.

Kozacy tedy milczeli. Chmielnicki znowu głos zabrał:

— Ataman koszowy brat nasz i szczerzy przyjaciel. Ja atamanowi tak wierzę, jak duszy własnej, a ktoby co innego powiadał, tenby sam zdradę zamyslał. Ataman stary druh i żołnierz.

To rzekłszy, wstał i ucałował koszowego.

— Moście panowie! — rzekł na to koszowy — ja wojska ściągam, a hetman niech prowadzi; co do posła, kiedy go do mnie przysłali, to on mój, a kiedy mój, to wam go daruję.

— Wy, moście panowie deputacya, pokłońcie się atamanowi — rzekł Chmielnicki — bo on sprawiedliwy człowiek, i idźcie powiedzieć „towarzystwu“, że jeśli tu jest zdrajca, to nie on zdrajca; on pierwszy strażę postawił, on sam kazał łapać zdrajców, coby do Lachów szli. Wy, panowie deputacya, powiedzcie, że nie on zdrajca, że on najlepszy z nas wszystkich.

Panowie-deputacya pokłonili się w pas naprzód Tuhaj-bejowi, który przez cały czas z największą obojętnością żuł swoje ziarenka słoneczników, następnie Chmielnickiemu, koszowemu — i wyszli z izby.

Po chwili wrzaski radosne za oknami dały znać, że deputacya spełniła polecenie.

— Niech żyje nasz koszowy! niech żyje koszowy! — wołały chrapliwe głosy z taką siłą, że aż ściany izby zdawały się drzeć w posadach.

Jednocześnie huknęły wystrzały z samopalów i piszczeli.

Deputacya wróciła i znowu zasiadła w kącie izby.

— Moście panowie! — rzekł Chmielnicki, gdy uciszyło się cokolwiek za oknami. — Już wy mądrze osądzili, że koszowy ataman człowiek sprawiedliwy. Ale jeśli ataman nie zdrajca, to kto zdrajca? Kto ma przyjaciół między Lachami, z kim oni w kon-szachty wchodzą, do kogo listy pisują? komu osobę posła zlecają? kto zdrajca?

To mówiąc, Chmielnicki podnosił głos coraz wyżej i strzygł złowrogo oczyma w stronę Tatarczuka i młodego Barabasza, jakby chciał ich wskazać wyraźnie. W izbie powstał szmer, kilka głosów zaczęło wołać: „Barabasza i Tatarczuk!“ Niektórzy kurzeniowi powstałi z miejsc, między deputacją dały się słyszeć wołania: „Na pohybel!“ *potence*

Tatarczuk zbladł, a młody Barabasz począł spoglądać zdumionemi oczyma po obecnych. Leniwa myśl jego siliła się przez niejaki czas odgadnąć, o co go oskarżają, nakoniec rzekł:

— Ne bude sobaka mięsa istyl!

To rzekłszy, wybuchnął śmiechem idyoty, a za nim i inni. I nagle większa część kurzeniowych poczęła się śmiać dziko, sama nie wiedząc dlaczego.

Z za okna dochodziły krzyki coraz głośniejsze; widać tam wódka poczęła rozgrzewać już głowy. Szum fali ludzkiej potężniał z każdą chwilą.

Ale Anton Tatarczuk wstał i zwróciwszy się do Chmielnickiego, począł mówić:

— Co ja wam zrobił, mości hetmanie zaporoski, że na śmierć moją nastajecie? W czym ja wam winien? Pisał do mnie komisar Zaćwilichowski list, taj co? To i kniaź pisał do koszowego. A czy ja odebrał list? Niel A jakby odebrał, tak coby zrobił? Ot poszedłby do *pysara* i kazałby sobie przeczytać, *bo ni pysaty, ni czytaty ne umiju*. I wyby zawsze wiedzieli, co w liście. A Lacha ja i na oczy nie widział. Tak czy ja zdrajca? Hej, bracia Zaporozcy, Tatarczuk chodził z wami do Krymu, a jak chodzili na Wołoszę, to chodził na Wołoszę; jak chodzili pod Smoleńsk, to chodził pod Smoleńsk, bił się z wami,

— Moście panowie! — rzekł na to koszowy — ja wojska ściagam, a hetman niech prowadzi; co do posła, kiedy go do mnie przysłali, to on mój, a kiedy mój, to wam go daruję.

— Wy, moście panowie deputacya, pokłońcie się atamanowi — rzekł Chmielnicki — bo on sprawiedliwy człowiek, i idźcie powiedzieć „towarzystwu“, że jeśli tu jest zdrajca, to nie on zdrajca; on pierwszy strażę postawił, on sam kazał łapać zdrajców, coby do Lachów szli. Wy, panowie deputacya, powiedzcie, że nie on zdrajca, że on najlepszy z nas wszystkich.

Panowie-deputacya pokłonili się w pas naprzód Tuhaj-bejowi, który przez cały czas z największą obojętnością żuł swoje ziarenka słoneczników, następnie Chmielnickiemu, koszwemu — i wyszli z izby.

Po chwili wrzaski radosne za oknami dały znać, że deputacya spełniła polecenie.

— Niech żyje nasz koszowy! niech żyje koszwowy! — wołały chrapliwe głosy z taką siłą, że aż ściany izby zdawały się drżeć w posadach.

Jednocześnie huknęły wystrzały z samopałów i piszczele.

Deputacya wróciła i znowu zasiadła w kącie izby.

— Moście panowie! — rzekł Chmielnicki, gdy uciszyło się cokolwiek za oknami. — Już wy mądrze osądzili, że koszowy ataman człowiek sprawiedliwy. Ale jeśli ataman nie zdrajca, to kto zdrajca? Kto ma przyjaciół między Lachami, z kim oni w kon-szachty wchodzą, do kogo listy pisują? komu osobę posła zlecają? kto zdrajca?

To mówiąc, Chmielnicki podnosił głos coraz wyżej i strzygł złowrogo oczyma w stronę Tatarczuka i młodego Barabasza, jakby chciał ich wskazać wyraźnie. W izbie powstał szmer, kilka głosów poczęło wołać: „Barabasza i Tatarczuk!” Niektórzy kurzeniowi powstałi z miejsc, między deputacją dały się słyszeć wołania: „Na pohybel!” *potemce*

Tatarczuk zbladł, a młody Barabasz począł spoglądać zdumionemi oczyma po obecnych. Leniwa myśl jego siliła się przez niejaki czas odgadnąć, o co go oskarżają, nakoniec rzekł:

— Ne bude sobaka miasa isty!

To rzekłszy, wybuchnął śmiechem idyoty, a za nim i inni. I nagle większa część kurzeniowych poczęła się śmiać dziko, sama nie wiedząc dlaczego.

Z za okna dochodziły krzyki coraz głośniejsze; widać tam wódka poczęła rozgrzewać już głowy. Szum fali ludzkiej potężniał z każdą chwilą.

Ale Anton Tatarczuk wstał i zwróciwszy się do Chmielnickiego, począł mówić:

— Co ja wam zrobił, mości hetmanie zaporoski, że na śmierć moją nastajecie? W czym ja wam winien? Pisał do mnie komisar Zaćwilichowski list, taj co? To i kniaź pisał do koszowego. A czy ja odebrał list? Nie! A jakby odebrał, tak coby zrobił? Ot poszedłby do *pysara* i kazałby sobie przeczytać, *bo ni pysaty, ni czytaty ne umiju*. I wyby zawsze wiedzieli, co w liście. A Lacha ja i na oczy nie widział. Tak czy ja zdrajca? Hej, bracia Zaporozcy, Tatarczuk chodził z wami do Krymu, a jak chodzili na Wołoszę, to chodził na Wołoszę; jak chodzili pod Smoleńsk, to chodził pod Smoleńsk, bił się z wami,

dobrymi mołojcami, żył z wami, dobrymi mołojcami — i krew przelewał z wami, dobrymi mołojcami — i głodem marł z wami, dobrymi mołojcami, tak on nie Lach, nie zdrajca, ale kozak, wasz brat, a jeśli pan hetman na śmierć jego nastaje, to niech powie, czemu nastaje! Co ja mu zrobił? w czym nieszczerłość okazał? — a wy, bracia, pomilujcie i sądźcie sprawiedliwie!

— Tatarczuk dobry mołojec! Tatarczuk sprawiedliwy człowiek! — ozwało się kilka głosów.

— Ty Tatarczuk dobry mołojec — rzekł Chmielnicki — i ja na ciebie nie nastaję, boś ty mój druh i nie Lach, ale kozak, nasz brat. Bo gdyby Lach był zdrajca, to jabym się nie smucił i nie płakał, ale jeśli dobry mołojec zdrajca, mój druh zdrajca, to mnie ciężko na sercu i żal dobrego mołojca. A sko- roś w Krymie, i na Wołoszy, i pod Smoleńskiem by- wał, to jeszcze większy twój grzech, żeś teraz nie- szczerze chciał gotowość i ochotę wojsk zaporoskich przed Lachem zdradzić! Tobie pisali, byś ty mu ułatwił, czego by zażądał, a powiedzcie, moście pano- wie atamani, czego by Lach mógł żądać? Czy nie śmierci mojej i mojego życzliwego przyjaciela Tuhaj- beja? Czy nie zguby wojsk zaporoskich? Tak ty Ta- tarczuk winien i już niczego innego nie dokażesz. A do Barabasza pisał stryj jego, pułkownik czer- kaski, Czaplinskiemu druh i Lachom druh, który przywileje u siebie chował, by ich wojsko zaporo- skie nie dostało, co gdy tak jest, a klnę się Bogiem, że nie inaczej jest, więc wy oba winni i proście po- miłowania atamanów, a ja z wami prosić będę, cho- ciał ciężka wasza вина i zdrada jawna.

Tymczasem z za okna dochodził już nie szum i gwar, ale jakby łoskot jaki burzy. Towarzystwo chciało wiedzieć co się dzieje w izbie radnej i wysłało nową deputację.

Tatańczuk poczuł, że jest zgubiony. Teraz przypomniał sobie, że tydzień temu przemawiał wśród atamanów przeciw oddaniu buławy Chmielnickiemu i przymierzu z Tatarami. Zimne krople potu wystąpiły mu na czoło: zrozumiał, że już niema ratunku. Co do młodego Barabasza, jasne było, iż gubiąc go, Chmielnicki chciał zemścić się nad starym pułkownikiem czerkaskim, który synowca swego kochał głęboko. Jednakże Tatańczuk nie chciał umierać. Nie bladłby on przed szablą, przed kulą, nawet przed palem—ale śmierć taka, jaka go czekała, przerażała go do szpiku kości, więc korzystając z chwili ciszy, która zapanowała po słowach Chmielnickiego, krzyknął przeraźliwie:

— Na imię Chrysta! bracia atamany, druhy serdeczne, nie gubcie niewinnego, toż ja Lacha nie widział, nie gadał z nim! Pomilujcie, bracia! Nie wiem, czego by Lach ode mnie chciał, spytajcie go sami! Ja klnę się Chrystem, Spasem, Świętą Przechystą, świętym Mikołajem cudotwórcą, świętym Michałem Archaniołem, że duszę niewinną zgubicie!

— Przyprowadzić Lacha — zawołał starszy kantarzej.

— Lacha tu, Lacha! — wołali kurzeniowi.

Wszczęło się zamieszanie; jedni rzucili się do przyległej izby, w której więzień był zamknięty, by przywieść go przed radę, inni zbliżali się groźnie do Tatańczuka i Barabasza. Pierwszy Hładki, ata-

man mirgorodzkiego kurzenia, krzyknął: „Na pohybel!“ Deputacya powtórzyła okrzyk, Czarnota zaś skoczył ku drzwiom i otworzywszy je, wołał do zgromadzonego tłumu:

— Moście panowie towarzystwo, Tatarczuk zdrajca i Barabas zdrajca — na pohybel im!

Tłuszcza odpowiedziała wyciem strasliwem. W izbie wszczęło się zamieszanie. Wszyscy kurzeniowi powstali ze swych miejsc. Jedni wołali: „Lacha! Lacha!“ inni starali się rozruch uciszyć, a wtem drzwi pod naciskiem tłumu roztworzyły się naoscież, i do środka wpadła tłuszcza, obradująca na dworze. Straszliwe postacie, upojone wściekłością, napęliły izbę, wrzeszcząc, wywijając rękoma, zgrzytając zębami i zionąc zapach gorzałki: „Smert Tatarczuk! i Barabaszu na pohybel! Dawajcie zdrajców! na majdan z nimi!“ — krzyczały pijane głosy. „Bij! ubij!“ i setki rąk wyciągnęły się w tej chwili po nieszczęsne ofiary. Tatarczuk nie stawiał oporu, jęczał tylko przeraźliwie, ale młody Barabas zaczął bronić się ze straszną siłą. Zrozumiał nakoniec, że go chcą zamordować; strach, rozpacz i wściekłość odbiły się na jego twarzy; piana okryła mu wargi, z piersi wydobył się ryk zwierzęcy. Podwakroć wyrwał się z rąk oprawców i podwakroć ręce ich chwytaly go za ramiona, za piersi, za brodę i oseledec; on szamotał się, kasał, ryczał, upadał na ziemię i znów podnosił się okrwawiony, straszny. Podarto na nim ubranie, wyrwano mu oseledec z głowy, wybito oko, nakoniec przygniecionemu do ściany złamano rękę. Wówczas padł. Oprawcy porwali go za nogi i razem z Tatarczukiem wywlekli na majdan. Tam dopiero,

przy blasku smolistych beczek i stosów ognia, rozpoczęła się doraźna egzekucya. Kilka tysięcy ludzi rzuciło się na skazanych i darło ich w sztuki, wyjąc i walcząc z sobą o przystęp do ofiar. Deptano ich nogami, wrywano kawały ciała; ciżba tłoczyła się koło nich tym strasznym, konwulsyjnym ruchem rozszalałych mas. Chwilowo krwawe ręce podnosiły w górę dwie bezkształtne, niepodobne już do ludzkich postaci bryły, to znowu ciskano je na ziemię. Dalej stojący wrzeszczeli w niebogłosy, jedni, żeby wrzucić ofiary w wodę, drudzy, by je wtłoczyć w beczki palącej się smoły. Pijani rozpoczęli bójkę z sobą. Z szaleństwa zapalono dwie kufy z wódką, które oświeciły tę piekielną scenę drgającym błękitnem światłem. Z nieba patrzył na nią także księżyc cichy, jasny, pogodny.

Tak „towarzystwo“ karało swoich zdrajców.

A w izbie radnej, z chwilą jak kozactwo wywlekło za drzwi Tatarczuka i młodego Barabasa, uciszyło się znowu i atamani zajęli dawne miejsca pod ścianami, bo z przyległego alkierza przyprowadzono więźnia.

Cień padał na jego twarz, gdyż i ogień na kominie przygasł — i w pół-świecie widać było tylko wyniosłą postać, trzymającą się prosto i dumnie, choć ręce jej związane były łykiem. Ale Hładki dorzucił wiązkę łuczywa, po chwili bujny płomień strzelił w górę i oblał jasnem światłem oblicze więźnia, który zwrócił się ku Chmielnickiemu.

Ujrzawszy go, Chmielnicki drgnął.

Więzień — był to pan Skrzetuski.

Tuhaj-bej wypuł łuskwiny słoneczników i mruknął po rusińsku:

— Ja toho Lacha znaju — on buw u Krymu.

— Na pohybel mu! — zawołał Hładki.

— Na pohybel! — powtórzył Czarnota.

Chmielnicki opanował już wrażenie. Powiódł tylko oczyma po Hładkim i Czarnocie, którzy pod wpływem tego wzroku umilkli, następnie, zwróciwszy się do koszowego, rzekł:

— I ja jeho znaju.

— Ty skąd? — spytał koszowy Skrzetuskiego.

— W poselstwie jechałem do ciebie, atamanie koszowy, gdy mnie zbójcy na Chortycy napadli i wbrew obyczajom, obserwowanym u najdzikszych narodów, ludzi mi wybili, a mnie, nie bacząc na godność mą poselską i urodzenie, zranili, zniwazyli i jako jeńca tu przywiedli, o co pan mój J. O. książkę Jeremi Wiśniowiecki będzie się umiał u ciebie, atamanie koszowy, upomnieć.

— A czego ty nieszczerłość swoją okazał? czemu ty dobrego mołojca obuchem rozszczępił? czemu ty ludzi nabił we czworo tyle, ile was wszystkich było? A tu z listem do mnie jechał, by na gotowość naszą spoglądać i Lachom o niej donosić? Wiemy także, że ty i do zdrajców wojska zaporoskiego miał listy, aby z nimi zgubę wszystkiego wojska knować, zaczem nie jako poseł, ale jako zdrajca będziesz przyjęty i sprawiedliwie ukarany.

— Mylisz się, atamanie koszowy, i ty, mości hetmanie samozwańczy — rzekł namiestnik, zwracając się do Chmielnickiego. — Jeślim listy miał, to czyni tak każdy poseł, który w obce strony jedzie, że od znajomych do znajomych listy bierze, by i sam miał przez to komitywę. A jam tu jechał z pismem

książęcem, nie zgubę waszę knować, ale od takowych was postępków powstrzymać, które nieznośny paroksyzm na Rzeczpospolitą, a na was i na całe wojsko zaporoskie ostatnią zagładę ściągną. Na kogoż to bowiem bezbożną rękę podnosicie? Przeciw komu, wy, co się obrońcami chrześcijaństwa nazywacie, z poganym przymierze czynicie? Przeciw królowi, przeciw stanowi szlacheckiemu i całej Rzplitej. Wy przeto, nie ja, zdrajcami jesteście, i to wam powiadam, iż jeśli pokorą i posłuszeństwem nie zgładzicie win waszych, tedy biada wam! Zaliż dawne to czasy Pawluka i Nalewajki? Zali wyszła już wam z pamięci ich kara? Pomnijcie tedy, że *patientia* Rzeczypospolitej już wyczerpana i miecz wisi nad głowami waszemi.

— Łajesz, wraży synu, by się wykręcić i śmierci ująć! — zawołał koszowy — ale ci nie pomoże ni groźba, ni wasza łacina lacka. *religion*

Inni też atamanowie poczęli zębami zgrzytać i trzaskać w szable, a pan Skrzetuski podniósł głowę jeszcze wyżej i tak mówił:

— Nie myśl, atamanie koszowy, bym się śmierci obawiał, albo żywota bronił, albo się z mej niewinności wywodził. Szlachcicem będąc, od równych tylko sobie sądzon być mogę i nie przed sędziami tu stoję, jeno przed zbójcami; nie przed szlachtą, jeno przed chłopstwem; nie przed rycerstwem, jeno przed barbarzyństwem, i wiem dobrze, że się od śmierci nie wybiegam, którą wy też dopełnicie miary swej nieprawości. Przede mną jest męka i śmierć, ale za mną moc i zemsta całej Rzeczypospolitej, przed którą drżycie wszyscy.

Jakoż wyniosła postawa, wzniosłość mowy i imię Rzeczypospolitej, silne zrobiły wrażenie. Atamanowie spoglądali na siebie, milcząc. Przez chwilę wydało im się, że przed nimi stoi nie jeniec, ale groźny poseł potężnego narodu; Tuhaj-bej zaś mruknął:

— Serdytyj Lach!

— Serdytyj Lach! — powtórzył Chmielnicki.

Gwałtowne dobijanie się do drzwi przerwało dalszą ich rozmowę. Na majdanie egzekucya szczątków Tatarczuka i Barabasza była właśnie skończoną; towarzystwo wysyłało nową deputacyę.

Kilkunastu kozaków okrwawionych, zziębniętych, okrytych potem, pijanych, weszło do izby. Staęli przy drzwiach i wyciągając ręce, jeszcze dymiące od krwi, poczęli mówić:

— Towarzystwo kłania się panom starszyźnie — tu pokłonili się wszyscy w pas — i prosi, żeby im wydać tego Lacha, *szczob z nym poihraty, jak z Barabaszom i Tatarczukom.*

— Wydać im Lacha! — krzyknął Czarnota.

— Nie wydawać — wołał inny. — Niech czekają! On poseł!

— Na pohybel mu! — ozwały się różne głosy.

Następnie ucichli wszyscy, czekając, co powiedzą koszowy i Chmielnicki.

— Towarzystwo prosi; a nie, to samo weźmie — powtórzyli deputaci.

Zdawało się, że pan Skrzetuski zgubiony jest bez ratunku, gdy wtem Chmielnicki pochylił się do ucha Tuhaj-beja.

— To twój jeniec — szepnął — jego Tatarzy wzięli, on twój. Dasz-li go sobie zabrać? To bogaty

szlachcic, a i bez tego kniaź Jarema złotem za niego zapłaci.

— Dawajcie Lacha! — wołali coraz groźniej kozacy.

Tuhaj-bej przeciągnął się na swoim siedzeniu i wstał. Twarz zmieniła mu się w jednej chwili, oczy rozszerzyły się, jak u żbika, zęby poczęły błyskać. Nagle skoczył jak tygrys przed mołojców, dopominających się o jeńca.

— Precz, capy, psy niewierne! niewolnicy! swynojady! — ryknął, chwytając za brody dwóch Zaporózców i targając nimi ze wściekłością — precz, pijanice, bydlęta nieczyste! gady plugawie! wy mnie jasyr zabierać przyszli, a ot, ja wam tak! capy! — To mówiąc, targał za brody coraz innych mołojców, nakoniec zwaliwszy jednego, począł go deptać nogami. — Na twarz, niewolnicy! bo was w jasyr zapędzę, bo Sicz całą nogami tak zdepczę, jak was! z dymami puszczę, ścierwem waszem pokryję!

Deputaci cofali się przerażeni — straszliwy przyjaciel pokazał, co umie.

I dziwna rzecz: na Bazawłuku stało tylko sześć tysięcy Ordy. Prawda, że za nimi stał jeszcze chan z całą potęgą krymską, ale w samej Siczy było kilkanaście tysięcy mołojców, prócz tych, których Chmielnicki wysłał był już na Tomakówkę — a jednakże, ani jeden głos protestacyi nie podniósł się przeciw Tuhaj-bejowi. Zdawałoby się mogło, że sposób, w jaki groźny murza obronił jeńca, był jedynie skuteczny, że trafił odrazu do przekonania Zaporózców, którym tatarska pomoc była w tej chwili niezbędną. Deputacya wypadła na majdan, krzycząc do tłumów, że nie będą

z Lachem igrały, bo to jeniec Tuhaj-beja, a Tuhaj-bej, każe, rozserdywsia! „Brody nam powyrywał“ — wołali. Na majdanie też poczęto zaraz powtarzać: „Tuhaj-bej rozserdywsia! — rozserdywsia!“ — wołały żałośnie tłumy — „rozserdywsia! rozserdywsia!“ — a w kilka chwil jakiś przeraźliwy głos jął śpiewać koło ogniska:

Hej, hej!
Tuhaj-bej
Rozserdywsia duże,
Hej, hej!
Tuhaj-bej,
Ne serdysia, druże!

Wnet tysiące głosów powtórzyły: „Hej, hej! Tuhaj-bej“ — i oto powstała jedna z tych pieśni, które potem, rzekłbyś, wicher roznosił po całej Ukrainie i trącał niemi o struny lir i teorbanów.

Ale nagle i pieśń została przerwana, bo przez bramę, od strony Hassan Basza, wpadło kilkunastu ludzi i przedzierając się przez tłum, krzycząc: „Z drogил z drogил“ dążyło co sił w stronę radnego domu. Atamani zabierali się już do wyjścia, gdy nowi ci goście wpadli do izby.

— *Pyśmo* do hetmana! — wołał stary kozak.

— Skąd wy?

— My Czehryńcy. Dzień i noc z *pyśmom idem*.

Oto jest.

Chmielnicki wziął list z rąk kozaka i począł czytać. Nagle twarz zmieniła mu się, przerwał czytanie i rzekł donośnym głosem:

— Moście panowie atamani! Hetman wielki wysła syna Stefana z wojskiem na nas. Wojna!

W izbie powstał dziwny szmer; niewiadomo, czy szmer radości, czy przerażenia. Chmielnicki wystąpił na środek izby, wsparł się pod boki, oczy jego miały błyskawice, a głos brzmiał groźnie i rozkazująco:

— Kurzeniowi do kurzeniów! Uderzyć z dział na wieży! Rozbić beczki z wódką! Jutro świtanie ruszamy!

Od tej chwili kończyły się na Siczy obrady zbiorowe, rządy atamanów, sejmy i przewaga towarzystwa. Chmielnicki brał w ręce nieograniczoną władzę. Oto przed chwilą, z obawy, aby głos jego nie był niewysłuchany przez burzliwe towarzystwo, musiał jeńca podstępem bronić i podstępem gubić niechętnych; teraz był panem życia i śmierci wszystkich. Tak zawsze bywało. Przed i po wyprawie, choćby hetman już był obrany, tłum narzucał jeszcze atamanom i koszowemu swoją wolę, której niebezpiecznie było się opierać. Ale gdy tylko wyprawę otrąbiono, całe towarzystwo stawało się wojskiem, podlegał wojskowej dyscyplinie, kurzeniowi oficerami, a hetman wodzem-dyktatorem.

Dlatego też usłyszawszy rozkazy Chmielnickiego, atamanowie wypadli natychmiast do swoich kurzeniów. Narada była skończona.

Po chwili huk dział z bramy, prowadzącej z Hassan Basza do siczowego majdanu, zatrzęsł ścianami izby i rozległ się posępne echem po całym Czertomeliku, zwiastując wojnę.

Rozpoczął on także epokę w dziejach dwóch narodów, ale o tem nie wiedzieli, ni pijani siczowcy, ni sam hetman zaporoski.

ROZDZIAŁ XII.

Chmielnicki ze Skrzetuskim poszli na nocleg do kozowego, a z nimi i Tuhaj-bej, któremu za późno było wracać na Bazawłuk. Dziaki bej traktował namiestnika jako jeńca, który miał być za wysoką cenę wykupiony, zatem nie jak niewolnika i z respektem, większym nawet może niż kozaków, bo go w swoim czasie, jako książęcego posła na dworze chano-
wym widywał. Widząc to, kozowy zaprosił go do swej chaty i również zmienił z nim postępowanie. Stary ataman był to człowiek duszą i ciałem oddany Chmielnickiemu, który go zawojował i oświadczył — owóż zauważył, że Chmielnickiemu chodziło widocznie podczas narad o ocalenie jeńca. Ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy, za ledwie zasiedli w chacie, Chmielnicki zwrócił się do Tuhaj-beja.

— Tuhaj-beju! — rzekł — ile myślisz wziąć wykupna za tego jeńca?

Tuhaj-bej popatrzał na Skrzetuskiego i rzekł: — Tyś mówił, że to znaczny człowiek, a ja wiem, że to poseł strasznego kniazia, a straszny kniaz kocha swoich. Bismillah! jeden zapłaci i drugi zapłaci — razem...

Tu Tuhaj-bej zamyślił się:

— Dwa tysiące talerów.

Chmielnicki na to:

— Dam ci dwa tysiące talerów.

Tatar milczał przez chwilę. Jego skośne oczy zdawały się nawskroś przenikać Chmielnickiego.

— Ty dasz trzy — rzekł.

— Dlaczego mam dać trzy, gdyś sam dwa żądał?

— Bo jeśli go chcesz mieć, to tobie na tem zależy, a jeśli ci zależy, to dasz trzy.

— On mnie życie ocalił.

— Aha! to warte tysiąc więcej.

Tu Skrzetuski wtrącił się do targu.

— Tuhaj-beju! — rzekł z gniewem — z książęcego skarbcza nie mogę ci nic obiecywać, ale choćbym miał fortunę własną podszarpać, to sam dam trzy. Mam też blisko tyle u księcia na prowizyi i wioskę dobrą, co starczy. A temu hetmanowi nie chcę wolności i zdrowia zawdzięczać.

— A skąd ty wiesz, co ja z tobą uczynię? — rzekł Chmielnicki.

A potem, zwróciwszy się do Tuhaj-beja, mówił:

— Wojna się rozpocznie. Poślesz do kniazia, ale nim poseł wróci, dużo wody w Dnieprze upłynie, a ja ci jutro na Bazawłuk odwiozę sam pieniądze.

— Daj cztery, to i nie będę z Lachem gadał — odparł niecierpliwie Tuhaj.

— Dam cztery, na twoje słowo.

— Mości hetmanie — rzekł koszowy — chcesz, to ci zaraz wyliczę. Mam tu pod ścianą, może i więcej.

— Jutro powiesz na Bazawłuk — rzekł Chmielnicki.

Tuhaj-bej przeciągnął się i ziewnął.

— Spać mi się chce — rzekł. — Jutro też przednem na Bazawłuk muszę ruszyć. Gdzie mam spać?

Koszowy wskazał mu pęk skór owczych pod ścianą.

Tatar rzucił się na posłanie. Po niejakiem czasie począł chrapać, jak koń.

Chmielnicki przeszedł się kilkakrotnie po wąskiej izbie i rzekł:

— Sen ucieka mi od powiek. Nie usnę. Daj się czego napić, mości koszowy.

— Gorzałki, czy wina?

— Gorzałki. Nie usnę...

— Na niebie już kurki — rzekł koszowy.

— Późno. Idź i ty spać, stary druhu. Napij się i idź.

— Na sławę i szczęście!

— Na szczęście!

Koszowy obtarł głowę rękawem, następnie podał rękę Chmielnickiemu i odszedłszy w drugi koniec izby, zakopał się niemal w owcze skóry, krew bowiem miał już przez wiek ostudzoną.

Wkrótce chrapanie jego zawtórowało chrapaniu Tuhaj-beja.

Chmielnicki siedział za stołem, pogrążony w milczeniu.

Nagle rozbudził się, spojrzał na Skrzetuskiego i rzekł:

— Mości namiestniku, jesteś wolny.

— Wdzięcznym ci, mości hetmanie zaporoski, lubo nie ukrywam, że wolałbym komu innemu za wolność dziękować.

— Tedy nie dziękuj. Ocaliłeś mi życie, jam ci

też dobrem odplacił, teraz kwita. A i to ci muszę jeszcze powiedzieć, iż cię zaraz nie puszczę, chyba mi słowo rycerskie dasz, iż wróciwszy, nie powiesz ni słowa ani o naszej gotowości, ani o siłach, ani o niczem, coś tu w Siczy widział.

— Widzę jedno to, żeś mi niepotrzebnie fructum wolności dał posmakować, bo ci takiego słowa nie dam, gdyż dając je, takbym właśnie postąpił, jak ci, którzy do nieprzyjaciela przechodzą.

— Gardło moje i zdrowie całego wojska zaporoskiego w tem, aby się na nas hetman wielki ze wszystkimi siłami nie ruszył, czegooby nieomieszkał, gdybyś go o potędze naszej powiadomił, nie dziw się więc, że jeśli słowa nie chcesz dać, to cię nie puszczę, póki o siebie bezpiecznym nie będę. Wiem, na com się porwał; wiem, jako straszna jest siła przeciw mnie: obaj hetmani, twój straszny kniaź, który sam za całe wojsko stanie, a Zasławscy, a Koniecpolscy, a wszystkie owe królewęża, które na szyi kozackiej nogę trzymają! Zaprawdę, niemałom ja musiał napracować się i listów rozpisać, nim zdołałem ich czujność uspić — toć nie mogę teraz dozwolić, byś ją rozbudził. Gdy i czerń, i kozacy grodowi, i wszyscy uciśnieni w wierze i w wolności, tak się po mojej opowiedzą stronie, jako wojsko zaporoskie i miłościwy chan krymski, tuszę, że nieprzyjaciołom sprostam, bo i moja siła znaczną będzie, ale najwięcej ufam Bogu, który widział krzywdy, a patrzył na niewinność moją.

Tu Chmielnicki wychylił szklanę wódki i zaczął chodzić niespokojnie koło stołu, pan Skrzetuski zaś zmierzył go oczyma i rzekł z mocą:

— Nie bluźnij-że, hetmanie zaporoski, na Boga

i Jego najwyższą opiekę się powołując, bo zaiste gniew tylko Boży i prędsze karanie na siebie ściągniesz! Tobie to godzi się Najwyższego na swą obronę wzywać, tobie, który dla swych krzywd i prywatnych zatarłów, taką straszną burzę podnosisz, i płomień wojny domowej rozpalasz, i z pogany przeciw chrześcijanom się łączysz? Cóż się bowiem stanie? Zwycięzysz-li, czy będziesz zwyciężony, morze ludzkiej krwi i łez wylejesz, gorzej szarańczy kraj spustoszysz, krew własną poganom w jasyr oddasz, Rzplitą wstrząśniesz, na majestat rękę podniesiesz, ołtarze Pańskie pohąbisz, a wszystko dlatego, że Czapliński futor ci zabrał, że ci popijanemu wygrażał! Na cóż się więc nie targniesz? czego dla prywaty nie poświęcisz? Boga wzywasz?—a ja zaprawdę, choć jestem w twojej mocy, chociaż mnie żywota i wolności pozbawić możesz—powiadam ci: szatana ty, nie Boga na pomoc wzywaj, bo tylko jedno piekło sekundować ci może!

Chmielnicki sponsował — za rękę się porwał i patrzył tak na namiestnika, jak lew, który wnet ma ryknąć i rzucić się na swą ofiarę — ale się pohamował. Szczęściem nie był jeszcze pijany. Może też ogarnął go jakiś niepokój, może jakieś głosy zawołały mu w duszy: zawróć z drogi! Bo nagle, jakby się chciał przed własnymi myślami bronić, lub samego siebie przekonywać, tak mówić począł:

— Od innego nie ścierpiałbym takiej mowy, ale i ty bacz, aby twa śmiałość mej cierpliwości nie porażała. Piekłem mnie straszysz, o prywatę i zdradę mnie pomawiasz, a skądże wiesz, jeśli własne tylko krzywdy mścić idę? A gdzież bym znalazł pomocników, gdzie owe tysiące, które się już za mną opo-

wiedziały i opowiedzą, gdybym jeno własnych ucisków chciał dochodzić? Spójrz, co się dzieje na Ukrainie! Hej! ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona, a kto w niej jutra pewien? kto w niej szczęśliwy? kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran? kto w niej nie płacze i nie wzdycha? Sami jeno Wiśniowieccy, a Potoccy, a Zasławscy, a Kalinowscy, a Koniecpolscy i szlachty garść! Dla nich starostwa, dostojenstwa, ziemia i ludzie, dla nich szczęście i złota wolność, a reszta narodu ręce we łzach do nieba wyciąga, czekając Bożego zmiłowania, bo i królewskie nie pomoże! Ileż to szlachty nawet, nieznosnego ich ucisku wytrzymać nie mogąc, na Sicz ucieka, jako ja sam uciekłem? Nie chcę też wojny z królem, nie chcę z Rzeczpospolitą! Ona mać, on ojciec! Król miłościwy pan, ale królewietą! Z nimi nam nie żyć; ich to zdzierstwa, ich to arendy, stawszczyzny, pojemszczyzny, suchomielszczyzny, oczkowe i rogowe, ich to tyrania i uciski przez Żydów czynione, o zemstę do nieba wołają. Jakiej-że to wdzięczności doznało wojsko zaporoskie za tak wielkie zasługi, w licznych wojnach oddane? Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewietą odjęli. Nalewajko poświęrtowan! Pawluk w miedzianym wole spaloni! Krew nie obeschła po ranach, które nam szabla Żółkiewskiego i Koniecpolskiego zadała! Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych, na pal wsadzonych — a teraz — patrz! co świeci na niebie — tu Chmielnicki wskazał przez okienko na płonącą kometa — gniew Boży! bicz Boży! Więc jeśli ja mam nim być na ziemi — to, dziej się wola Boża! wezmę ten ciężar na barki.

putrida leczyć, nie wycinać ^{owadów} ¹⁾, i nie wiem — jest-li na świecie potencya, prócz Rzplitej, któraby taki wrzód we własnem łonie tolerując, tyle cierpliwości i klemencyi znalazła! A w odwet za to, jaka wdzięczność? Ot, tu śpi twój sprzymierzeniec, ale Rzplitej wróg zaciekły; twój przyjaciel, ale nieprzyjaciel krzyża i chrześcijaństwa—nie królewiatko ukraiinne, ale murza krymski — z nim to pójdziesz palić własne gniazdo — z nim sądzić braci! Ale on też ci odtąd panować będzie, jemu strzeżę podawać musisz!

Chmielnicki wychylił nową szklankę wódki.

— Gdyśmy z Barabaszem czasu swego u króla miłościwego byli — odparł ponuro — i gdyśmy na krzywdy i uciski nasze płakali, pan nasz rzekł: „A to nie macie samopałów i szabli przy boku?“

— Gdybyś przed Królem królów stanął, tenby rzekł: „Aza przebaczyłeś nieprzyjaciółom swoim, jakom ja swoim przebaczył?“

— Z Rzeczpospolitą wojny nie chcę!

— Jenó jej miecz do gardła przykładasz!

— Idę kozaków z waszych okowów uwolnić!

— By ich w tatarskie łyka skrępować!

— Wiary chcę bronić!

— Z pohańcem w parzel!

— Precz-że ty, boś nie jest głosem sumienia mego! Precz! mówię ci!

— Krew przelana ci zacięży, łyż ludzkie oskarżają, śmierć cię czeka, sąd czeka!

— Puszczyk! — zawołał ze wściekłością Chmielnicki i nożem przed piersią namiestnikową błysnął.

¹⁾ Słowa historyczne Żółkiewskiego.

— Zabij! — rzekł pan Skrzetuski.

I znowu nastąpiła chwila ciszy, znowu słychać było tylko chrapanie śpiących i żalosne skrzypienie świerszcza.

Chmielnicki stał przez chwilę, z nożem przy piersi Skrzetuskiego; nagle się wstrząsnął, opamiętał, nóż upuścił, a natomiast porwawszy gąsiorek z wódką, pić począł. Wypił aż do dna i siadł ciężko na ławie.

— Nie mogę go pchnąć! — mruczał — nie mogę! Późno już... czy to już świt?... Ale i z drogi zawracać późno... Co ty mnie o sądzie i krwi mówisz?

Poprzednio wypił już wiele, teraz wódka uderzyła mu do głowy; stopniowo coraz bardziej tracił przytomność.

— Jaki tam sąd? co? Chan obiecał mi posiłki, Tuhaj-bej tu śpił Jutro mołojcy ruszą... Z nami święty Mikołaj zwycięzca!... A jeśliby... jeśliby... to... Ja cię wykupił u Tuhaj-beja — ty to pamiętaj i powiedz... Otl boli coś... boli! Z drogi zawracać... późno! sąd... Nalewajko... Pawluk...

Nagle wyprostował się, oczy z przerażeniem wytrzeszczył i zakrzyknął:

— Kto tu?

— Kto tu? — powtórzył nawpół rozbudzony koszowy.

Ale Chmielnicki głowę na piersi spuścił, kiwnął się raz drugi, mruknął: Jaki sąd? — i usnął.

Pan Skrzetuski, od ran niedawno otrzymanych i wzruszenia rozmowy, pobladł bardzo i zasnął, więc pomyślał, że to może śmierć nadlatuje, i zaczął się modlić głośno.

ROZDZIAŁ XIII.

Nazajutrz, rankiem, piesze i konne wojska kozackie ruszyły z Siczy. Lubo krew nie splamiła jeszcze stepów, wojna była już rozpoczęta. Pułki szły za pułkami; rzekłbyś, szarańcza, przygrzana słońcem wiosennem, wyroiła się z oczeretów Czertomeliku i leci na ukraińskie niwy. W lesie, za Bazawłukiem, czekali już gotowi do pochodu ordyńcy. Sześć tysięcy co przebrańszych wojowników, zbrojnych nierównie lepiej od zwykłych czambułowych rabusiów, stanowiło pomoc, którą chan przysłał Zaporożcom i Chmielnickiemu. Mołojcy na ich widok wyrzucili czapki w górę. Zagrzmiały rusznice i samopały. Wrzaski kozackie, pomieszane z hałlahowaniem tatarskiem, uderzyły o sklepienie niebios. Chmielnicki i Tuhaj-bej, obaj pod buńczukami, skoczyli ku sobie końmi i powitali się ceremonialnie.

Sprawiono szyk pochodowy ze zwykłą Tatarom i kozakom chyżością, poczem wojska ruszyły naprzód. Ordyńcy zajęli oba skrzydła kozackie, środek zwałił Chmielnicki z jazdą, za którą postępowała straszna

piechota zaporoska ¹⁾, dalej „puszkary“ z armatami, dalej tabor, wozy, na nich służba obozowa, zapasy żywności, wreszcie czabanowie z zapaśnemi stadami i bydlęm.

Przebywszy bazawłucki las, pułki wypłynęły na stepy. Dzień był pogodny. Stropu nieba nie płamiła żadna chmurka. Lekki wiatr podmuchiwał z północy ku morzu, słońce grało na spisach i kwiatach pustyni. Roztoczyły się przed wojskiem Dzikie Pola, jako morze bez końca, a na ten widok radość ogarnęła kozackie serca. Wielka malinowa chorągiew z Archaniołem zniżyła się pokilkakroć, witając step rodzimy, a za jej przykładem pochyliły się wszystkie buńczuki i pułkowe znamiona. Jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

Pułki rozwinęły się swobodnie. „Dowbysze“ i teorbańści wyjechali na czoło wojska; huknęły kotły, zadźwięczały litaury i teorbany, a do wtóru im pieśń przez tysiące głosów śpiewana, wstrząsnęła powietrzem i stepem:

„Hej wy stepy, wy ridnyje,
Krasnym cwytom pysanyje,
Jako more szyrokijsze!“

Teorbanowie puścili cugle i przechyleni w tył na kulbakach, z oczyma utkwionemi w niebo, uderzali o struny teorbanów; litauryści, wyciągnąwszy

¹⁾ Wbrew ogólnemu mniemaniu dzisiejszemu, Bauplan twierdzi, iż piechota zaporoska niezmiernie przewyższała jazdę. Wedle Bauplana, 200 Polaków rozbijało z łatwością 2,000 jazdy zaporoskiej, ale natomiast 100 pieszych kozaków mogło długo bronić się z zakopu tysiącowi Polaków.

ręce nad głowami, bili w swoje miedziane kręgi, dowbysze grzmieli w kotły, a te wszystkie odgłosy, wraz z monotonnymi słowami pieśni i przeraźliwym, niesfornym świstem piszczałek tatarskich, zlały się w jakąś nutę ogromną, dziką, a smętną, jak sama pustynia. Upojenie ogarnęło wszystkie pułki; głowy chwiały się w takt pieśni, i wreszcie zdawało się, że cały step rozśpiewany kołysze się razem z ludźmi, i końmi, i chorągwiami.

Spłoszone stada ptactwa zerwały się ze stepu i leciały przed wojskiem, jak drugie wojsko powietrzne.

Chwilami pieśń i muzyka milkły, a wówczas słyhać było łopot chorągwi, tętent i parskanie koni i skrzypienie wozów taborowych, podobne do krzyku łabędzi lub żórawi.

Na czele, pod wielką chorągwią malinową i pod buńczukiem, jechał Chmielnicki, przybrany w czerwień, na białym koniu, z pozłocistą buławą w ręku.

Cały tabor poruszał się zwolna i ciągnął na północ, pokrywając jak groźna fala rzeczki, dąbrowy i mogiły, napelniając szumem i gwarem pustosze stepy.

A od Czehrynia, z północnego krańca pustyni, płynęła przeciw tej fali inna fala wojsk koronnych, pod wodzą młodego Potockiego. Tu Zaporozcy i Tatarzy szli jakoby na wesele, z pieśnią radosną na ustach; tam poważna husarya postępowała w posępnej milczeniu, idąc niechętnie na tę walkę bez sławy. Tu pod malinową chorągwią stary, doświadczony wódz potrząsał groźnie buławą, jakby pełen zwycięstwa i zemsty; tam na czele jechał młodzieniec z twarzą zamyśloną, jakby świadom swych smutnych a blizkich przeznaczeń.

Dzieliła ich jeszcze wielka przestrzeń stepu.

Chmielnicki nie śpieszył się. Liczył bowiem, że im bardziej pograży się młody Potocki w pustynię, im dalej odsunie się od obu hetmanów, tem łatwiej będzie mógł być pokonany. A tymczasem coraz nowi zbiegowie z Czehrynia, Powołoczy i wszystkich brzegowych miast ukraińskich, zwiększali codziennie siły zaporoskie, przynosząc zarazem wieści z przeciwnego obozu. Dowiedział się z nich Chmielnicki, że stary hetman wysłał syna z dwoma tylko tysiącami jazdy lądem ¹⁾, a zaś sześć tysięcy semenów i tysiąc niemieckiej piechoty bajdakami, Dnieprem. Obie te siły miały rozkaz stałą z sobą utrzymywać łączność, ale rozkaz był już pierwszego dnia złamany, bo bajdaki, porwane bystrym prądem dneprowym, wyprzedziły znacznie husaryę idącą brzegiem, której pochód opóźniały niezmiernie przeprawy przez wszystkie rzeczki, wpadające do Dniepru.

Chmielnicki więc, pragnąc, by ten rozdział powiększył się jeszcze bardziej, nie śpieszył się. Trzeciego dnia pochodu zaległ taborem koło Komyszej Wody i odpoczywał.

Tymczasem podjazdy Tuhaj-beja sprowadziły języka. Było to dwóch draganów, którzy zaraz za Czehryniem zbiegli z taboru Potockiego. Pędząc dzień i noc, zdołali znacznie wyprzedzić swój obóz. Stawiono ich natychmiast przed Chmielnickim.

Opowiadania ich potwierdziły to, co było już Chmielnickiemu wiadomo o siłach młodego Stefana

¹⁾ Źródła rusińskie, np. Samoіл Weliczko, podają ilość wojsk koronnych na 22,000. Cyfra to oczywiście fałszywa.

Potockiego; natomiast przynieśli mu nową wiadomość, że przywódcami semenów, płynących razem z piechotą niemiecką na bajdakach, byli stary Barabas i Krzeczowski.

Usłyszawszy to ostatnie nazwisko, Chmielnicki porwał się na równe nogi.

— Krzeczowski? pułkownik rejestrowych perejasławskich?

— On sam, jasnie wielmożny hetmanie! — odpowiedzieli dragani.

Chmielnicki zwrócił się do otaczających go pułkowników:

— W pochód! — zakomenderował grzmiącym głosem.

W niespełna godzinę później, tabor ruszył naprzód, chociaż słońce już zachodziło i noc nie obiecywała być pogodną. Jakieś straszne, rude chmuryńska porozwalały się na zachodniej stronie nieba, podobne do smoków, do lewiatanów, i zbliżały się ku sobie, jakby chcąc stoczyć walkę.

Tabor posuwał się w lewo, ku brzegowi Dniepru. Szli teraz cicho, bez pieśni, bez bicia w kotły, w litaury, i szybko, o ile pozwalały im trawy, tak bujne w tej okolicy, że pogrążone w nich pułki chwilami traciły się z oczu, a różnobarwne chorągwie zdawały się same płynąć po stepie. Jazda torowała drogę wozom i piechocie, które postępując z trudnością, wkrótce pozostały znacznie w tyle. Tymczasem noc pokryła stepy. Ogromny czerwony księżyc wytoczył się zwolna na niebo, ale przesłaniany co chwila chmurami, rozpalał się i gasł, jak lampa, tłumiona powiewami wiatru.

Było już dobrze z północy, gdy oczom kozaków i Tatarów ukazały się czarne olbrzymie masy, odrzynające się wyraźnie na ciemnem tle nieba.

Były to mury Kudaku.

Podjazdy, zakryte ciemnością, zbliżyły się pod zamek tak ostrożnie i cicho, jak wilcy lub ptactwo nocne. A nuż możnaby ubiedz niespodzianie senną fortecę!

Ale nagle błyskawica na wałach rozdarła ciemności, huk straszliwy wstrząsnął skałami Dniepru, i kula ognista, zatoczywszy jaskrawy łuk na niebie, upadła w trawy stepowe.

Posępny cyklop Grodzicki dawał znać, że czuwa.

— Pies jednooki! — mruknął do Tuhaj - beja Chmielnicki — widzi w nocy.

Kozacy pominęli zamek — o którego wzięciu w chwili, gdy przeciw nim samym ciągnęły wojska koronne, nie mogli myśleć — i ruszyli dalej. Ale pan Grodzicki walił za nimi z dział, aż się mury zamkowe trzęsły, nietyle, by im szkody przyczynić, gdyż przechodzili w znacznej odległości, ale by ostrzedz wojska nadpływające Dnieprem, które mogły znajdować się już niedaleko.

Przedewszystkiem jednak, huk dział kudackich odbił się w sercu i uszach pana Skrzetuskiego. Młody rycerz, prowadzony z rozkazu Chmiela z taborem kozackim, drugiego dnia zachorował ciężko. W walce na Chortycy nie otrzymał on wprawdzie żadnej śmiertelnej rany, ale utracił tyle krwi, że niewiele w nim życia zostało. Rany jego, opatrzone po kozacku przez starego kantarzeja, otworzyły się, owdąnęła nim gorączka, i nocy owej leżał wpół przytomny

na kozackiej teledze, nie wiedząc o świetle Bożym. Zbudziły go dopiero działa kudackie. Roztworzył oczy, podniósł się na wozie i począł rozglądać się naokoło. Kozacki tabor przemykał się w ciemnościach, jak korowód mar, a zamek huczał i świecił różowymi dymami; kule ogniste podskakiwały po stepie, charkocząc i warcząc, jak psy rozzłoszczone, więc na ten widok taka żałość, taka tęsknota ogarnęły pana Skrzetuskiego, że gotów był i umrzeć zaraz, byle choć duszą ulecieć do swoich. Wojna! wojna! a oto on w obozie wrogów, bezbronny, chory, z woza niemogący się podnieść. Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, on zaś nie leci jej ratować! A tam, w Łubniach, wojska pewno już ruszają. Księżę z błyskawicami w oczach lata przed szeregami, a w którą stronę buławą skinie, tam wnet trzysta kopii, jakby trzysta gromów uderzy. Tu rozmaite znajome twarze zaczęły namiestnikowi stawać przed oczy. Mały Wołodyjowski leci na czele draganów ze swoją cienką szabelką w ręku, ale to fechtmistrz nad fechtmistrze, z kim ją skrzyżuje, ten jakby leżał w mogile; tam znów pan Podbięta wznosi swój katowski zerwikaptur! Zetnie trzy głowy, czy nie zetnie? Książd Jaskółski ogania chorągwie i modli się z rękoma do góry, lecz to dawny żołnierz, więc nie mogąc wytrzymać, huknie czasem: „Bij, zabij!“ A owo pancerni kładą już glewie w pól końskiego ucha, pułki ruszają naprzód, rozpędzają się, pędzą, bitwa, zawierucha!

Nagle widzenie się zmienia. Przed namiestnikiem staje Helena, blada, z rozpuszczonym włosiem, i woła: „Ratuj, bo mnie Bohun goni!“ Pan Skrzetuski

zrywa się z wozu, aż jakiś głos, ale już rzeczywisty, mówi do niego:

— Leż-że, *detyno*, bo zwiążę.

To esaul taborowy, Zachar, któremu Chmielnicki kazał pilnować namiestnika, jak oka w głowie, układa go napowrót na wozie, okrywa końską skórą i pyta jeszcze:

— Szczo s toboju?

Więc pan Skrzetuski przytomnieje zupełnie. Mary pierzchają. Wozy ciągną samym brzegiem dniewowym. Chłodny powiew dochodzi od rzeki i noc blednie. Ptactwo wodne rozpoczyna gwar poranny.

— Słuchaj Zachar! to my już minęli Kudak? — pyta pan Skrzetuski.

— Minęli! — odpowiada Zaporozec.

— A dokąd ciągniecie?

— Ne znaju. Bitwa, kaže, bude, ale ne znaju.

Na te słowa serce uderzyło radośnie w piersiach pana Skrzetuskiego. Sądził on, że Chmielnicki będzie oblegał Kudak i że od tego wojnę zacznie. Tymczasem pośpiech, z jakim kozacy szli naprzód, pozwalał wnosić, że wojska koronne były już blisko, i że właśnie Chmielnicki dlatego pominął fortecę, by nie być zmuszonym do bitwy pod jego działami. „Dziś jeszcze może wolny będę” — pomyślał namiestnik i wzniósł oczy dziękczynnie ku niebu.

ROZDZIAŁ XIV.

Huk dział kudackich słyszały również wojska, płynące bajdakami pod wodzą starego Barabasza i Krzeczowskiego.

Składały się one z sześciu tysięcy kozaków regestrowych i jednego regimentu wybornej piechoty niemieckiej, której pułkownikował Hans Flik.

Pan Mikołaj Potocki długo się wahał, nim kozaków przeciw Chmielnickiemu wyprawił, ale że Krzeczowski miał na nich wpływ ogromny, a Krzeczowskiemu hetman ufał bez granic, więc tylko semenom kazał przysięgę wierności złożyć — i wyprawił ich w imię Boże.

Krzeczowski, żołnierz pełen doświadczenia i wielce w poprzednich wojnach wsławiony, był klientem domu Potockich, którym wszystko zawdzięczał, i pułkownikostwo, i szlachectwo, gdyż mu je na sejmie wyrobili, i nakoniec obszerne posiadłości, położone przy zbiegu Dniestru i Ladawy, które dożywotnio od nich trzymał.

Tyle tedy węzłów łączyło go z Rzplitą i z Potockimi, że cień nienfności nie mógł zrodzić się w duszy hetmańskiej. Był to przytem człowiek w sile dni, bo zaledwie pięćdziesiąt lat liczący — i wielka

przyszłość otwierała się przed nim na usługach krajowi. Niektórzy chcieli w nim widzieć następcę Stefana Chmieleckiego, który, rozpoczynawszy zawód jako prosty rycerz stepowy, skończył go jako wojewoda kijowski i senator Rzplitej. Od Krzeczowskiego zależało pójść tą samą drogą, na którą pchało go męstwo, dzika energia i niepohamowana ambicya, głodna zarówno bogactw, jak i dostojenstw. Gwoli tej to ambicyi, silnie przed niedawnym czasem zabiegał o starostwo Lityńskie, a gdy nakoniec otrzymał je pan Korbut, Krzeczowski głęboko zakopał w sercu zawód, ale prawie że odchorował z zawiści i zmartwienia. Teraz zdawał mu się los nanowo uśmiechać, gdyż otrzymawszy od hetmana w. tak ważną funkcję wojskową, śmiało mógł liczyć, że imię jego odbije się o uszy królewskie. A było to rzeczą ważną, bo następnie należało tylko pokłonić się panu, aby otrzymać przywilej z miłemi duszy szlacheckiej słowami: „Bił nam czołom i prosił, szczob jeho podaryty, a my, pomniawszy jeho usługi, dajem“ etc. Tą drogą zdobywało się na Rusi bogactwa i dobrodziejstwa; tą drogą ogromne obszary pustych stepów, które przedtem należały do Boga i Rzplitej, przechodziły w ręce prywatne; tą drogą chudopachołek na pana wyrastał i mógł krzepić się nadzieją, że potomkowie jego między senatory zasiądą.

Krzeczowskiego gryzło jeno to, że w owej powierzonej mu funkcyi musiał dzielić władzę z Barabaszem, ale był to podział tylko nominalny. W rzeczywistości, stary pułkownik czerkaski, zwłaszcza w ostatnich czasach, tak się postarzał i zgrzybiał, że już ciałem jedynie do tej ziemi należał, a dusza jego i umysł pogrążone były ustawicznie w odrętwieniu

^{apathy}
i martwocie, które zwykle śmierć prawdziwą poprze-
dzają. Z początku wyprawy rozbudził się i począł się
krzątać dość raźnie, rzekłbyś na odgłos surm wojen-
nych stara żołnierska krew poczęła w nim krążyć sil-
niej, bo był to przecie czasu swego wsławiony rycerz
i wódz stepowy; ale zaraz po wyruszeniu, ukołysał go
plusk wioseł, uspiły pieśni semenów i łagodny ruch baj-
daków, więc zapomniał o świetle Bożym. Krzczowski
wszystkiem rządził i zawiadował, Barabasz zaś budził
się tylko do jedzenia; najadłszy się, pytał ze zwy-
czaju o to i owo — zhywano go ładająką odpowiedzią,
wkońcu wzdychał i mawiał: „Ot, radby ja z inną
wojną do mogiły się kłaść, ale wola Boża!”

Tymczasem łączność z wojskiem koronnem, idą-
cem pod wodzą Stefana Potockiego, była odrazu prze-
rwana. Krzczowski narzekał, że husarya i draga-
nia zawolno idą, że nadto u przepraw marudzą, że mło-
dy syn hetmański nie ma wojskowego doświadczenia,
ale z tem wszystkiem kazał wiosłować i płynął naprzód.

Bajdaki płynęły więc z brzegiem dniewowym
ku Kudakowi, oddalając się coraz bardziej od wojsk
koronnych.

Nareszcie pewnej nocy zasłyszano huk dział.

Barabasz spał i nie obudził się — natomiast
Flik, który płynął naprzód, wsiadł w podjazdkę i udał
się do Krzczowskiego.

— Mości pułkowniku — rzekł — to kudackie
armaty! Co mam czynić?

— Zatrzymaj waść bajdaki. Zostaniemy przez
noc w oczeretach!

— Chmielnicki widocznie zamek oblega. Mojem
zdaniem, należałoby pośpieszyć z odsieczą.

— Ja waści o zdanie nie pytam, jeno rozkaz daję. Przy mnie komenda.

— Mości pułkownik!...

— Stać i czekać! — rzekł Krzeczowski.

Ale widząc, że energiczny Niemiec szarpie swoją żółtą brodę i ustępować bez racji nie myśli, dodał łagodniej:

— Kasztelan do jutra rana może z jazdą nadciągnąć, a fortecy przez jedną noc nie wezmą.

— A jeśli nie nadciągnie?

— Będziemy czekali choćby dwa dni. Waść nie znasz Kudaku! Połamią oni sobie zęby o jego mury, a ja bez kasztelana na odsiecz nie będę ciągnął, bo i prawa do tego nie mam. Jego to rzecz.

Wszelka słuszość zdawała się być po stronie Krzeczowskiego, więc Flik nie nalegał dłużej i oddalił się do swoich Niemców. Po chwili bajdaki poczęły zbliżać się ku prawemu brzegowi i zasuwać w oczerety, które więcej niż na staje pokrywały szeroko w tem miejscu rozlaną rzekę. Nakoniec plusk wiosel ustał, statki skryły się całkowicie w szuwarach, a rzeka zdawała się być pustą zupełnie. Krzeczowski zakazał palenia ognia, śpiewania pieśni i rozmów, więc okolicę zaległa cisza, przerywana tylko dalekim odgłosem dział kuckich.

Wszelako na statkach nikt, prócz jednego Barabasza, nie zmrużył oka. Flik, człowiek rycerski i boju chciwy, chciałby ptakiem lecieć pod Kudak. Semenowie pytali się siebie zcicha: co też się może zdarzyć z fortecą? Wytrzyma, czy nie wytrzyma? A tymczasem huk wzrastał się coraz bardziej. Wszyscy byli przekonani, że zamek odpiera szturm gwał-

towny. „Chmiel nie żartuje, ale i Grodzicki nie żartuje!“ — szepotali kozacy. A co to będzie jutro?

To samo pytanie zadawał sobie prawdopodobnie Krzeczowski, który, siadłszy na przodzie swego bajdaku, zamyślił się głęboko. Chmielnickiego znał on dobrze i dawno, uważał go zawsze aż dotąd za człowieka nadzwyczajnych zdolności, któremu tylko pola brakło, by wyleciał jak orzeł w górę, a teraz Krzeczowski zwątpił o tem. Działa grzmiąły ciągle, a zatem chyba Chmielnicki naprawdę Kudak oblega?

— Jeśli tak jest — myślał Krzeczowski — to jest człowiek zgubiony!

Jak to? więc podniósłszy Zaporozie, zapewniwszy sobie pomoc chanową, zebrawszy siły, jakimi żaden z watażków dotychczas nie rozporządzał, zamiast iść co najspieszniej na Ukrainę, zamiast pobudzić czerń, przeciągnąć grodowych, zgnieść co prędzej hetmanów i opanować cały kraj, nimby na obronę jego nowe wojska nadeszły, on, Chmielnicki, on, stary żołnierz, szturmuje do niezdobytej fortecy, która przez rok może go trzymać? I pozwoli na to, by najlepsze siły jego tak rozbiły się o mury Kudaku, jak fala dniewowa rozbija się o skały porohów? I będzie czekał pod Kudakiem, aż się hetmani wzmocnią i oblegną go, jak Nalewajkę pod Sołonicą?...

— To człowiek zgubiony! — powtórzył raz jeszcze pan Krzeczowski. — Właśni kozacy go wydadzą. Nieudały szturm wywoła zniechęcenie i popłoch. Iskra buntu zagaśnie w samym zarodku, a Chmielnicki nie będzie straszniejszy niż miecz, który się ułamał przy rękojeści.

To głupiec!

— Ergo? — pomyślał pan Krzeczowski — ergo jutro wysadzę na brzeg moich semenów i Niemców, a następnej nocy na osłabionego szturmami niespodziewanie uderzę, Zaporozców w pień wytnę, a Chmielnickiego związanego pod nogi hetmańskie rzucę. Jego to własna wina, bo mogło się zdarzyć inaczej!

Tu rozkiełznana ambicya pana Krzeczowskiego wzbiła się na sokolich skrzydłach w górę. Wiedział on dobrze, że młody Potocki żadną miarą do jutrzejszej nocy przyciągnąć nie może, więc kto urwie głowę hydrze? Krzeczowski! Kto zgasi bunt, który straszliwym pożarem mógłby ogarnąć całą Ukrainę? Krzeczowski! Może stary hetman będzie krzyw trochę, że się to stanie bez udziału syna, ale się wysapie prędko, a tymczasem wszystkie promienie sławy i łaski królewskiej oświecą czoło zwycięzcy.

Nie! Trzeba się jednak będzie podzielić sławą ze starym Barabaszem i z Grodzickim! Pan Krzeczowski zasępił się mocno, ale wnet wypogodził się. Wszakże tę starą kłodę, Barabasza, lada dzień zakopią w ziemię, a Grodzicki, byle mógł w Kudaku siedzieć i Tatarów kiedy niekiedy z dział przepłoszyć, niczego więcej nie pragnie; pozostaje jeden Krzeczowski.

Byle hetmaństwo ukraińne mógł otrzymać!

Gwiazdy migotały na niebie, a pułkownikowi zdawało się, że to klejnoty w buławie; wiatr szumiał w oczeretach, a jemu zdało się, że to szumi buńczuk hetmański.

Działa Kudaku grzmiały ciągle.

— Chmielnicki da gardło pod miecz — myślał dalej pułkownik — ale to jego własna wina! Mogło być inaczej! Gdyby poszedł odrazu na Ukrainę!...

mogło być inaczej! Tam wre i huczy wszystko, tam leżą prochy, czekające tylko na iskrę. Rzeczpospolita jest potężna, ale na Ukrainie sił niema, a król niemłody, schorowany.

Jedna wygrana przez Zaporozców bitwa, spowodowała nieobliczone skutki...

Krzeczowski ukrył twarz w dłoniach i siedział nieruchomy, a tymczasem gwiazdy staczały się niżej i niżej, i zachodziły zwolna na step. Przepiórki, ukryte w trawach, poczęły się nawoływać. Niezadługo miało zaświtać.

Nakoniec rozmyślania pułkownika skrzepły w niewzruszony zamiar. Jutro uderzy na Chmielnickiego i zetrze go w proch. Po jego trupie dojdzie do bogactw i dostojęństw, stanie się narzędziem kary w ręku Rzeczypospolitej, jej obrońcą, w przyszłości jej dygnitarzem i senatorem. Po zwycięstwie nad Zaporozem i Tatarami nie odmówią mu niczego.

A jednak—nie dano mu starostwa Lityńskiego.

Na to wspomnienie Krzeczowski ścisnął pięście. Nie dano mu starostwa, mimo potężnego wpływu jego protektorów, Potockich, mimo jego zasług wojennych, dlatego tylko, że był *h o m o n o v u s*, a jego przeciwnik od kniaziów ród wywodził. W tej Rzeczypospolitej niedość było zostać szlachcicem, należało jeszcze czekać, by to szlachectwo pokryło się pleśnią, jak wino, by zardzewiało, jak żelazo.

Chmielnicki jeden mógł zaprowadzić nowy porządek rzeczy, któremu bodaj że i sam królby sprzyjał—ale nieszczęśnik, wolał oto rozbijać głowę o skały kudackie!

Pułkownik uspokajał się zwolna. Odmówili mu raz starostwa—cóż z tego? Tembardziej będą się starali

go wynagrodzić, zwłaszcza po zwycięstwie, po zgaszeniu buntu, po uwolnieniu od wojny domowej Ukrainy, ba! całej Rzplitej! Wówczas niczego mu nie odmówią, wówczas nie będzie potrzebował nawet i Potockich...

Senna głowa schyliła się na piersi — i usnął, marząc o starostwach, o kasztelaniach, o nadaniach królewskich i sejmowych.

Gdy się zbudził, był brzask. Na bajdakach spało jeszcze wszystko. W dali połyskiwały w bladym, róż-pierzchłym świetle wody dniewprowe. Naokoło pano-wała absolutna cisza. Ta właśnie cisza zbudziła go.

Działa kudackie przestały huczeć.

— Co to? — pomyślał Krzeczowski! — Pierwszy szturm odparty, czy może Kudak wzięty?

Ale to niepodobna!

Nie! poprostu zbici kozacy leżą gdzieś zdala od zamku i rany liżą, a jednooki Grodzicki spogląda na nich przez strzelnicę, rychtując nanowo działa.

Jutro szturm powtórzą i znowu zęby połamią.

Tymczasem rozedniało. Krzeczowski zbudził lu-dzi na swym bajdaku i posłał czółno po Flika.

Flik przybył niebawem.

— Mości pułkownik! — rzekł mu Krzeczowski — jeśli do wieczora kasztelan nie nadciągnie, a z nocą szturm się powtórzy, ruszymy fortecy w pomoc.

— Moi ludzie gotowi — odparł Flik.

— Rozdaj-że im prochy i kule.

— Rozdane.

— W nocy wysiądziemy na brzeg i ruszymy jak najciszej stepem. Zejdziemy ich niespodzianie.

— Gut! sehr gut! ale czyby się nie przysunąć trochę bajdakami? Do fortecy mil ze cztery. Trochę daleko dla piechoty.

— Piechota siądzie na konie semenów.

— Sehr gut!

— Ludzie niech leżą cicho w sitowiach, na brzeg nie wychodzą i hałasu nie sprawują. Ogniów nie palić, bo dymyby nas zdradziły. Nie powinni o nas wiedzieć.

— Mgła taka, że i dymów nie ujrzą.

Rzeczywiście rzeka, łacha, porośla oczeretem, w której stały bajdaki, i stepy były pokryte, jak okiem sięgnąć, białym nieprzeniknionym tumanem. Ale że był to dopiero świt, więc mgły mogły jeszcze opaść i odsłonić stepowe przestrzenie.

Flik odjechał. Ludzie na bajdakach budzili się zwolna; wnet ogłoszono rozkazy Krzeczowskiego, by się zachować cicho — więc zabierali się do rannego posiłku bez żołnierskiego gwaru. Ktoby przechodził brzegiem lub płynął środkiem rzeki, aniby się domyślił, że w przyległej łasze ukrywa się kilka tysięcy ludzi. Koniom dawano jeść z ręki, by nie rżały. Bajdaki, zakryte mgłą, leżały przyczajone w lesie szuwarów. Gdzieniegdzie tylko przemykała się mała „pidjizdka“ o dwóch wiosłach, rozwożąca suchary i rozkazy, zresztą wszędzie panowało grobowe milczenie.

Nagle w trawach, trzcinach, szuwarach i zarostach przybrzeżnych, naokoło całej łachy, rozległy się dziwne, a bardzo liczne głosy, wołające:

— Pugu! pugu!

Cisza...

— Pugu! pugu!

I znowu nastało milczenie, jak gdyby owe głosy, wołające na brzegach, oczekiwały na odpowiedź.

Ale odpowiedzi nie było. Wołania zabrzmiały po raz trzeci, ale szybsze i niecierpliwsze.

— Pugu! pugu!

Wówczas od strony statków rozległ się wśród mgły głos Krzeczowskiego:

— A kto taki?

— Kozak z Ługul

Semenom, ukrytym na bajdakach, serca zabiły niespokojnie. Tajemnicze owo wołanie było im znane dobrze. W ten sposób Zaporozcy porozumiewali się z sobą na zimowiskach, w ten także sposób w czasie wojen zapraszali na rozmowę braci kozaków rejestrowych i grodowych, między którymi bywało wielu należących sekretnie do bractwa.

Głos Krzeczowskiego rozległ się znowu:

— Czego chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski, oznajmia, że działa na łachę są obrócone.

— Powiedzcie hetmanowi zaporoskiemu, że nasze obrócone na brzegi.

— Pugu! pugu!

— Czego jeszcze chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski, prosi na rozmowę swojego przyjaciela, pana Krzeczowskiego pułkownika.

— Niech jeno da zakładników.

— Dziesięciu kurzeniowych.

— Zgoda!

W tej chwili brzegi łachy zakwitły, jakby kwieciami, Zaporozcami, którzy popowstawali z pośród traw, między którymi leżeli ukryci. Zdala od stepów nadciągała ich konnica i armaty, ukazały się dziesiątki i setki chorągwi, znamion, buńczuków. Szli ze śpiewaniem i biciem w kotły. Wszystko to razem

podobniejsze było do radosnego powitania, niż do zetknięcia się wrogich potęg.

Semenowie z bajdaków odpowiedzieli okrzykami. Tymczasem przybyły czółna, wiozące atamanów kurzeniowych. Krzczowski wsiadł w jedno z nich i odjechał na brzeg. Tam podano mu konia i przeprowadzono natychmiast do Chmielnickiego.

Chmielnicki, ujrawszy go, uchylił czapki, a następnie powitał go serdecznie.

— Mości pułkowniku — rzekł — stary przyjacielu mój i kumie! Gdy pan hetman koronny kazał ci mnie łapać i do obozu odstawić, tyś tego uczynić nie chciał, jeno mnie ostrzegłeś, bym się ucieczką salwował, dla którego postępku winienem ci wdzięczność i miłość braterską!

To mówiąc, rękę uprzejmie wyciągał, ale czarniawa twarz Krzczowskiego pozostała jak lód zimna.

— Teraz zaś, gdyś się wyratował, mości hetmanie — rzekł — rebelię podniosłeś.

— O swoje to, twoje i całej Ukrainy krzywdy idę się upominać, z przywilejami królewskimi w ręku i w tej nadziei, że nasz pan miłościwy za złe mi tego nie poczyta.

Krzczowski począł patrzeć bystro w oczy Chmielnickiemu i rzekł z przyciskiem:

— Kudak oblegałeś?

— Ja? Chybabym był z rozumu obran! Kudak minąłem i anim wystrzelił, choć mnie stary ślepiec armatami oznajmiał. Mnie na Ukrainę było pilno, nie do Kudaku, i do ciebie było pilno, do starego druha, dobrodzieja.

— Czego tedy ode mnie chcesz?

— Jedź ze mną trochę w step, to się rozmówim.

Ruszyli końmi i pojechali. Bawili z godzinę. Po powrocie, twarz Krzeczowskiego była biała i straszna. Wnet też zaczął żegnać się z Chmielnickim, który rzekł mu na drogę:

— Dwóch nas będzie na Ukrainie, a nad nami jeno król i nikt więcej.

Krzeczowski wrócił do bajdaków. Stary Barabasza, Flik i starszyzna oczekiwali go niecierpliwie.

— Co tam? co tam? — pytano go ze wszystkich stron.

— Wysiadać na brzeg! — odpowiedział rozkazującym głosem Krzeczowski.

Barabasza podniósł senne powieki; jakiś dziwny płomień błysnął mu w oczach.

— Jak to? — rzekł.

— Wysiadać na brzeg, poddajem się!

Fala krwi buchnęła na białą i pożółkłą twarz Barabasza. Wstał z kotła, na którym siedział, wyprostował się i nagle ten zgięty, zgrzybiały starzec zmienił się w olbrzyma, pełnego życia i siły.

— Zdrada! — ryknął.

— Zdrada! — powtórzył Flik, chwytając za rękojeść rapira.

Ale nim go wydobył, pan Krzeczowski świsnął szablą i jednym zamachem rozciągnął go na pomoście.

Następnie skoczył z bajdaku w podjazdnię tuż stojącą, w której siedziało czterech Zaporozców z wiosłami w ręku — i krzyknął:

— Między bajdaki!

Cóżno pomknęło jak strzała, pan Krzeczowski zaś, stojąc w środku, z czapką na okrwawionej szablą, z oczyma jak płomienie, krzyczał potężnym głosem:

— Dzieci! nie będziem swoich mordować! Niech żyje Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski!

— Niech żyje! — powtórzyły setne i tysięczne głosy.

— Na pohybel Lachom!

— Na pohybell

Wrzaskom z bajdaków odpowiedziały okrzyki Zaporozców na brzegach. Ale wielu ludzi ze statków, stojących dalej, nie wiedziało jeszcze o co chodzi, dopiero gdy wszędzie rozbiegła się wieść, że pan Krzeczowski przechodzi do Zaporozców, prawdziwy szal radości ogarnął semenów. Sześć tysięcy czapek wyleciało w górę, sześć tysięcy rusznic huknęło wystrzałami. Bajdaki zatrzęsły się pod stopami mołojców. Powstał tumult i zamieszanie. Wszelako radość owa musiała być krwią oblana, bo stary Barabasz wolał ginąć, niż zdradzić chorągiew, pod którą wiek życia przesłużył. Kilkudziesięciu ludzi czerkas-
kich opowiedziało się przy nim i wszczęła się bitwa krótka, straszna — jak wszystkie walki, w których garść ludzi, pożądająca nie łaski, ale śmierci, broni się tłumom. Ani Krzeczowski, ani nikt z kozaków nie spodziewał się takiego oporu. W starym pułkowniku rozbudził się dawny lew. Na wezwania, by broń złożył, odpowiedział strzałami — i widziano go z buławą w ręku, z rozwianymi białymi włosami, wydającego rozkazy grzmiącym głosem i z młodzieńczą energią. Statek jego otoczono ze wszystkich stron. Ludzie z tych bajdaków, które nie mogły się docisnąć, wskakiwali w wodę i płynąc lub brodząc między oczeretami, chwytając następnie za krawędź statku, wdzierali się nań ze wściekłością. Opór był krótki. Wierni Barabaszowi semenowie, skłóci, zrąbani

*złoty zabytek
(wypis)*

lub porozrywani rękoma, zalegli trupem pomost — stary z szablą w ręku bronił się jeszcze.

Krzeczowski przedarł się ku niemu.

— Poddaj się! — krzyknął.

— Zdrajco! na pohybel! — odparł Barabasz i wzniosł szablę do cięcia.

Krzeczowski cofnął się szybko w tłum.

— Bij! — zawołał do kozaków.

Ale zdawało się, że nikt nie chce pierwszy podnieść ręki na starca. Na nieszczęście jednak pułkownik pośliznął się we krwi i upadł.

Leżący nie wzbudzał już tego szacunku, czy też przestachu, i wnet kilkanaście ostrzy pogrążyło się w jego ciało. Starzec zdołał tylko wykrzyknąć: „Jezus Maryja!”

Zaczęto siekać leżącego i rozsiekano w kawałki. Uciętą głowę przerzucano z bajdaku do bajdaku, bawiąc się nią, jak piłką, dopóty, dopóki po niezręcznem rzuceniu nie wpadła w wodę.

Pozostawali jeszcze Niemcy, z którymi trudniejsza była sprawa, bo regiment składał się z tysiąca starego i wyćwiczonego w różnych wojnach żołnierza.

Dzielny Flik poległ wprawdzie z ręki Krzeczowskiego, ale na czele regimentu pozostał Johann Werner, podpułkownik, weteran jeszcze z trzydziestoletniej wojny.

Krzeczowski pewny był prawie zwycięstwa, gdyż bajdaki niemieckie były otoczone ze wszystkich stron kozackimi, chciał jednak zachować dla Chmielnickiego tak znaczny zastęp nie zrównanej i doskonale uzbrojonej piechoty, dlatego wołał z nimi rozpocząć układy.

Zdawało się przez jakiś czas, że Werner zgadza się na nie, gdyż rozmawiał spokojnie z Krzeczowskim i słuchał uważnie wszelkich obietnic, jakich mu przemieszczał pułkownik nie szczędził. Żołd, z którym Rzplita była zaległa, miał być natychmiast za ubiegły czas i za rok jeszcze z góry wypłacony. Po roku knechtowie mogli się udać, gdzieby chcieli, choćby nawet do obozu koronnego.

Werner niby namyślał się, ale tymczasem wydał cicho rozkazy, by bajdaki przysunąć do siebie, tak, aby utworzyły jedno zwarte koło. Na okręgu tego koła stanął mur piechurów, ludzi rosłych i silnych, przybranych w żółte kolety i takiejże barwy kapelusze, w zupełnym szyku bojowym, z lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału i z muszkietami przy prawym boku.

Werner z obnażoną szpadą w ręku stał w pierwszym szeregu i namyślał się długo.

Nakoniec podniósł głowę:

— Herr Hauptman! zgadzamy się.

— Nie straciecie na nowej służbie! — zawołał z radością Krzeczowski.

— Ale pod warunkiem...

— Zgadzam się z góry.

— Jeśli tak, to i dobrze. Nasza służba u Rzeczypospolitej kończy się w czerwcu. Od czerwca pójdziemy do was.

Przekleństwo wyrwało się z ust Krzeczowskiego; powstrzymał jednak wybuch.

— Czy kpisz, mości lejtnancie? — spytał.

— Nie! — odparł z flegmą Werner. — Nasza cześć żołnierska każe nam układowi dotrzymać. Służba kończy

się w czerwcu. Służymy za pieniądze, ale nie jesteśmy zdrajcami. Inaczej niktby nas nie najmował, a i wy sami nie ufalibyście nam, bo ktoby wam ręczył, że w pierwszej bitwie nie przejdziemy znowu do hetmanów?

— Czego tedy chcecie?

— Byście nam dali odejść.

— Nie będzie z tego nic, szalony człowieczel
Każe was w pień wyciąć.

— A ilu swoich stracisz?

— Noga z was nie ujdzie!

— Połowa z was nie zostanie.

Obaj mówili prawdę, dlatego Krzeczowski, chociaż flegma Niemca wzburzyła w nim wszystką krew, a wściekłość poczyniała go dławić, nie chciał jeszcze rozpoczynać bitwy.

— Nim słońce zejdzie z łąchy — zawołał — namyślcie się, poczem każe cyngłów ruszać!

I odjechał pośpiesznie w swojej podjazdce, by się z Chmielnickim naradzić.

Nastała chwila oczekiwania. Bajdaki kozackie otoczyły ciasniejszym pierścieniem Niemców, którzy zachowywali chłodną postawę, jaką tylko stary i bardzo wyćwiczony żołnierz zdoła zachować wobec niebezpieczeństwa. Na groźby i obelgi, wybuchające co chwila z kozackich bajdaków, odpowiadali pogardliwym milczeniem. Był to prawdziwie imponujący widok tego spokoju wśród coraz silniejszych wybuchów wściekłości ze strony mołojców, którzy, potrząsając groźnie spisami i „piszczelami,” zgrzytając zębem i klnąc, oczekiwali niecierpliwie hasła do boju.

Tymczasem słońce, skręcając od południa ku

zachodniej stronie nieba, zdejmowało z wolna swoje złote blaski z łachy, która stopniowo pogrążała się w cieniu.

Nakoniec pogrążyła się zupełnie.

Wówczas zagrała trąbka, a zaraz potem głos Krzczowskiego ozwał się zdaleka:

— Słońce zeszło! czy już namyśliliście się?

— Już! — odparł Werner, i zwróciwszy się ku żołnierzom, machnął obnażoną szpadą.

— Feuer! — zakomenderował spokojnym, flegmatycznym głosem.

Huknęło. Plusk ciał wpadających do wody, okrzyki wściekłości i gorączkowa strzelanina odpowiadały na głos niemieckich muszkietów. Armaty zatoczone na brzeg ozwały się basem i poczęły ziać kule na niemieckie bajdaki. Dymy przysłoniły łachę zupełnie — tylko wśród krzyków, huku, poświstu strzał tatarskich, grzechotania „piszczeli“ i samopalców, regularne salwy muszkietów zwiastowały, że Niemcy bronią się ciągle.

O zachodzie słońca bitwa wrzała jeszcze, ale zdawała się słabnąć. Chmielnicki, w towarzystwie Krzczowskiego, Tuhaj-beja i kilkunastu atamanów, przyjechał na sam brzeg rekognoskować walkę. Rozdęte jego nozdrza wciągały dym z prochu, a uszy napawały się z lubością wrzaskiem tonących i mordowanych Niemców. Wszyscy trzej wodzowie patrzali na rzeź, jakby na widowisko, które zarazem stanowiło pomyślną dla nich wróżbę.

Walka ustawała. Wystrzały umilkły, a natomiast coraz głośniejsze okrzyki kozackiego tryumfu biły o niebo.

— Tuhaj-beju! — rzekł Chmielniecki — to dzień pierwszego zwycięstwa.

— Jasyru niema! — odburknął murza — nie chcę takich zwycięstw!

— Weźmiesz go na Ukrainie! Cały Stambuł i Galatę napelnisz swymi jeńcami! *impr.*

— Wezmę choć ciebie, jak nie będzie kogo!

To rzekłszy, dziki Tuhaj roześmiał się złowrogo, po chwili zaś dodał:

— Jednakże chętnie byłbym wziął tych „Franków.“

Tymczasem bitwa ustała zupełnie. Tuhaj-bej zawrócił konia ku obozowi, a za nim i inni.

— No! teraz na Żółte Wody! — zawołał Chmielnicki.

ROZDZIAŁ XV.

Namiestnik, słysząc bitwę, wyczekiwał ze drżeniem jej końca, sądząc początkowo, że Chmielnicki potyka się ze wszystkimi siłami hetmanów.

Ale pod wieczór, stary Zachar wyprowadził go z błędu. Wieść o zdradzie semenów pod wodzą Krzeczowskiego i wycięciu Niemców wzburzyła do głębi duszy młodego rycerza, była bowiem zapowiedzią przyszłych zdrad, a namiestnik wiedział doskonale, że nie mała część wojsk hetmańskich składa się przeważnie z kozaków.

Udręczenia namiestnika wzrastały, a tryumf w zaporoskim obozie dorzucał do nich jeszcze goryczy. Wszystko zapowiadało się jak najgorzej. O księciu nie było wieści — a hetmani popełnili widocznie straszliwy błąd, gdyż zamiast ruszyć wszystką potęgą ku Kudakowi, albo zresztą czekać nieprzyjaciela w warownych obozach na Ukrainie, rozdzielili się, osłabili się dobrowolnie, dali szerokie pole wia-rolomstwu i zdradzie. W obozie zaporoskim mówiono wprawdzie już poprzednio o panu Krzeczowskim i o osobnem wysłaniu wojsk pod wodzą Stefana Potockiego, ale namiestnik nie dawał wiary tym wieściom. Sądził, że to są silne podjazdy, które

w porę będą cofnięte. Tymczasem stało się inaczej. Chmielnicki wzmocnił się przez zdradę Krzeczowskiego kilku tysiącami ludzi, a nad młodym Potockim zawisło straszliwe niebezpieczeństwo. Pozbawionego pomocy i zabłąkanego w pustyniach łatwo teraz mógł Chmielnicki otoczyć i zgnieść zupełnie.

W bolach od ran, w niepokoju, w czasie nocy bezsennych, pocieszał się Skrzetuski tylko myślą o księciu. Gwiazda Chmielnickiego musi przecie zblednąć, gdy księżę podniesie się w swoich Łubniach. A któż może wiedzieć, czy on już nie połączył się z hetmanem? Jakkolwiek znaczne były siły Chmielnickiego, jakkolwiek początki pochodu pomyślne, jakkolwiek szedł z nim Tuhaj-bej, a wrazie niepowodzenia obiecał ruszyć w pomoc sam „carz“ krymski, Skrzetuskiemu ani w głowie nie powstała myśl, by zawierucha mogła trwać długo, by jeden kozak mógł wstrząsnąć całą Rzplitą i złamać groźną jej siłę. U progów ukraiennych ta fala się rozbija—myślał namiestnik.—Jakże to bowiem kończyły się wszystkie bunty kozackie? Wybuchały jak płomień i gasły po pierwszym zetknięciu się z hetmanami. Tak było aż dotąd. Gdy z jednej strony stawało do boju gniazdo drapieżników niżowych, z drugiej po tęga, której brzegi oblewały dwa morza — rozwiązanie łatwe było do przewidzenia. Burza nie może być trwałą, więc przejdzie — i nastanie pogoda. Ta myśl krzepiła pana Skrzetuskiego i, można rzec, utrzymywała go na nogach, bo zresztą ciążyło na nim brzemień tak ciężkie, jakiego nigdy dotąd w życiu nie dźwigał. Burza choć przejdzie, może spustoszyć pola, zburzyć domy i naczynić szkód niepowetowanych. Oto z przyczyny tej burzy, on sam o mało życia nie stra-

cił, sił się zbawił i popadł w gorzką niewolę, właśnie wówczas, gdy mu na wolności tyle prawie, ile na samem życiu zależało. Jakże tedy od zawieruchy mogły uciepieć istoty słabsze, nieumiejące się bronić? Co tam działo się w Rozłogach z Heleną?

Ale Helena musiała być już w Łubniach. Namieśnik widywał ją we snach, otoczoną przez twarze życzliwe, przyhołubioną przez samego księcia i księżnę Gryzeldę, podziwianą przez rycerzy — a jeno tęskną po swoim usarzu, który gdzieś przepadł na Siczy. Ale przyjdzie wreszcie chwila, że usarz wróci. Oto sam Chmielnicki przyrzekł mu wolność — a zresztą fala kozacka płynie i płynie do progów Rzeczypospolitej; gdy się rozbije, będzie koniec zmartwieńiom, zgryzotom i niepokojom.

Fale płynęły rzeczywiście. Chmielnicki, nie zwłócząc, ruszył obóz i ciągnął na spotkanie syna hetmańskiego. Siła jego była już rzeczywiście groźną, bo razem z semenami Krzeczowskiego i czambułem Tuhajbeja, wiódł blisko 25,000 wyćwiczonych i boju chcących wojowników. O siłach Potockiego nie było pewnych wiadomości. Zbiegowie mówili, że prowadzi dwa tysiące ciężkiej jazdy i kilkanaście armatek. Bitwa w tej proporcji sił mogła być wątpliwą, bo jeden atak straszliwej husarii wystarczał często do zgniecenia dziesięćkroć liczniejszych zastępów. Tak Chodkiewicz, hetman litewski, w trzy tysiące husarzy starł czasu swego pod Kirchholmem na proch ośmnaście tysięcy wybranej piechoty i jazdy szwedzkiej; tak pod Kłuszy-nem jedna chorągiew pancerna w szalonej furji rozniosła kilka tysięcy angielskich i szkockich najemników. Chmielnicki pamiętał o tem, więc siedł, wedle

słów ruskiego kronikarza, zwolna i ostrożnie: „Mnogiemi umu swojego oczyma, jako łowiec chytry, na wszystkie strony poglądając i strażę na milę i dalej od obozu mając“ ¹⁾. Tak zbliżył się ku Żółtej Wodzie. Złapano znowu dwóch języków. Ci potwierdzili szczupłość sił koronnych i donieśli, iż kasztelan przeprawił się już przez Żółtą Wodę. Zasłyszawszy to, Chmielnicki stanął jak wryty na miejscu i okopał się wałami.

Serce biło mu radośnie. Jeżeli Potocki odważy się na szturm, tedy musi być pobity. Kozacy nie umieją dostać w polu pancernym, ale z za wału biją się doskonale i w tak wielkiej przewadze sił szturmują niechybnie odeprą. Chmielnicki liczył na młodość i niedoświadczenie Potockiego. Ale przy młodym kasztelanie był doświadczony żołnierz, starościc żywiecki, pan Stefan Czarniecki, pułkownik usarski. Ten spostrzegł niebezpieczeństwo i skłonił kasztelana, by cofnął się napowrót za Żółtą Wodę.

Chmielnickiemu nie pozostało nic innego, tylko ruszyć za nimi. Drugiego dnia, przeprawiwszy się przez topieliska żółtowodzkie, oba wojska stanęły sobie oko w oko.

Ale żaden z wodzów nie chciał uderzyć pierwszy. Nieprzyjazne obozy poczęły pośpiesznie otaczać się szancami. Była to sobota, dzień 5-ty maja. Cały dzień deszcz lał obficie. Chmury zawałyły tak niebo, iż od południa panował mrok, jakoby w dniu zimowym. Pod wieczór ulewa zwiększyła się jeszcze. Chmielnicki ręce zacierał z radości.

¹⁾ Samoił Weliczko, 62.

— Niech jeno step rozmięknie — mówił do Krzeczowskiego — nie będę się wahał wstępnym bojem i z usaryą się potykać, gdyż oni w swych ciężkich zbrojach w błocie potoną.

A deszcz padał i padał, jakby niebo chciało Zaporozu przyjść w pomoc.

Wojska okopywały się leniwie i posępnie, wśród strug wody. Ognia nie można było rozpaścić. Kilka tysięcy ordynców wyszło z obozu pilnować, aby tabor polski, korzystając z mgły, fali i nocy, nie próbował się wymknąć. Potem zapadła cisza głęboka. Słychać było tylko szelest ulewy i szum wiatru. Zapewne też nikt nie spał w obu obozach.

Nad ranem trąby zagrały w polskim obozie długo i żałośnie, jakby na trwogę, potem bębny tu i owdzie zaczęły warczeć. Dzień wstawał smutny, ciemny, wilgotny, nawałnica ustała, ale padał jeszcze drobny deszczyk, jakoby przesiewany przez sito.

Chmielnicki kazał uderzyć z działa.

Za niem wnet ozwało się drugie, trzecie, dziesiąte, i gdy z obozu do obozu zaczęła się zwykła z armat „korespondencya,” pan Skrzetuski rzekł do swego kozackiego anioła stróża:

— Zachar, wyprowadź mię na szaniec, abym zaś mógł widzieć co się dzieje.

Zachar sam był ciekawy, więc nie stawiał oporu. Poszli na wysoki narożnik, skąd widać było, jak na dłoni, zakłęsłą nieco dolinę stepową, topieliska żółtowodzikie i oba wojska. Ale zaledwie pan Skrzetuski spojrział, zaraz się uchwycił za głowę i wykrzyknął:

— Na Boga żywego! toż to jest podjazd, nic więcej.

Rzeczywiście wały obozu kozackiego rozciągały się blisko na ćwierć mili, gdy tymczasem polski wy-

glądał w porównaniu z nim, jak szanńczyk tylko. Nie-równość sił była tak wielka, że zwycięstwo kozaków nie mogło być wątpliwem.

Ból ścisnął serce namiestnika. Nie nadeszła więc jeszcze godzina upadku dla pychy i buntu, a ta, która nadejdzie, ma być nowym jego tryumfem! Tak się przynajmniej zdawało.

Harce pod ogniem dział były już rozpoczęte. Z narożnika widać było pojedynczych jeźdźców, albo gromadki ich, ścierające się z sobą. To Tatarzy harcowali z semenami Potockich, przybranymi w granatowe i żółte barwy. Jeźdźcy dopadali do siebie i odskakiwali szybko, zajeżdżali się wzajemnie z boków, godzili w siebie z pistoletów i łuków, lub włóczniami starali się chwycić wzajemnie na arkany. Utarczki owe wydawały się zdaleka raczej zabawą, i tylko konie, biegające tu i owdzie bez jeźdźców po błoni, wskazywały, że tam przecie chodzi o śmierć i życie.

Tatarów wysypywało się coraz więcej. Wkrótce błonie zaczęło się od zbitych ich mas; wówczas też i z obozu polskiego poczęły wysuwać się coraz nowe chorągwie i ustawiać się w szyku bojowym przed okopem. Było tak blisko, że pan Skrzetuski bystrym swym wzrokiem odróżnić mógł wyraźnie znaki, buńczuki, a nawet rotmistrzów i namiestników, którzy stawali końmi trochę bokiem przy chorągwiach.

Serce poczęło w nim skakać, na bladą twarz były rumieńce, i jak gdyby mógł znaleźć wdzięcznych słuchaczy w Zacharze i kozakach, stojących przy działach na narożniku, wołał z uniesieniem, w miarę jak chorągwie wysuwały się z za okopu:

— To dragania pana Bałabana, widziałem ich w Czerkasach!

— To wołoska chorągiew; krzyż mają w znaku!

— O! ono piechota zstępuje z wałów!

Potem jeszcze z większem uniesieniem, otworzywszy ręce:

— Usarya! usarya pana Czarnieckiego!

Istotnie ukazała się i husarya, nad nią chmura skrzydeł i sterczący w górę las włóczni, zdobnych w złotawe kitajki i w długie zielono-czarne proporce. Wyjechali szóstkami z okopu i ustawili się pod wałem, a na widok ich spokoju, powagi i sprawności, aż łyzy radosne ukazały się w oczach pana Skrzetuskiego i zaćmiły mu wzrok na chwilę.

Choć siły były tak nierówne, choć naprzeciwnie tych kilku chorągwi czerniała cała ława Zaporozców i Tatarów, którzy jak zwykle zajęli skrzydła, choć szyki ich tak rozciągnęły się po stepie, że końca ich trudno było dojrzeć, pan Skrzetuski wierzył już w zwycięstwo. Twarz mu się śmiała, siły wróciły, oczy wytężone na błonie strzelały ogniem, jeno na miejscu ustać nie mógł.

— Hej, *detyno!* — mruknął stary Zachar — chciałyby dusza do rajul

Tymczasem kilka luźnych oddziałów tatarskich z krzykiem i ałlahowaniem rzuciło się naprzód. Z obozu odpowiadano strzałami. Ale był to tylko postrach. Tatarzy, nie dobiegłszy nawet do polskich chorągwi, pierzchnęli na obie strony ku swoim i znikli w tłumie.

Wtem ozwał się wielki bęben siczowy, a na jego głos wnet olbrzymi półksiężyc kozacko-tatarski ruszył z kopyta naprzód. Chmielnicki próbował widocznie, czy jednym zamachem nie zdoła zgnieść owych chorągwi i zająć obozu. Wrazie popłochu byłoby to

możliwem. Wszelako nic podobnego nie okazywało się między polskimi chorągwiami. Stały one spokojnie, rozwinięte w dość długą linię, której tył zasłaniał okop, boki zaś działa taborowe, tak, że można było na nią uderzyć tylko z frontu. Przez chwilę zdawało się, że przyjmą bitwę na miejscu, ale gdy półksiężyc przebiegł już połowę błonia, ozwały się w okopie trąbki do ataku — i nagle płot kopii, sterczących aż do tąd ku górze, zniżył się odrazu do głów końskich.

— Usarya uderzał! — krzyknął pan Skrzetuski.

Jakoż pochylili się w siodłach i ruszyli naprzód, a zaraz za nimi dragańskie chorągwie i cała linia bojowa.

Uderzenie husarzy było straszne. W pierwszym impecie trafili na trzy kurzenie, dwa Steblowskie i Mirhorodzki — i starli je w mgnieniu oka. Wycie doszło aż do uszu pana Skrzetuskiego. Konie i ludzie, zwaleni z nóg olbrzymim ciężarem żelaznych jeźdźców, padli jak łan pod tchnieniem burzy. Opór trwał tak krótko, że Skrzetuskiemu zdało się, iż jakiś olbrzymi smok połknął jednym haustem te trzy pułki. A był to przecie najzaciętszy żołnierz siczowy. Prerażone szumem skrzydeł, konie zaczęły roznosić popłoch w szeregach zaporoskich. Pułki Irklejewski, Kałnibołocki, Miński, Szkuryński i Titorowski zmieszały się zupełnie, a naciskane przez masy pierzchających, jęły i same ustępować bezładnie. A tymczasem dragania dognała husarzy i rozpoczęła razem z nimi krwawe żniwo. Kurzeń Wasiuryński pierzchnął po zaciętych, ale krótkim oporze i gnał w dzikim popłochu aż do samych okopów kozackich. Środek sił Chmielnickiego chwiał się coraz bardziej

chmielnicki

i bity, spędzany w beładne gromady, cięty mieczami, party żelazną nawałą, nie mógł uchwycić chwili, by przystanąć i sprawić się nanowo.

— Czorty, ne Lachy! — krzyknął stary Zachar.

Skrzetuski był jakby w obłąkaniu. Chorym będąc, nie umiał panować nad sobą, więc śmiał się i płakał jednocześnie, a chwilami krzyczał słowa komendy, jakby sam chorągiew prowadził. Zachar trzymał go za poły i innych w pomoc musiał wołać.

Bitwa zbliżyła się tak do taboru kozackiego, że niemal twarze można było już rozeznąć. Z okopów bito z dział, ale kule kozackie, kładąc zarówno swoich, jak nieprzyjaciół, powiększały jeszcze zamieszanie.

Husarya natknęła na kurzeń Paszkowski, który stanowią gwardyą hetmańską i w środku którego był sam Chmielnicki. Nagle krzyk straszny rozległ się po wszystkich szeregach zaporoskich: wielka chorągiew malinowa zachwiała się i padła.

Ale w tej chwili Krzeczowski na czele pięciu tysięcy swoich semenów ruszył do boju. Siedząc na bułanym ogromnym koniu, leciał w pierwszym szeregu, bez czapki, z szablą nad głowę, zgarniając przed sobą rozproszonych niżowców, którzy, spostrzegłszy nadchodzącą pomoc, choć i bez ordyńku, wracali do ataku. Bitwa zawrzała w środku linii nanowo.

Na obu skrzydłach szczęście również nie dopisało Chmielnickiemu. Tatarzy, po dwakroć odparci przez wołoskie chorągwie i semenów Potockich, stracili całkiem ochotę do boju. Pod Tuhaj-bejem ubito dwa konie. Zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę młodego Potockiego.

Bitwa jednak nie trwała już długo. Ulewa, która od niejakiego czasu wzrastała coraz bardziej, wkrót-

ce zwiększyła się do tego stopnia, że przez fale dżdżowe świata nie było widać. Już nie strugi, ale potoki deszczu spadały na ziemię z otwartych upustów niebieskich. Step zmienił się w jezioro. Zrobiło się tak ciemno, że o kilka kroków człowiek człowieka nie odróżniał. Szum deszczu głużył komendę. Zamoczone muszkiety i samopały umilkły. Samo niebo położyło koniec rzezi.

Chmielnicki, przemoczony do nitki, wściekły, wpadł do swego taboru. Nie przemówił do nikogo ani słowa. Rozbito mu namiocik ze skór wielbłądzich, pod który schroniwszy się, siedział samotny, przeżywając gorzkie myśli.

Ogarniała go rozpacz. Teraz dopiero pojął, jakiego to jął się dzieła. Oto był pobity, odparty, niemal złamany w bitwie z tak małemi siłami, że słusznie mógł je za podjazd uważać. Wiedział on, jak wielką była siła odporna wojsk Rzplitej, i brał to w rachubę, gdy się na wojnę odważył, a przecie przelecił się. Tak przynajmniej zdawało mu się w tej chwili, więc chwycił się za podgolony łeb i pragnął rozbić go o pierwsze spotkane działo. Cóż dopiero, gdy przyjdzie mieć sprawę z hetmanami i z całą Rzplitą?

Rozmyślania przerwało wejście Tuhaj-beja.

Oczy Tatara pałały wściekłością, twarz była blada, a zęby błyskały z za warg nieobrosłych wąsem.

— Gdzie łupy, gdzie jeńcy, gdzie głowy wodzów, gdzie zwycięstwo? — pytał ochrypłym głosem.

Chmielnicki zerwał się z miejsca.

— Tam! — odparł gromko, ukazując w stronę koronnego taboru.

— Idź-że tam! — ryknął Tuhaj-bej — a nie pójdziesz, to cię na sznurze do Krymu powiodę.

— Pójdę—rzekł Chmielnicki—pójdę dziś jeszcze! łupy wezmę i jeńców wezmę, a ty zdasz sprawę chanowi, bo łupu chcesz, a boju unikasz!

— Psiel — zawołał Tuhaj — ty gubisz wojsko chanowel

I chwilę stali naprzeciwko siebie, parskając nozdrzami. Ochłonął pierwszy Chmielnicki.

— Tuhaj-beju, uspokój się!—rzekł.—Fala przerwała bitwę, gdy Krzeczowski złamał już draganią. Ja ich znam! Jutro już z mniejszą furją bić się będą. Step rozmięknie do reszty. Husarya ulegnie. Jutro wszyscy będą nasi.

— Rzekłeś! — burknął Tuhaj-bej.

— I dotrzymam. Tuhaj-beju, mój przyjacielu, chan mi cię na pomoc przysłał, nie na biedę.

— Przrzekałeś zwycięstwa, nie klęski.

— Wzięto trochę jeńców z draganii, których ci oddam.

— Oddaj. Każę ich na pal powbijać.

— Nie czyn tego. Puść ich wolno. To ludzie ukraiński z pod chorągwi Bałabana, pošlem ich, by draganów na naszą stronę przeciągnęli. Będzie tak, jak z Krzeczowskim.

Tuhaj-bej udobruchał się; spojrział bystro na Chmielnickiego i mruknął:

— Węzu...

— Chytróść tyle co męstwo warta. Jeśli draganów do zdrady namówim, noga z taboru nie ujdzie — rozumiesz!

— Potockiego ja wezmę.

— Dam ci go — i Czarnieckiego także.

— Daj teraz gorzałki, bo zimno.

— Zgoda.

W tej chwili wszedł Krzeczowski. Pułkownik był ponury, jak noc. Przyszłe pożądane starostwa, kasztelanie, zamki i skarby, zasunęły się jakby mgłą po dzisiejszej bitwie. Jutro mogą zniknąć całkowicie, a może z owej mgły wynurzy się, zamiast nich, stryczek lub szubienica. Gdyby nie to, że pułkownik, wyciąwszy Niemców hetmańskich, spalił za sobą mosty, — byłby z pewnością teraz rozmyślał, jak z kolei zdradzić Chmielnickiego, a przejść z semenami do obozu Potockiego.

Ale było to już niemożliwe.

Siedli tedy we trzech nad gąsiorem gorzałki i poczęli pić w milczeniu. Szum ulewy ustawał zwolna. Zmierzchało.

Pan Skrzetuski, wyczerpany z radości, osłabły, blady, leżał nieruchomie na teledze. Zachar, który go pokochał, kazał swoim kozakom rozpiąć i nad nim wołokowy daszek. Namiestnik słuchał posępnego szumu ulewy, ale w duszy było mu widno, jasno, błogo. Oto jego husarze pokazali co umieją, oto jego Rzplita dała opór godny swego majestatu, oto pierwszy impet kozackiej burzy rozbił się już na ostrzach włóczni wojsk koronnych. A przecie są jeszcze hetmani, jest książę Jeremi i tylu panów, tyle szlachty, tyle potęgi, nad tem wszystkim zaś król — *primus inter pares*.

Duma podnosiła piersi pana Skrzetuskiego, jak gdyby cała ta potęga była w nim teraz.

W poczuciu jej, po raz pierwszy od czasu utraty wolności na Siczy, poczuł pewną litość nad kozakami: „Winni są, ale i zaślepieni, gdy z motyką na słońce się porwali — pomyślał. — Winni są, ale nieszczęśni,

gdy dali się porwać jednemu człowiekowi, który ich na oczywistą zgubę prowadzi.“

Potem myśl jego wędrowała dalej. Nastanie spokój, a wówczas każdy o swem prywatnem szczęściu będzie miał prawo pomyśleć. Tu pamięcią i duszą zawisnął nad Rozłogami. Tam, w bliskości lwiej jamy, musi być cicho, jak makiem siał. Tam bunt nigdy głowy nie podniesie, a choćby podniósł — Helena już w Łubniach niezawodnie.

Nagle huk dział przerwał złote nici jego rozmyślań.

To Chmielnicki, upiwszy się, wyprowadził znowu pułki do ataku.

Ale skończyło się na grze z dział. Krzeczowski pohamował hetmana.

Nazajutrz była niedziela. Cały dzień zeszedł spokojnie i bez wystrzału. Obozy leżały naprzeciw siebie, jakby obozy dwóch wojsk sprzymierzonych.

Skrzetuski przypisywał tę ciszę zniechęceniu kozaków. Niestety! nie wiedział, że tymczasem Chmielnicki, „mnogiemi oczyma swego umu patrząc przed siebie,“ pracował nad przeciągnięciem na swą stronę draganów Bałabana.

W poniedziałek bitwa zawrzała od świtu. Skrzetuski patrzył na nią, jak i pierwiej, z uśmiechniętą, wesołą twarzą. I znowu pułki koronne wystąpiły przed okop, tym jednak razem nie puszczając się do ataku, dawały wstręt nieprzyjacielowi z miejsca. Step rozmoknął nie tylko na powierzchni, jak pierwszego dnia bitwy, ale do głębi. Ciężka jazda nie mogła się prawie poruszać, co od razu dało przewagę lotnym chorągwiom zaporoskim i tatarskim. Uśmiech zwolna zginął

z ust Skrzetuskiego. Pod polskim okopem nawałnica atakujących pokryła prawie zupełnie wązkie pasmo chorągwi koronnych. Zdawało się, że lada moment łańcuchów, rozerwany będzie i rozpocznie się atak wprost do okopów. Pan Skrzetuski nie widział ani połowy tego animuszu, tej ochoty bojowej, z jaką chorągwie walczyły dnia pierwszego. Broniły się i dziś z zaciętością, ale nie uderzały pierwsze, nie rozbiły w puch kurzeniów, nie zmiatały pola przed sobą, jak huragan. Grunt stepowy, rozmiękły nie na powierzchni tylko, ale do głębi, uniemożliwiał furę i rzeczywiście przygwoździł ciężką jazdę pod okopem. Rozpęd stanowił jej siłę i rozstrzygał o zwycięstwie, a tymczasem teraz musiała stać w miejscu. Chmielnicki zaś wprowadzał coraz nowe pułki do boju. Sam był wszędzie. Każdy kurzeń osobiście wiódł do ataku i wycofywał się dopiero tuż przed szablami nieprzyjaciół. Zapał jego udzielał się stopniowo Zaporozcom, więc choć padali gęstym trupem, biegli na wyścigi pod okop, z krzykiem i wyciem. Uderzali o mur żelaznych piersi, o ostrza włóczy, i rozbici, zdziesiątkowani, wracali znowu do ataku. Pod tym naporem chorągwie poczęły się kolebać, uginać, miejscami cofać, tak właśnie, jak zapaśnik chwycony w żelazne ramiona przeciwnika, to słabnie, to się znów wysila i wzmacnia.

Przed południem wszystkie niemal siły zaporoskie były w ogniu i w bitwie. Walka wrzała tak zacięcie, że między dwiema liniami walczących utworzył się jak gdyby nowy wał — trupów końskich i ludzkich.

Co chwila do okopów kozackich wracały z bitwy gromady wojowników rannych, pokrwawionych, pokrytych błotem, zziębniętych, upadających ze zmęcze-

nia. Ale wracali ze śpiewem na ustach. Z twarzy ich bił zar bitwy i pewność zwycięstwa. Mdlejąc, wołali jeszcze: „Na pohybel!“ Załoga zostawiona w obozie rwała się do boju.

Pan Skrzetuski sposepniał. Chorągwie polskie poczęły się zmykać z pola do okopów. Nie mogły już wytrzymać, a w odwrocie ich znać było gorączkowy pośpiech. Na ten widok dwadzieścia kilka tysięcy ust wrzasnęło radośnie. Impet ataku zdwoił się. Zaporozcy siedli na kark semenom Potockich, którzy zasłaniali odwrót.

Ale armaty i grad kul muszkietowych odrzuciły ich w tył. Bitwa na chwilę ustała. W obozie polskim rozległ się odgłos trąbki parlamentarskiej.

Chmielnicki jednak nie chciał już parlamentować. Dwanaście kurzeniów zsiadło z koni, by wspólnie z piechotą i Tatarami rozpocząć szturm do wałów.

Krzeczowski w trzy tysiące piechoty miał im przyjść w pomoc w chwili stanowczej. Wszystkie kotły, bębny, litaury i trąby ozwały się naraz, głośząc okrzyki i salwy muszkietów.

Pan Skrzetuski ze drżeniem patrzył na głębokie szeregi niezrównanej piechoty zaporoskiej, biegnącej ku wałom i otaczającej je coraz ciaśniejszym pierścieniem. Długie smugi białego dymu wybuchały ku niej z okopów, jakby jakaś olbrzymia pierś chciała oddmuchać tę szarańczę, cisnącą się nieubłagane ze wszystkich stron. Kule armatnie ryły w niej brózdę, strzały samopałów stały się coraz szybsze. Huk nie ustawał ani na chwilę — mrowie topniało w oczach, skręcało się miejscami konwulsyjnie, jak olbrzymi wąż zraniony, ale szło naprzód. Już, już dobiegają! już są

pod okopem! — armaty już im szkodzić nie mogął Pan Skrzetuski przymknął powieki.

I teraz pytania szybkie, jak błyskawice, przelatywały mu przez głowę: gdy otworzy oczy, czy dojrzy jeszcze polskie proporce na wałach? Dojrzy — nie dojrzy? Tam gwar coraz większy, tam wrzask jakiś niezwykły. Musiało się coś stać? Krzyki dochodzą ze środka obozu. Co to jest? Co się stało?

— Boże wszechmocny!

Okrzyk ten wyrwał się z ust pana Skrzetuskiego, gdy otworzywszy oczy, ujrzał na wałach, zamiast wielkiej złotej chorągwi koronnej, malinową z Archaniołem.

Obóz był zdobyty.

Wieczorem dopiero dowiedział się od Zachara namiestnik o całym przebiegu szturm. Nie na próżno Tuhaj-bej nazywał Chmielnickiego wężem, bo oto w chwili najzaciętszej obrony, podmówiona przez niego Bałabanowa dragania przeszła do kozaków i rzucając się z tyłu na swoje chorągwie, dopomogła do wyłączenia ich ze szczętem.

Wieczorem widział namiestnik jeńców i był przy śmierci młodego Potockiego, który, mając gardło przebite strzałą, żył tylko kilka godzin po bitwie i umarł na rękę pana Stefana Czarnieckiego. — „Powiedzcie ojcu — szeptał w ostatniej chwili młody kasztelan — powiedzcie ojcu — zem... jako rycerz...” — i nie mógł nic więcej dodać. Dusza jego opuściła ciało i uleciała ku niebu. Skrzetuski długo potem pamiętał tę bladą twarz i te błękitne oczy, wzniesione w chwili śmierci. Pan Czarniecki ślub czynił nad stygnącym ciałem, że da-li mu Bóg wolność odzyskać, a potokami krwi śmierć przyjaciela i hańbę klęski obmyje. I ani łza nie ciekła

po surowem jego obliczu, bo to był rycerz żelazny, wielce już czynami odwagi wstawiony i człowiek zadanem nieszczęściem nieugięty. Jakoż śluby spełnił. Teraz, zamiast desperacyi się poddawać, pierwszy krzepił Skrzetuskiego, który cierpiał strasznie nad klęską i hańbą Rzeczypospolitej. — „Rzeczpospolita niejedną klęskę poniosła, mówił pan Czarniecki, ale ma ona w sobie siłę niepożytą. Nie złamała jej dotąd żadna potęga, nie złamają i bunt chłopów, których sam Bóg pokarze, gdyż występując przeciw zwierzchności, Jego to woli się oponują. A co do klęski, prawda, iż jest żalosną — ale któż tę klęskę poniósł? hetmani? wojska koronne? — nie! Po odłączeniu się i zdradzie Krzeczowskiego, oddział ów, który prowadził Potocki, tylko za podjazd mógł być uważany. Bunt niechybnie rozejdzie się po całej Ukrainie, gdyż chłopstwo tam harde i do boju wprawione, aleć bunt tam, to przecie nie pierwszozna. Zgaszą go hetmani z księciem Jeremim, których siły nieporuszone dotąd stoją — im zaś potężniej wybuchnie, tem, raz zgaszony, na dłużej, a może na zawsze, ucichnie. Małej wiary i małego serca człowiekiem byłby ten, ktoby mógł przypuszczać, iż jakiś watażka kozacki, na wspólkę z jednym murzą tatarskim, naprawdę mogą potężnemu narodowi zagrozić. Żleby było z Rzplitą, gdyby prosta zawierucha chłopska miała stanowić o jej losie, o jej egzystencyi. Zaiste, z pogardą ciągnęliśmy na oną wyprawę — kończył pan Czarniecki — a choć podjazd nasz starto, mniemam, że hetmani nie mieczem, nie bronią, ale batogami mogą ten bunt przytłumić.“

I gdy tak mówił, zdawało się, że to mówi nie jeniec, nie żołnierz po przegranej bitwie, ale dumny

hetman, pewny jutrzejszego zwycięstwa. Ta wielkość duszy i wiara w Rzeczpospolitą spływały jako balsam na rany namiestnika. Patrzył on z blizką na potęgę Chmielnickiego, więc go też i osłepiła trochę, tembardziej, że aż dotąd szły za nią powodzenia. Ale pan Czarniecki musiał mieć słuszość. Siły hetmanów stoją jeszcze nieporuszone, a za niemi cała potęga Rzeczypospolitej, zatem prawa władzy i woli Boskiej. Odchodził tedy namiestnik bardzo na duszy pokrzepion i weselszy, a odchodząc, spytał jeszcze pana Czarnieckiego, czyby nie chciał zaraz układów z Chmielnickim o wolność rozpocząć.

— Tuhaj-bejowym jestem jeńcem — rzekł pan Stefan — jemu też okup zapłacę, a z tym watażką nie chcę mieć do czynienia i katu go oddaję.

Zachar, który panu Skrzetuskiemu ułatwił widzenie się z więźniami, odprowadzając go do telegi, również go po drodze pocieszał: „Nie z młodym Potockim trudno, — mówił — z hetmany będzie trudno. Dzieło dopiero poczęte, a jaki będzie koniec — Bóg wie! Hej, nabrali kozacy i Tatarzy polskiego dobra, ale wziąć a zachować — inna rzecz. A ty się, *detyno*, nie martw, nie *sumuj*, bo i tak wolność odzyskasz — ty ruszysz do swoich, a stary będzie już tużył po tobie. Na starość najgorzej samemu na świecie. Z hetmany będzie trudno, oj! trudno!”

Rzeczywiście, zwycięstwo, jakkolwiek świetne, nie rozstrzygało bynajmniej sprawy na korzyść Chmielnickiego. Mogło mu ono nawet wypaść na niekorzyść, bo łatwo było przewidzieć, że teraz hetman wielki, mszcząc śmierć syna, ze szczególną zawziętością nastawać będzie na Zaporozców i niczego nie omieszka,

żeby ich zgnieść odrazu. Hetman wielki oto żywił pewną niechęć do księcia Jeremiego, która, choć pokrywana grzecznością, niemniej objawiała się dość często w rozmaitych okolicznościach. Chmielnicki, wiedząc o tem doskonale, przypuszczał, że teraz niechęć ta ustanie, i że teraz pan Krakowski pierwszy wyciągnie rękę do zgody, która zapewni mu pomoc wsławnego wojownika i jego potężnych zastępów. A z tak połączonemi siłami, pod takim wodzem, jak książę, Chmielnicki jeszcze mierzyć się nie śmiał, bo sobie jeszcze dostatecznie nie ufał. Postanowił więc śpieszyć się, by razem z wieścią o klęsce żółtowodzkiej stanąć na Ukrainie i uderzyć na hetmanów, nimby pomoc książęca nadejść mogła.

Nie dał więc wypoczynku wojskom, i drugiego dnia po bitwie, świtaniem, ruszono w pochód. Pochód to był tak szybki, jak gdyby hetman uciekał. Rzekłbyś, że powódź step zalewa, i pędzi naprzód, i wzbiera wszystkiemi wodami po drodze. Mijano lasy, dąbrowy, mogiły, przeprawiano się przez rzeki bez wytchnienia. Siły kozackie wzrastały po drodze, bo coraz nowe gromady chłopów, uciekających z Ukrainy, łączyły się z niemi ustawicznie. Chłopi przynosili i wieści o hetmanach—ale sprzeczne. Jedni mówili, że książę siedzi jeszcze za Dnieprem; inni, że już się połączył z wojskami koronnemi. Natomiast wszyscy twierdzili, że Ukraina już w ogniu. Chłopi nie tylko uciekali na spotkanie Chmielnickiego w Dziekie Pola, ale palili wsie i miasta, rzucali się na swych panów i uzbrajali powszechnie. Wojska koronne były się już od dwóch tygodni. Wycięto Steblew, pod Derenhowcami zaś przyszło do krwawej

bitwy. Kozacy grodowi gdzieniegdzie już przerzucili się na stronę czerni, a wszędzie czekali tylko hasła. Chmielnicki liczył na to wszystko i śpieszył się tembardziej.

Nakoniec stanął u progu. Czechryń otworzył mu wrota naoscież. Załoga kozacka przeszła natychmiast pod jego chorągiew. Zburzono dom Czaplińskiego, wyrznięto garść szlachty, szukającej schronienia w mieście. Radosne okrzyki, bicie we dzwony i procesye nie ustawały ani na chwilę. Pożar ogarnął zaraz całą okolicę. Co żyło, chwyciło za kosy, piki i łączyło się z Zaporozem. Tłumy niezmierne czerni spływały do obozu ze wszystkich stron — doszły także i radosne, bo pewne wieści, że książę Jeremi ofiarował wprawdzie pomoc hetmanom, ale jeszcze się z nimi nie połączył.

Chmielnicki odetchnął.

Ruszył bez zwłoki naprzód i szedł już wśród buntu, rzezi i ognia. Świadczyły o tem zgliszcza i trupy. Szedł, jak lawina, niszcząc wszystko po drodze. Kraj przed nim powstawał, za nim pustoszał. Szedł, jak mściciel, jak legendowy smok. Kroki jego wyciskały krew, oddech wzniecał pożary.

W Czerkasach zatrzymał się z głównymi siłami, wysławszy naprzód Tatarów pod Tuhaj-bejem i dzikiego Krzywonosą, którzy dogнали hetmanów pod Korsuniem i uderzyli na nich bez wahania. Ale śmiałość drogo musieli opłacić. Odparci, zdziesiątkowani, zbici na miazgę, cofnęli się w popłochu.

Chmielnicki zerwał się i szedł im w pomoc. Po drodze doszła go wieść, że pan Sieniawski w kilka chorągwi połączył się z hetmanami, którzy opuścili

Korsuń, i ciągnął do Bohusławia. Było to prawdą. Chmielnicki zajął Korsuń bez oporu i pozostawiając w nim wozy, zapasy żywności, słowem cały tabor, komunikem pognął się za nimi.

Nie potrzebował gonić długo, gdyż nie uszli jeszcze daleko. Pod Krutą Bałką przednie jego strażę natknęły na polski tabor.

Panu Skrzetuskiemu nie było danem widzieć bitwy, gdyż razem z taborem został w Korsuniu. Zachar umieścił go w rynku w domu p. Zabokrzyckiego, którego czerń poprzednio powiesiła—i postawił straż z niedobitków Mirhorodzkiego kurzenia, bo tłuszcza ciągle rabowała domy i mordowała każdego, kto się jej wydał Lachem. Przez wybite okna widział pan Skrzetuski gromady pijanych chłopów, krwawych, z pozawijanymi rękawami u koszul, włóczących się od domu do domu, od sklepu do sklepu i przeszukujących wszystkie kąty, strychy, poddasza, a kiedy niekiedy wrzask straszliwy oznajmiał, że znaleziono szlachcica, Żyda, mężczyznę, kobietę lub dziecię. Wyciągano ofiarę na rynek i pastwiono się nad nią w sposób najstraszliwszy. Tłuszcza biła się z sobą o resztki ciał, obmazywała sobie z rozkoszą krwią twarze i piersi, okręcała szyje dymiącemi jeszcze trzewiami. Chłopi chwyтали małe Żydzięta za nogi i rozdzierali wśród szalonego śmiechu tłumów. Rzucono się i na domy otoczone strażą, w których zamknięci byli znakomitsi jeńcy, zostawieni przy życiu dlatego, że spodziewano się po nich znacznego okupu. Wówczas Zaporozcy lub Tatarzy, stojący na straży, odpierali tłum, grzmocąc po łbach napastników drzewcami od pik, łukami lub batami z byczej

skóry. Tak było przy domu pana Skrzetuskiego. Zachar kazał ćwiczyć chłopstwo bez miłosierdzia, a mirhorodzcy spełniali z rozkoszą rozkaz, niżowi bowiem przyjmowali chętnie w czasie buntów pomoc czerni, ale pogardzali nią bez porównania więcej od szlachty. Przecie niepróżno zwali się: „szlachetne urożonymi kozakami!“ Sam Chmielnicki darowywał potem niejednokrotnie znaczną ilość czerni Tatarom, którzy gnali ją do Krymu i stamtąd sprzedawali do Turcyi i Azyi Mniejszej.

Tłum więc szalał na rynku i dochodził do tak dzikiego opętania, że wkońcu począł się wzajemnie mordować. Dzień zapadał. Zapalono całą jedną stronę rynku, cerkiew i dom parocha. Szczęściem wiatr zwiewał ogień ku polu i przeszkadzał szerzeniu się pożaru. Ale luna olbrzymia oświeciła cały rynek tak jasno, jak promienie słoneczne. Zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Zdała dochodził straszliwy huk dział — widocznie bitwa pod Krutą Bałką stawiała się coraz zaciętsza.

— Gorąco tam musi być naszym! — mruczał stary Zachar. — Hetmani nie żartują. Hej! pan Potocki szczery *żołnir*.

Potem wskazał przez okno czerni.

— No! — rzekł — oni teraz hulają, ale jeśli Chmiel będzie pobity, to i nad nimi pohulają!

W tej chwili rozległ się tętent, i na rynek wpadło na spienionych koniach kilkudziesięciu jeźdźców. Twarze ich zczerniały od prochu, odzież w nieładzie i poobwiązywane szmatami głowy niektórych świadczyły, iż pędzą wprost z bitwy.

— Ludzi! kto w Boha wiryt, spasajcieś! Lachy bijut naszych! — krzyczeli w niebogłosy.

Podniósł się wrzask i zamieszanie. Tłum rozkołysał się jak fala, targnięta wiehrem. Nagle dziki popłoch opanował wszystkich. Rzucono się do ucieczki, ale że ulice były zatłoczone wozami, a jedna część rynku w ogniu, więc nie było kędy uciekać.

Czerń poczęła się tłoczyć, krzyczeć, bić, dusić i wyć o miłosierdzie, choć nieprzyjaciół był jeszcze daleko.

Namiestnik, zasłyszawszy co się dzieje, mało nie oszalał z radości; począł biegać po izbie, jak obłąkany, rękoma bić się w piersi z całej siły i wołać:

— Wiedziałem, że tak się stanie! wiedziałem! jakom żyw! To z hetmany sprawa! to z całą Rzeczpospolitą! Godzina kary nadeszła! Co to?

Znów rozległ się tętent, i tym razem do kilkuset jeźdźców, samych Tatarów, zjawiono się na rynku. Uciekali widocznie na ślepo. Tłum zastępował im drogę, oni rzucili się w tłum, tratowali go, bili, rozpędzali, siekli, prąc końmi ku gościńcowi, wiodącemu do Czerkas.

— Uciekają jak wicher! — zawołał Zachar.

Ledwo wymówił, przeleciał drugi oddział, za nim trzeci. Zdawało się, że ucieczka jest powszechną. Straże przy domach poczęły kręcić się i również okazywać chęć do ucieczki. Zachar wypadł przed ganek.

— Stać! — krzyknął na swych mirhorodców.

Dym, gorąco, zamieszanie, tętent koni, głosy trwogi, wycie tłumów oświeconych pożarem, wszystko to zlało się w jeden piekielny obraz, na który namiestnik z okna spoglądał.

— Co tam za pogrom być musi! co tam za pogrom! — wołał do Zachara, nie zważając, iż ten radości jego nie mógł podzielać.

Tymczasem znów oddział uciekających przemknął, jak błyskawica.

Huk działa wstrząsał posadami domów korsuńskich.

Nagle głos jakiś przeraźliwy, tuż pod domem, począł krzyczeć:

— Ratujcie się! Chmiel zabit! Krzeczowski zabit! Tuhaj-bej zabit!

Na rynku nastał prawdziwy koniec świata.

Ludzie w oblężeniu rzucali się w płomienie. Namiestnik padł na kolana i ręce wznosił do góry:

— Boże wszechmocny! Boże wielki i sprawiedliwy! chwała Tobie na wysokościach!

Zachar przerwał mu modlitwę, wpadłszy z przedsienu do izby.

— A bywaj-no, *detymo!* — zawołał zdyszany — wyjdź i obiecaj łaskę mirhorodcom, bo chcą uchodzić — a jak ujdą, czern tu wpadnie!

Skrzetuski wyszedł na ganek. Mirhorodcy kręcili się niespokojnie przed domem, okazując niekłamną ochotę opuścić stanowisko i pierzchnąć gościńcem, wiodącym do Czerkas. Strach opanował wszystkich w mieście. Raz wraz nowe oddziały rozbitków nadlatywały, jakby na skrzydłach od strony Krutej Bałki. Uciekali chłopci, Tatarzy, kozacy grodowi i Zaporozcy w największym pomieszaniu. A jednak główne siły Chmielnickiego musiały jeszcze dawać opór, bitwa nie musiała być jeszcze zupełnie rozstrzygnięta, gdyż działa grały ze zdwojoną siłą.

Skrzetuski zwrócił się ku mirhorodcom:

— Za to, iżście strzegli wiernie osoby mojej — rzekł wyniosłe — nie potrzebujecie ucieczką się ratować, gdyż obiecuję wam instancję i łaskę u hetmana.

Mirhorodcy, co do jednego, odkryli głowy, a on ujął się pod boki i spoglądał dumnie na nich i na rynek, który pustoszał coraz bardziej. Co za zmiana losu! Oto pan Skrzetuski, niedawno jeniec wleczony za kozackim taborem, stał teraz między ^{zuchwałym} kozactwem, jako pan między poddaństwem, jako szlachcic między gminem, jako husarz z pancernego znaku między obozowymi ciury. On — jeniec — łaskę teraz obiecywał — i głowy odkrywały się na jego widok, a pokorne głosy wołały tym posępnym, przeciągłym, oznaczającym przestрах i poddanie się tonem:

— Pomyłujcie, pane!

— Jakom powiedział, tak się stanie! — rzekł namiestnik.

Jakoż istotnie pewien był swej instancyi u hetmana, któremu był znajomy, bo nieraz listy od księcia Jeremiego do niego woził i względy jego umiał pozyskać. Stał tedy, trzymając się pod boki, i radość biła mu z oblicza, oświeconego jasno blaskiem pożaru.

— Ot, wojna skończona! ot, fala u progu rozbital — myślał. — Pan Czarniecki miał słuszość: niepożyta jest siła Rzplitej, niezachwiana jej potęga.

A gdy tak myślał, duma rozsadzała mu piersi; nie niska duma, płynąca ze spodziewanego nasycenia zemsty, z upokorzenia wroga, ani z odzyskania wolności, której za chwilę już się spodziewał, ani z tego, że czapkowano przed nim teraz, ale czuł się dumnym, że jest synem tej Rzplitej zwycięskiej, przepotężnej, o której bramy wszelka złość, wszelki zamach, wszelkie ciosy tak rozbijają się i kruszą, jako mocy piekielne o bramy nieba. Czuł się dumnym,

jako szlachcic-patryota, że w zwątpieniu był pokrzepion, a w wierze nie zawiedzion. Zemsty już nie pragnął.

— Pogromiła jak królowa, wybaczy jak matka — myślał.

Tymczasem huk dział zmienił się w grzmot nieustający.

Kopyta końskie zaszczękały znów po pustych ulicach. Na rynek wleciał jak piorun, na nieosiądnym koniu kozak bez czapki, w jednej koszuli, z twarzą rozciętą mieczem i buchającą krwią. Wleciał, konia osadził, ręce rozkrzyżował i chwytając oddech otwartymi usty, krzycheć począł:

— Chmiel bije Lachiw! Pobyty jasno welmożny pany, hetmany i pułkownyki, łycari i kawalery!

To rzekłszy, zachwiał się i na ziemię runął. Mirhorodcy skoczyli mu na pomoc.

Płomień i bladość przeleciały przez oblicze pana Skrzetuskiego.

— Co on mówi? — rzekł gorączkowo do Zachara. — Co się stało? Nie może to być! Na Boga żywego! nie może to być!

Cisza... Tylko płomienie syczą na przeciwległej stronie rynku, trzaskają snopy iskier, a czasem przepalone domowstwo runie z łoskotem.

Aż oto nowi jacyś gońce lecą:

— Pobyty Lachi! pobyty!

Za nimi ciągnie oddział Tatarów — idą zwolna, bo otaczają pieszych, widocznie jeńców.

Pan Skrzetuski oczom nie wierzy. Poznaje doskonale na jeńcach barwę hetmańskiej husaryi — więc w ręce płaszcze i jakimś dziwnym, nieswoim głosem powtarza uporczywie:

— Nie może być! nie może być!

Huk armat słyhać jeszcze. Bitwa nieskończona. Przez wszystkie niepopalone ulice napływają jednak tłumy Zaporozców i Tatarów. Twarze ich czarne, piersi dyszą ciężko — ale wracają jakby upojeni, śpiewają pieśni.

Tak wracają żołnierze po zwycięstwie.

Namiestnik pobladł, jak trup.

— Nie może być! — powtarzał coraz chrapliwiej — nie może być... Rzeczpospolita...

Nowy przedmiot zwraca jego uwagę.

Wchodzą semenowie Krzeczowskiego, niosąc całe pęki chorągwi. Przyjeżdżają na środek rynku i rzucają je na ziemię.

Niestety — polskie!

Huk armat słabnie, w oddali słyhać turkot nadchodzących wozów. Jedzie naprzód jedna, wysoka, kozacka telega, za nią szereg innych, wszystkie otoczone przez kozaków Paszkowskiego kurzenia, w złotych czapkach; przechodzą tuż koło domu, przy którym mirhorodcy. Pan Skrzetuski rękę do czoła przytknął, bo go blask pożaru oslepił, i wpatrzył się w postacie jeńców, siedzących na pierwszym wozie.

Nagle cofnął się w tył, rękoma począł bić powietrze, jak człowiek trafiony strzałą w piersi, z ust zaś wyrwał mu się krzyk straszny, nadludzki:

— Jezus, Marya! to hetmani!

I padł na ręce Zachara, oczy zaszczyły mu blachmanem, a twarz stężała i zakrzepła tak, jak u ludzi umarłych.

W kilka chwil później, trzech jeźdźców na czele niezliczonych pułków wjeżdżało na rynek korsuński.

Środkowy, ubrany w czerwień, siedział na białym koniu i wspierając się pod bok pozłocistą buławą, spoglądał dumnie, jak król.

Był to Chmielnicki. Po obu jego stronach jechali Tuhaj-bej i Krzeczowski.

Rzeczpospolita leżała w prochu i krwi u nóg kozaka.

ROZDZIAŁ XVI.

Upłynęło kilka dni. Ludziom zdawało się, że sklepienie runęło nagle na Rzeczpospolitą. Żółte Wody, Korsuń, zniesienie wojsk koronnych, zawsze dotąd w walkach z kozakami zwycięskich, wzięcie hetmanów, pożar straszliwy na całej Ukrainie, rzezie, mordy niesłychane od początku świata, wszystko to zważyło się tak nagle, że ludzie prawie wierzyć nie chcieli, aby tyle klęsk mogło przyjść na jeden kraj odrazu. Wielu też nie wierzyło, inni odrętwieli z przerażenia, inni dostali obłąkania, inni przepowiadali przyjście Antychrysta i bliskość sądu ostatecznego. Przerwały się wszystkie węzły społeczne, wszelkie stosunki ludzkie i rodzinne. Ustała wszelka władza, znikły różnice między ludźmi. Piekło odczepiło z łańcuchów wszystkie zbrodnie i puściło je na świat, by pohulały: więc mord, grabież, wiarołomstwo, rozbój, gwałt, rozbiór i szaleństwo zastąpiło pracę, uczciwość, wiarę i sumienie. Zdawało się, że odtąd ludzkość już nie dobrem, ale złem tylko żyć będzie; że się przeinaczyły serca i umysły i poczytują sobie to za święte, co dawniej było bezecnem, a za bezecne, co dawniej było świętem. Słońce nie świeciło już nad ziemią, bo je za-

słaniały dymy pożarów, a nocami, zamiast gwiazd i księżycą, świeciły pożogi. Płonęły miasta, wsie, kościoły, dwory, lasy. Ludzie przestali mówić, jeno jęczeli, albo wyli jak psy. Życie straciło wartość. Tysiące ginęły bez echa, bez wspomnienia. A z tych wszystkich klęsk, mordów, jęków, dymów i pożarów, podnosił się tylko jeden człowiek coraz wyżej i wyżej, olbrzymiał coraz straszliwiej, zaciemniał już niemal światło dzienne, rzucał cień od morza do morza.

Był to Bohdan Chmielnicki.

Dwieście tysięcy ludzi, zbrojnych i upojonych zwycięstw, stało teraz gotowych na jego skinienie. Czern powstawała wszędzie; kozacy grodowi łączyli się z nim po wszystkich miastach. Kraj od Prypeci do krańców pustyń był w ogniu. Powstanie szerzyło się w województwach Ruskim, Podolskim, Wołyńskim, Braclawskim, Kijowskim i Czernihowskim. Potęga hetmana rosła codzień. Nigdy Rzplita nie wystawiła przeciw najstraszniejszemu wrogowi połowy tych sił, któremi on teraz rozporządzał. Równych nie miał w gotowości i cesarz niemiecki. Burza przeszła wszelkie oczekiwania. Sam hetman początkowo nie uznawał własnej potęgi i nie rozumiał, jak wyrósł już wysoko. Sprawiedliwością, prawem i wiernością dla Rzplitej jeszcze się oślaniał, bo nie wiedział, że te wyrazy, jako częste wyrazy, mógł już deptać. Wszelako, w miarę sił, wzrastał w nim i ów niezmierny, bezwiedny egoizm, któremu równego historia nie zaznacza. Pojęcia złego i dobrego, zbrodni i cnoty, gwałtu i sprawiedliwości, zlały się w duszy Chmielnickiego w jedno z pojęciami własnej krzywdy lub własnego dobra. Ten mu był cny, kto

był z nim; ten zbrodniarz, kto przeciw niemu. Gotów był biadać na słońce i poczytywać to sobie za osobistą krzywdę, gdyby nie świeciło wówczas, gdy on potrzebował. Ludzi, wypadki i świat cały mierzył własnem „ja.“ I mimo całej chytrości, całej hypokryzyi hetmana, była jakaś potworna dobra wiara w takim jego poglądzie. Wypływały z niego wszystkie występki Chmielnickiego, ale i czyny dobre; bo jeśli nie znał miary w znęcaniu się i okrucieństwie nad wrogiem, natomiast umiał być wdzięcznym za wszystkie, choćby mimowolne usługi, które mu oddawano. Tylko gdy był pijany, wówczas zapominał i o dobrodziejstwach, i rycząc z szaleństwa, wydawał spienionemi usty krwawe rozkazy, których żałował później. A w miarę jak rosło jego powodzenie, pijany bywał coraz częściej, bo coraz większy ogarniał go niepokój. Zdawałoby się mogło, że tryumfy zaprowadziły go na takie wyżyny, na które sam wstąpić nie chciał. Jego potęga przerażała innych, ale i jego samego. Olbrzymia rzeka buntu, porwawszy go, niosła z błyskawiczną szybkością i nieubłaganie, ale dokąd? Jak się to wszystko miało skończyć? Poczynając bunt w imię krzywd własnych, mógł ten kozacki dyplomata liczyć, że po pierwszych powodzeniach, lub nawet po klęskach, rozpocznie układy, że zaofiarują mu przebaczenie, zadosyćuczynienie i nagrodę za krzywdy i szkody. Znał on dobrze Rzplitą, jej cierpliwość tak nieprzebraną, jak morze, jej miłosierdzie, nie znające granic i miary, które płynęło nietylko ze słabości, boć przecie Nalewajce, otoczonemu już i zgubionemu, jeszcze ofiarowano przebaczenie. Wszelako teraz, po zwycięstwie na Żółtych Wodach, po znie-

sieniu hetmanów, po rozpaleniu wojny domowej we wszystkich południowych województwach, rzeczy zaszły zbyt daleko, wypadki przerosły wszelkie oczekiwanie — teraz walka musiała się toczyć na śmierć i życie.

A na czyją stronę miało paść zwycięstwo?

Chmielnicki pytał wróżbitów i gwiazd się radził i sam wyteęzał oczy w przyszłość—ale widział przed sobą tylko ciemność. Więc czasem straszny niepokój podnosił mu włosy na głowie, a w piersi zrywała się rozpacz, jak wichur. Co będzie? co będzie? Bo Chmielnicki, patrząc bystrzej od innych, rozumiał zarazem lepiej od wielu, że Rzplita nie umie użyć swych sił i sama o nich nie wie, ale jest potęgą olbrzymią. Gdyby jaki człowiek schwycił w ręce tę potęgę, wtedy ktoby mu się oparł? A któż mógł zgadnąć, czy straszne niebezpieczeństwo, czy bliskość przepaści i zguby nie potłumi zamieszek, niezgody wewnętrznej, prywaty, zawiści panów, warcholstwa, gadanin sejmowych, swawoli szlacheckiej, bezsilności króla? Wtedyby pół miliona samego tylko herbowego ludu mogło wyruszyć w pole i zgnieść Chmielnickiego, choćby go nie tylko chan krymski, ale i sam sułtan turecki wspomagał.

O tej uśpionej potędze Rzplitej wiedział prócz Chmielnickiego i zmarły król Władysław, i dlatego całe życie pracował nad tem, by z największym w świecie mocarzem rozpocząć walkę na śmierć, bo tylko w ten sposób potęga owa przywołaną do życia być mogła. Gwoli temu przekonaniu, nie wahał się król rzucać iskier na prochy kozackie. Było-li przeznaczonem istotnie kozakom wywołać tę powódź, by w niej utonął nareszcie?

Chmielnicki rozumiał i to także, jak, mimo całej słabości, straszny był odpór tej Rzplitej. W taką bezładną, źle powiazaną, rozdartą, swawolną, nierządną, były przecie, najgroźniejsze ze wszystkich, fale tureckie — i rozbijały się o nią, jak o skałę. Tak było pod Chocimiem, na co własnemi niemal oczyma patrzył. Jednak ta Rzplita, nawet w chwilach swej słabości, zatykała swe chorągwie na walach obcych stolic. Jakież tedy da odpór? czego nie dokaże przywiedziona do rozpacz, gdy będzie musiała umrzeć albo zwyciężyć?

Wobec tego, każdy tryumf Chmielnickiego był nowem dla niego niebezpieczeństwem, bo zbliżał chwilę przebudzenia się lwa drzemiącego i czynił bardziej niemożliwymi układy. W każdym zwycięstwie leżała przyszła klęska, w każdym upojeniu na dnie — gorycz. Teraz na burzę kozacką miała przyjść burza Rzeeczypospolitej. Chmielnickiemu wydawało się, że już słyszy jej głuchy, daleki huk.

Oto z Wielkopolski, Prus, rojnego Mazowsza, Małopolski i Litwy, nadejdą tłumy wojowników — trzeba im tylko wodza.

Chmielnicki wziął w niewolę hetmanów, ale i przez tę szczęśliwość przeglądała jakby zasadzka losu. Hetmani byli doświadczonymi wojownikami, ale żaden z nich nie był człowiekiem, jakiego wymagała ta chwila grozy, przerażenia, klęski.

Wodzem mógł być teraz jeden tylko człowiek. Zwał się on: ksiązę Jeremi Wiśniowiecki.

Właśnie dlatego, że hetmani poszli w niewolę, wybór prawdopodobnie miał paść na księcia. Chmielnicki nie wątpił o tem, na równi ze wszystkimi.

A tymczasem do Korsunia, w którym hetman zaporoski zatrzymał się po bitwie dla odpoczynku, dolatywały z Zadnieprza wieści, że straszny książę ruszył już z Łubniów, że po drodze depcze bunt nie-miłosiernie, że po przejściu jego znikają wsie, sło-body, futory i miasteczka, a natomiast jeżą się krwa-we pale i szubienice. Przestrach dwoił i troił liczbę sił jego. Mówiono, że prowadzi piętnaście tysięcy wojowników najlepszego wojska, jakie być mogło w całej Rzeczypospolitej.

W obozie kozackim spodziewano się go lada chwila. Wkrótce po bitwie pod Krutą Bałką okrzyk: „Jarema idzie!“ rozległ się między kozakami i rzucił popłoch między czerń, która poczęła ślepo uciekać. Popłoch ten zastanowił głęboko Chmielnickiego.

Miał teraz do wyboru: albo ruszyć z całą po-tęgą przeciw księciu i szukać go na Zadnieprzu, albo zostawiwszy część sił na zdobywanie zamków ukra-innych, ruszyć w głąb Rzeczypospolitej.

Wyprawa na księcia była niebezpieczną. Mając do czynienia z tak wsławnym wodzem, Chmielnicki, mimo całej przewagi swych sił, mógł ponieść klęskę w walnej bitwie, i wówczas wszystko byłoby stracone odrazu. Czerń, która stanowiła ogromną większość, złożyła świadectwo, że zmyka na samo imię Jaremy. Trzeba było czasu, żeby ją zmienić w wojsko, mogące stawić czoło książęcyemu regimentom.

Z drugiej strony, książę prawdopodobnie nie przyjąłby walnej bitwy, ale poprzestał na obronie w zamkach i częściowej wojnie, która w takim razie musiałaby trwać całe miesiące, jeżeli nie lata, a przez ten czas Rzplita zebrałaby niechybnie nowe siły i ru-szyła w pomoc księciu.

Chmielnicki więc postanowił pozostawić Wiśniowieckiego na Zadnieprzu, a samemu umocnić się na Ukrainie, zorganizować nowe siły i następnie, ruszywszy do Rzeczypospolitej, zmusić ją do układów. Liczył on na to, że gaszenie buntu na samem tylko Zadnieprzu zajmie nadługo wszystkie siły książęce, a jemu da wolne pole. Bunt zaś na Zadnieprzu obiecywał sobie podsycać, wysyłając pojedyncze pułki w pomoc czerni.

Nakoniec sądził, że będzie można łudzić księcia układami i zwłóczyć, czekając, póki się jego siły nie wykruszą. W tym celu przypomniał sobie Skrzetuskiego.

W kilka dni tedy po Krutej Bałce, a w sam dzień popłochu między czernią, kazał przyzwać przed siebie pana Skrzetuskiego.

Przyjął go w domu starościńskim, w asystencyi jednego tylko pana Krzeczowskiego, który Skrzetuskiemu był zdawna znajomy, i powitawszy łaskawie, choć nie bez wyniosłości, odpowiedniej dzisiejszej jego szarzy, rzekł:

— Mości poruczniku Skrzetuski, za usługę, którą mi wyświadczyłeś, wykupiłem cię od Tuhaj-beja i obiecałem wolność. Teraz godzina nadeszła. Dam ci piernacz ¹⁾, byś mógł swobodnie przejechać, jeśli by cię wojska jakie spotkały, i strażę do obrony od czerni. Możesz wracać do swego księcia.

Skrzetuski milczał. Żaden uśmiech radości nie ukazał się na jego twarzy.

¹⁾ Buława pułkownikowska kozacka, która zastępowała między kozakami list żelazny.

— Możesz-że ruszyć w drogę? bo widzę, że ci coś choroba z oczu przegląda?

Rzeczywiście pan Skrzetuski wyglądał, jak cień. Rany i ostatnie wypadki zwały z nóg tego olbrzymiego młodziana, który takie teraz miał pozory, jakby nie obiecywał jutra dożyć. Twarz mu pożółkła, a czarna broda, niestrzyżona oddawna, podnosiła jeszcze mizeryę oblicza. Pochodziło to z utrapień wewnętrznych. Rycerz omal się nie zagryzł. Wleczony za obozem kozackim, był przecie świadkiem wszystkiego, co się od wyruszenia z Siczy zdarzyło. Widział hańbę i klęskę Rzplitej, hetmanów w niewoli; widział tryumfy kozackie, piramidy poukładane z głów odciętych poległym żołnierzom, szlachtę wieszaną za żebra, odrzynane piersi niewiast, profanacye panien, widział rozpacz odwagi, ale i nikczemność strachu—widział wszystko — przecierpiał wszystko i cierpiał tembardziej, że mu w głowie i piersiach utkwiała nożem myśl, że to on sam pośredni sprawca, bo przecie on, nie kto inny, oderznął Chmielnickiego od powroza. Ale czy mógł się spodziewać rycerz chrześcijański, że ratunek podany bliźniemu, takie wyda owoce? Więc ból jego nie miał dna.

A gdy się siebie spytał, co się dzieje z Heleną, i gdy pomyślał, co mogło się zdarzyć, jeśli złe losy zatrzymały ją w Rozłogach, to ręce ku niebu wyciągał i wołał głosem, w którym drgała bezdenna rozpacz i prawie groźba: „Boże! weź-że duszę moją, bo już tu mam więcej, niżem zasłużył!“ Potem spostrzegał się, że bluźni, więc na twarz padał i prosił o ratunek, o przebaczenie, o zmiłowanie nad ojczyzną i nad onym gołębiem niewinnym, co może tam

napróżno wzywał Bożej i jego pomocy. Krótko mówiąc, przeboleał tak, że go już teraz nie uradowała darowana wolność, a ten hetman zaporoski, ten tryumfator, który chciał być wspaniałym, łaskę mu swoją okazując, nie imponował mu już zgoła; spostrzegłszy to, Chmielnicki zmarszczył się i rzekł:

— Śpiesz-że się korzystać z łaski, abym zaś się nie rozmyślił, gdyż cnota tylko moja i ufność w dobrą sprawę czyni mnie tak nieopatrzny, że wroga sobie przysparzam, bo to wiem dobrze, że przeciw mnie walczyć będziesz.

Na to pan Skrzetuski:

— Jeśli Bóg da sił.

I spojrzawszy tak na Chmielnickiego, że aż mu w głąb duszy zajrzał, a hetman, wzroku tego znieść nie mogąc, utkwiał oczy w ziemię i dopiero po chwili ozwał się:

— Mniejsza o to. Zbyt potężny jestem, by mi jeden cherlak coś znaczył. Opowiesz też księciu, swojemu panu, coś tu widział, i przestrzeżesz go, by sobie mniej zuchwale poczynił, bo gdy mnie cierpliwości nie stanie, to go odwiedzę na Zadnieprzu, a nie wiem, czyby mu była miłą moja wizyta.

Skrzetuski milczał.

— Mówiłem i powtarzam raz jeszcze — mówił dalej Chmielnicki — nie z Rzplitą, ale z paniętą wojnę prowadzę, a książę między niemi w pierwszym rzędzie. Wróg to mój i ludu ruskiego, odszczepieniec od naszego kościoła i okrutnik. Słyszę, bunt we krwi gasi; niechże baczy, by swojej nie przelał

Tak mówiąc, podniecał się coraz bardziej, aż też krew jęła mu do twarzy uderzać, a oczy ciskały

płomienie. Widno było, że go chwyta paroksyzm gniewu i złości, w których tracił pamięć i przytomność całkowicie.

— Na powrozie każę go tu Krzywonosowi przywieść! — krzyczał — pod nogi go sobie zegnę, na konia po jego grzbiecie wsiadać będę!

Skrzetuski patrzył z góry na miotającego się Chmielnickiego, poczem odrzekł spokojnie:

— Zwycięż go wprzód.

— Jaśnie wielmożny hetmanie! — rzecze Krzeczowski — niech-że ten zuchwały szlachcic już jedzie, bo nie wypada dla twojej godności, byś się gniewem przeciw niemu unosił, a gdy mu wolność obiecałeś, liczy on na to, że albo słowo złamiesz, albo jego inwektyw słuchać musisz.

Chmielnicki opamiętał się, posapał chwilę, poczem rzekł:

— Niech-że tedy jedzie, aby zaś wiedział, iż Chmielnicki dobrem za dobre płaci, dać mu piernacz, jakom rzekł, i sorokę Tatarów, którzy go do samego obozu odprowadzą.

Potem zwracając się do Skrzetuskiego, dodał:

— Ty zaś wiedz, że teraz kwita. Polubiłem cię, mimo twej zuchwałości, ale gdy się jeszcze raz w moje ręce dostaniesz, nie wywiniesz się!

Skrzetuski wyszedł z Krzeczowskim.

— Gdy cię hetman puszcza z całą szyją — rzekł Krzeczowski — i możesz jechać dokąd chcesz, tedy ci powiem po starej znajomości, salwuj się choćby do Warszawy, nie na Zadnieprze, bo stamtąd żywa noga wasza nie ujdzie. Wasze czasy minęły. Gdybyś miał rozum, do nasbyś przystał, ale wiem, że próżno ci to mówić. Poszedłbyś wysoko, jak my pójdziemy.

— Na szubienicę — mruknął Skrzetuski.

— Nie chcieli mi dać starostwa Lityńskiego, a teraz sam nie jedno, ale dziesięć wezmę. Wypędzimy precz panów Koniecpolskich, a Kalinowskich, a Potockich, a Lubomirskich i Wiśniowieckich, Zasławskich i wszystką szlachtę, i sami się ich majątnościami podzielimy, co też i po Bożej musi być myśli, gdy nam już dwie tak znaczne dał wiktorye.

Skrzetuski, nie słuchając gadaniny pułkownika, zamyślił się o czem innem, ten zaś mówił dalej:

— Gdym po bitwie i naszej wiktoryi widział w Tuhajowej kwaterze w łyczkach mego pana i do-drodzieja, jaśnie wielmożnego hetmana koronnego, zaraz on mnie niewdzięcznikiem i Judaszem mianować raczył. A ja mu na to: „JW. wojewodo! nie jestem ja niewdzięcznikiem, bo gdy już w twoich zamkach i dobrach zasiadę — przyrzecz mi jeno, że się nie będziesz napijał — to cię podstarościem swoim zrobię!“ Ho! ho! obłowi się Tuhaj-hej na tych ptakach, które połapał — i dlatego ich szczędzi — gdyby nie to, inaczejbyśmy z Chmielnickim z nimi pogadali. Ale ot! wóz dla ciebie gotowy, i Tatary już w ordynku. Dokąd tedy zyczysz jechać?

— Do Czehrynia.

— Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz. Ordyńcy odwiodą cię choćby do samych Łubniów, bo taki mają rozkaz. Staraj się jeno, żeby ich twój książę na pal nie kazał powsadzać, coby z kozakami pewno uczynił. Dlatego też dali ci Tatarów. Hetman ci i konia twego kazał oddać. Bywaj-że zdrow, a wspominał nas dobrze i księciu się kłaniał od naszego hetmana, a jeśli będziesz mógł, to go namów, by przy-

jechał Chmielnickiemu się pokłonić. Może łaskę znajdzie. Bywaj zdrów!

Skrzetuski siadł na wóz, który ordyńcy otoczyli zaraz dokoła — i ruszono w drogę. Przez rynek trudno było przejechać, bo cały zapchany był Zaporozcami i czernią. Jedni i drudzy warzyli sobie kaszę, śpiewając pieśni o zwycięstwie żółtowodzkiem i korsuńskim, ułożone przez ślepców, lirników, których mnóstwo pościagało zewsząd do obozu. Między ogniami, obejmującymi kotły z kaszą, leżały tu i owdzie ciała pomordowanych kobiet, nad którymi odbywała się w nocy orgia, lub sterczały piramidki z głów, uciętych po bitwie zabitym i rannym żołnierzom. Ciała owe i głowy poczynały się już psuć i wydawać zgniły zapach, który jednakże nie zdawał się być wcale przykrym dla zgromadzonych tłumów. Miasto nosiło na sobie ślady spustoszeń i dzikiej swawoli Zaporozców, okna i drzwi były powyrywane; zdruzgotane szczątki tysiącznych przedmiotów, pomieszane z kwapiem i słomą, zawałyły rynek. Okapy domów przybrane były wisielcami, po większej części z Żydostwa, a tłuszcza bawiła się tu i owdzie, czepiając się nóg wisielców i huśtając się na nich.

W jednej stronie rynku czerniały zgłiszcza pogorzałych domów, a między nimi farnego kościoła; od zgłiszcz biło jeszcze gorąco i podnosiły się dymy. Woń spalenizny przenikała powietrze. Za spalonymi domami stał kosz, obok którego pan Skrzetuski musiał przejeżdżać i tłumy jasyru, pilnowane przez gęste strażę tatarskie. Kto się z okolic Czehrynia, Czerkas i Korsunia nie zdołał schronić, lub nie padł

pod siekierą czerni, ten poszedł w łyka. Byli więc między jeńcami i żołnierze wzięci w niewolę w obu bitwach, i mieszkańcy okoliczni, którzy się dotąd nie mogli lub nie chcieli do buntu przyłączyć, ludzie ze szlachty osiadłej lub ze szlacheckiego gminu, podstarościowie, oficyaliści, futornicy, drobna szlachta z zaścianków obojej płci i dzieci. Starców nie było, bo ich, jako niezdatnych na sprzedaż, Tatarzy mordowali. Pozagarniali oni również całe wsie i osady ruskie, czemu Chmielnicki nie śmiał się sprzeciwić. W wielu miejscowościach zdarzyło się, że mężowie poszli do obozu kozackiego, a w nagrodę za to Tatarzy popalili ich chaty i pobrali żony i dzieci. Ale w ogólnem rozpętaniu się i zdziczeniu dusz nikt o to nie pytał, nikt się nie upominał. Czern, która chwyciła za broń, wyrzekała się wiosek rodzinnych, żon i dzieci. Brali im żony, brali i oni — i lepsze, bo „Laszki“, które po nasyceniu się ich wdziękami, mordowali, lub odprzedawali ordyńcom. Między jeńcami nie brakło też „mołodyć“ ukraińskich, powiązanych po trzy, po cztery na jednym stryczku, razem z pannami szlacheckich domów. Niewola i niedola równała stany. Widok tych istot wstrząsał do głębi duszę i budził żądzę zemsty. Poobdzierane, pół-nagie, narażone na sromotne żarty pohańców, włóczących się gromadami przez ciekawość po majdanie, potracane, bite lub całowane ohydными ustami, traciły pamięć, wolę. Niektóre szlochały, lub zawodziły głośno, inne z oczyma w słup, z oblękaniem w twarzy i otwartemi ustami poddawały się biernie wszystkiemu, co je spotykało. Tu i owdzie zrywał się wrzask jeńca mordowanego bez litości za wybuch

rozpacznego oporu. Świst bizunów z byczej skóry rozlegał się między gromadami mężczyzn i zlewał się z okrzykami boleści i piskiem dzieci, ryczeniem bydła i rzeniem koni. Jasyr nie był jeszcze rozdzielony i ustawiony w pochodowym porządku, więc wszędzie panowało największe zamieszanie. Wozy, konie, bydło rogate, wielbłądy, owce, kobiety, mężczyźni, stosy złupionych ubiorów, naczyń, makat, broni, wszystko to natłoczone w jeden ogromny tabor, oczekiwało dopiero podziału i ordynku. Raz w raz podjazdy przypędzały nowe gromady ludzi i bydła, naładowane promy płynęły przez Roś, z głównego zaś kosza przybywali coraz nowi goście, by nasycić oczy widokiem zebranych bogactw. Niektórzy, pijani kumysem lub gorzałką, poprzebierani w dziwaczne stroje, bo w ornaty, komże, ruskie riasy lub nawet suknie kobiece, poczynali już spory, kłótnie i jarmarczny wrzask o to, co komu będzie należało. Czabanowie tatarscy, siedząc na ziemi między stadami, zabawiali się — jedni wygwizdywaniem na piszczałkach przeraźliwych melodyi, inni grą w kości i okładaniem się wzajemnie kijami. Gromady psów, które przyciągnęły tu za swymi panami, ujadły i wyły żałośnie.

Pan Skrzetuski minął wreszcie tę Gehennę ludzką, pełną jęków, łez niedoli i piekielnych wrzasków; myślał tedy, że już odetchnie swobodniej, alisci zaraz za taborem, nowy straszny widok uderzył jego oczy. W dali szarzał kosz właściwy, od którego dochodziło ustawiczne rzenie koni, który mrowił się tysiącami Tatarów, bliżej zaś, na polu, tuż koło gościńca, wiodącego do Czerkas, młodzi wojownicy za-

bawiali się strzelaniem dla wprawy z łuków do jeńców słabszych, lub chorych, którzyby nie mogli wytrzymać długiej drogi do Krymu. Kilkadziesiąt ciał leżało wyrzuconych już na drogę i podziurawionych jak sita; niektóre z nich drgały jeszcze konwulsyjnie. Ci, do których strzelano, wisieli przywiązani za ręce do drzew przydrożnych. Były między nimi i stare kobiety. Śmiechom zadowolenia po trafnych strzałach towarzyszyły okrzyki:

— Jaksze, iegit! — Dobrze, chłopcy!

— Uk jaksze koł! — Łuk w dobrych rękach!

Koło głównego kosza oprawiano tysiące bydła i koni na pokarm wojownikom. Ziemia była złana krwią. Mdłe wyziewy surowizny tłumiły oddech w piersiach, a między kupami mięsa kręcili się czerwoni ordyńcy z nożami w ręku. Dzień był skwar-ny, słońce piekło. Ledwie po godzinie drogi wydo-stał się pan Skrzetuski razem ze swoją eskortą na czyste pola, ale z oddali dochodził długo jeszcze z głównego kosza gwar i ryk bydła. Po drodze znać było ślady przejścia drapieżników. Tu i owdzie popalone sadyby, sterczące kominy futorów, potrato-wana ruń zbóż, drzewa połamane, sady wiśniowe przy chatach, wycięte na ogień. Na gościńcu raz wraz leżały to trupy końskie, to ludzkie, pokaleczo-ne okropnie, sine, nabrzmiałe, a na nich i nad ni-mi stada wron i kruków, zrywające się z wrzaskiem i szumem przed ludźmi. Krwawe dzieło Chmielnic-kiego rzucało się wszędzie w oczy, i trudno było zrozumieć, przeciw komu ten człowiek rękę podniósł, bo jego własny kraj jęczał przedewszystkiem pod brzemieniem niedoli.

W Mlejowie spotkali podjazdy tatarskie, pędzące nowe tłumy jeńców. Horodyszcze było spalone do dna. Sterczała tylko murowana dzwonnica kościelna i stary dąb stojący na środku rynku, pokryty strasznym owocem, bo wisało na nim kilkadziesiąt małych Żydział, powieszonych przed trzema dniami. Wymordowano tu również dużo szlachty z Konopłanki, Starosiela, Więzowka, Bałakleja i Wodaczewa. Samo miasteczko było puste, bo mężczyźni poszli do Chmielnickiego, a niewiasty, dzieci i starcy uciekli do lasów przed spodziewanem najściem wojsk księcia Jeremiego. Z Horodyszcza jechał pan Skrzetuski na Śmiłę, Żabotyn i Nowosielce do Czehrynia, zatrzymując się tylko tyle po drodze, ile trzeba było na wypoczynek dla koni. Wjechali do miasta na drugi dzień z południa. Wojna oszczędziła miasto, niektóre tylko domy były zburzone, a między nimi Czaplińskiego z ziemią zrównany. W ogrodzie stał podpułkownik Naokoło-palec, a z nim tysiąc mołojców, ale i on, i mołojcy, i cała ludność żyła w największem przerażeniu, gdyż tu, jak i wszędzie po drodze, wszyscy byli pewni, że księżę lada chwila nadciągnie i wyrze zemstę, o jakiej świat nie słyszał. Niewiadomo było, kto puszcza te wieści, skąd one pochodzą; może je tworzył przestach, dość, że ustawicznie powtarzano, to że księżę płynie już Sułą, to że już jest nad Dnieprem, że spalił Wasiutyńce, że wyciął ludność w Borysach, i każde zbliżenie się jeźdźców, lub pieszego ludu, wywoływało popłoch bez granic. Pan Skrzetuski chwycił chciwie te wieści, bo rozumiał, że choćby nie były prawdzi-

we, jednakże tamowały szerzenie się buntu na Zадnieprzu, nad którem ręka książęca ciążyła bezpośrednio.

Skrzetuski chciał dowiedzieć się czegoś pewniejszego od Naokoło-palca, ale pokazało się, że podpułkownik, narównu z innymi, nic nie wiedział o księciu i jeszcze sam byłby rad zasięgnąć jakich wiadomości od Skrzetuskiego. A ponieważ przeciągnięto na tę stronę wszystkie bajdaki, czółna i podjazdki, więc i zbiegowie z drugiego brzegu nie przybywali do Czehrynia.

Skrzetuski więc, nie bawiąc dłużej w Czehryniu, kazał się przeprawić i ruszył bez zwłoki do Rozłógów. Pewność, że wkrótce sam przekona się, co stało się z Heleną, i nadzieja, że może jest ocalona, albo też ukryła się razem ze stryjną i kniaziami w Łubniach, wróciła mu siły i zdrowie. Przesiadł się z wozu na koń i gnał bez litości swoich Tatarów, którzy, uważając go za posła, a siebie za przystawów, oddanych pod jego komendę, nie śmieli mu stawiać oporu. Lecieli tedy, jakby ich goniono, a za nimi złote kłęby kurzawy, wzbijanej kopytami bachmatów. Mijali sadyby, futory i wioski. Kraj był pusty, siedziby ludzkie wyludnione, tak, że długo nie mogli spotkać żywej duszy. Prawdopodobnie też kryli się wszyscy przed nimi. Tu i ówdzie kazał pan Skrzetuski szukać w sadach, pasiekach, po zapolach i strzechach stodół, ale nie mogli znaleźć nikogo.

Dopiero za Pohrebami jeden z Tatarów dostrzegł jakąś postać ludzką, usiłującą skryć się między szuwarami, obrastającymi brzegi Kahamliku.

1. enlève de la grange, et va chercher les grains.

Tatarzy skoczyli ku rzece i w kilka minut później przywiedli przed pana Skrzetuskiego dwóch ludzi całkiem nagich.

Jeden z nich był to starzec, drugi wysmukły, może piętnasto lub szesnastoletni wyrostek. Obaj kłapali zębami ze strachu i długi czas nie mogli ani słowa przemówić.

— Skąd wy? — spytał pan Skrzetuski.

— My znikąd, panie! — odpowiedział starzec. — Po prośbie chodzim, z lirą, a ot, ten niemowa mnie prowadzi.

— Skąd idziecie teraz, z jakiej wsi? Mów śmiało, nic ci nie będzie.

— My, panie, po wszystkich wsiach chodzili, aż nas tu jakiś czort obdarł. Buty mieli dobre, wziął — czapki mieli dobre, wziął — sukmany z litości ludzkiej dobre, wziął, — i liry nie zostawił.

— Pytam się, kpie, z jakiej wsi idziesz?

— Nie znaju, pane — ja did. Ot my nadzy, nocą marzniem, we dnie szukamy litościwych, coby okryli i nakarmili... my głodni!

— Słuchaj tedy, chłopie, odpowiadaj, o co pytam, bo każę powiesić.

— Ja niczoho ne znaju, pane. Kołyb ja szczo, abo szczo, abo bude szczo, to nechaj meni, oto szczo!

Widoczne było, że dziad, nie mogąc sobie zdać sprawy, coby za jeden był ten, co go pyta, postanowił nie dawać żadnych odpowiedzi.

— A w Rozłogach byłeś? tam, gdzie kniaziowie Kurcewicz mieszkają?

— Ne znaju, pane.

— Powiesić go! — krzyknął pan Skrzetuski.

— Buw, pane! — zawołał dziad, widząc, że nie-
ma żartów.

— Coś tam widział?

— My tam byli pięć dni temu, a potem w Bro-
warkach słyszeli, że tam *tycari prijszły*.

— Jacy rycerze?

— Ne znaju, pane! Odin każe, Lachi; druhi
każe, kozaki.

— W konie! — krzyknął na Tatarów pan Skrze-
tuski.

Poczet pomknął. Słońce zachodziło, zupełnie
jak wówczas, gdy namiestnik po spotkaniu Heleny
i kniahyni na drodze jechał obok nich przy Rozwa-
nowej karocy. Kahamlik tak samo świecił purpurą,
dzień kładł się do snu jeszcze cichszy, pogodniejszy,
cieplejszy. Tylko wówczas jechał pan Skrzetuski
z piersią pełną szczęścia i budzących się lubych uczuć,
a teraz pędził jak potępieniec, gnany wichrem nie-
pokoju i złych przeczuć. Głos rozpaczy wołał mu
w duszy: „To Bohun ją porwał! już jej nie ujrzysz
więcej!“ — a głos nadziei: „To książę! ocalona!“ I te
głosy tak go rozrywały między siebie, że ledwo nie
rozerwały mu serca. Pędzili resztą sił końskich.
Upłynęła jedna godzina i druga. Księżyc zeszedł
i wytaczając się coraz wyżej, bladł coraz bardziej.
Konie pokryły się pianą i chrapały ciężko. Wpadli
w las, mignął jak błyskawica; wpadli w jar, za ja-
rem tuż Rozłogi. Chwila jeszcze, a losy rycerza się
rozstrzygną. Tymczasem wiatr świszczę mu w uszach
od pędu, czapka spadła mu z głowy, koń pod nim
jęczy, jakby miał paść zaraz. Chwila jeszcze, skok
jeszcze i jar się roztworzy. Już, już!

Nagle krzyk nie ludzki, straszny, wyrwał się z piersi pana Skrzetuskiego.

Dwór, lamusy, stajnie, stodoły, częstokół i sad wiśniowy — wszystko znikło.

Blady księżyc oświecał wzgórze, a na niem kupę czarnych zgłiszcz, które przestały już nawet dymić.

Milczenia nie przerywał żaden odgłos.

Pan Skrzetuski stanął przed fosą niemy, ręce tylko do góry podniósł, patrzył, patrzył, i głowę jakos dziwnie potrzasał. Tatarzy wstrzymali konie. On zsiadł, odszukał resztek spalonego mostu, przeszedł rów po belce poprzecznej i siadł na kamieniu, leżącym na środku majdanu. Siadłszy, zaczął się oglądać dokoła, jak człowiek, który pierwszy raz na jakimś miejscu będąc, usiłuje się z nim zapoznać. Opuściła go przytomność. Nie wydał ani jęku. Po chwili, ręce na kolanach wsparłszy, głowę spuścił i pozostał w nieruchomej postawie, tak, że mogło się zdawać, że usnął. Jakoż, jeśli nie usnął, to odrętwiał — i przez głowę zamiast myśli, przelatywały mu tylko niejasne obrazy. Widział więc naprzód Helenę taką, jaką ją był pożegnał przed ostatnią podróżą, jeno twarz miała jakby przesłonią przez mgłę, tak jej rysów nie można było rozpoznać. On ją chciał z tego mglistego obłoku wydostać i nie mógł. Więc odjechał z ciężkiem sercem. Potem przez głowę mignął mu rynek czechryński, stary Zaćwilichowski i bezczelna twarz Zagłoby; twarz ta ze szczególnym uporem stawiała mu przed oczyma, aż wreszcie zastąpiło ją ponure oblicze Grodzickiego. Potem widział jeszcze Kudak, porohy, walkę na

Chortycy, Sicz, całą podróż i wszystkie a wszystkie wypadki, aż do dnia ostatniego, aż do ostatniej godziny. Ale dalej już ciemność! Co się z nim teraz działo, nie rozpoznawał. Miał tylko jakieś niewyraźne przeczucie, że do Heleny, do Rozłogów jedzie, ale sił mu zbrakło, więc odpoczywa na zgliszczach. Chciałby już ot podnieść się i jechać dalej, ale jakieś niezmiernie osłabienie przykuwa go do miejsca, tak, jakby mu stufuntowe kule do nóg przywiązano.

Siedział więc i siedział. Noc upływała. Tatarzy roztarasowali się na nocleg i rozłożywszy ogień, poczęli przypiekać przy nim kawały końskiego ścierwa; następnie nasyceni, pokładli się na ziemi.

Ale nie upłynęła i godzina, gdy zerwali się na równe nogi.

Zdala dochodził gwar, podobny do odgłosów, jakie wydaje wielka liczba jazdy, idącej śpiesznym marszem.

Tatarzy zatknęli co prędzej na żerdź białą płachtę i podsycali obficie płomień, tak, aby zdala mogli być rozpoznani, jako wysłańcy pokojowi.

Tętent koni, parskanie i brzęk szabel zbliżał się coraz bardziej, i wkrótce na drodze ukazał się oddział jazdy, który wnet otoczył Tatarów.

Rozpoczęła się krótka rozmowa. Tatarzy wskazywali postać siedzącą na wzgórzu, którą zresztą widzieć było doskonale, bo padało na nią światło miesiąca, i oświadczyli, że prowadzą posła, a od kogo, to on najlepiej powie.

Wówczas dowódca oddziału, razem z kilku towarzyszami, udał się na wzgórze, ale zaledwie zbli-

żył się i spojrzał w twarz siedzącemu, gdy ręce rozkrzyżował i wykrzyknął:

— Skrzetuski! Na Boga żywego, to Skrzetuski! Namiestnik ani drgnął.

— Mości namiestniku, nie poznajesz-że mnie? Jam jest Bychowiec. Co ci jest?

Namiestnik milczał.

— Zbudź-że się, na Boga! Hej! towarzysze, a bywajcie-nol

Istotnie był to pan Bychowiec, który szedł w awangardzie przed wszystką potęgą księcia Jeremiego.

Tymczasem nadciągnęły i inne pułki. Wieść o odnalezieniu Skrzetuskiego rozbiegła się piorunem po chorągwiach, więc wszyscy śpieszyli powitać miłego towarzysza. Mały Wołodyjowski, dwaj Sleszyńscy, Dzik, Orpiszewski, Migurski, Jakubowicz, Lenc, pan Longinus Podbipięta i mnóstwo innych oficerów biegło na wyścigi na wzgórze. Ale próżno przemawiali do niego, wołali po imieniu, szarpali za ramiona, usiłowali podnieść — pan Skrzetuski patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma i nie rozpoznawał nikogo. A raczej przeciwnie, zdawało się, że ich rozpoznaje, tylko, że są mu już zupełnie obojętni. Wtedy ci, którzy wiedzieli o jego miłości ku Helenie, a prawie wszyscy już wiedzieli, przypomniawszy sobie, w jakim to właśnie są miejscu, spojrzawszy na czarne zgliszcze i siwe popioły, zrozumieli wszystko.

— Od boleści się zapamiętał — szepnął jeden.

— Desperacya m e n t e m mu pomieszała.

— Zaprowadźcie go do księcia. Może jak jego zobaczy, to się ocknie!

Pan Longinus ręce łamał. Wszyscy otoczyli kołem namiestnika i poglądali na niego ze współczuciem. Niektórzy ocierali łzy rękawicami, inni wzdychali żałośnie. Aż nagle z koła wysunęła się jakaś wyniosła postać i zbliżywszy się z wolna do namiestnika, położyła mu na głowie obie ręce.

Był to ksiądz Muchowiecki.

Wszyscy umilkli i poklękali, jakby w oczekiwaniu cudu, ale ksiądz cudu nie uczynił, jeno wciąż trzymając ręce na głowie Skrzetuskiego, podniósł oczy ku niebu pełnemu blasków miesięcznych, i począł mówić głośno:

— Pater noster, qui es in coelis sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum, fiat voluntas Tua...

Tu przerwał i po chwili powtórzył głośniej i uroczyściej:

— ...Fiat voluntas Tua!...

Cisza zapanowała głęboka.

— ...Fiat voluntas Tua!... — powtórzył ksiądz po raz trzeci.

Wtedy z ust Skrzetuskiego wyszedł głos niezmiernego bólu, ale i rezygnacyi:

— Sicut in coelo, et in terra!

I rycerz rzucił się na ziemię ze szlochaniem.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.







SEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE.

- Burzyński K. Tahir Bej, powieść ze wspomnień życia młodego, 2 tomy.* 1 80
- Bykowski Piotr Jaza. Dwór Królewski w Grodnie. Epizod biograficzny (1795–97)* — 80
- *Glinkowie. Stara historia starego rodu* — 75
- *Lepsze dobre imię, niżli maść drogą. Historia jednej bramy zamkowej* 1 20
- *Memoriałik palestranta trybunałskiego. Kraków* 1 50
- Chęłmicki Zygmunt Ks. W Brazylii. Notatki z podróży. Z cennymi ilustracyami w tekście. 2 tomy* 4 —
- Chłędowski Kaz. Królowa Bona. obrazy czasu i ludzi. 2 t.* 1 80
- Chmielewski Dr. P. Adam Mickiewicz. Zarys biograficzny literacki, 2 duże tomy, z 2-ma portretami A. Mickiewicza.* 5 —
- *— w ozd. opr.* 6 60
- *Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki Kraków.* 3 —
- *— w ozd. opr.* 4 —
- *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego Krasińskiego. Zarys literacki. Wydanie 3, pomn. Kraków* 2 —
- *— w ozdobnej oprawie* 2 70
- Chojecki Edm. Jan Dhaep. powieść.* — 60
- *Życie i sen, powieść* 1 50
- Chwirko Z. Po szczęście. Kartka z pamiętnika* 1 —
- Dubiecki Maryan. Obrazy i studia historyczne.* 2 —
- *Treść: Jan Długosz, pierwszy dziejopis polski. — Osadcy ziemi Małopolskiej w XVII stuleciu — Galazda hetmańska. — Czarniecki w Banii. — Wielkowiekowie ubiegłych. — Jeden dzień z życia Piotrkowa w XVII w. —*
- Es-sen-er. Starzy i nowi. Szkice powieściowe z niedawnej przeszłości.* 1 —
- Faleński Felician. Utwory powieściowe. Tom I.* 1 50
- *Treść: Z daleka i z bliska — Na schyłku starego roku — Strzępy dawnej okazałości. — Świetne widoki Paoli Marcelnowej. — Bez służby. —*
- Garnston. Fata Morgana, opowiadanie ze wspomnień szkolnych. Kraków* 1 20
- Gawalewicz Marian. Cma, powieść, wydanie 3-cie* 1 20
- *Dragie pokolenie, wydanie 2-gie.* 1 60
- *Mecheay, powieść* 2 —
- *Młła, powieść* 1 20
- *Z mego albumu. Zbiór szkiców i obrazków.* 1 20
- *Treść: Zuzanna. — Młm. — Świerk na pustkowi. — Zgaszone gwiazdy. — Mała mamka. — Literat. —*
- *Zona. Galeria szkiców z natury. Nowe wydanie powiększone i ozd. rysunkami Piotra Stachewicza.* 1 80
- *Treść: Kokoszka. — Astra. — Trusia. — Baba. — Komedyantha. — Muszka. — Waleczna. — Pamił. — Babina. — Baizek. — Tama. — Inseparables. — Mroćka. — Otellina. — Ośara. —*